

**Dom zbrodni**

**Tłumaczyła Anna Rojkowska**

**Tytuł oryginału: Crooked House ‘ Agatha Christie**

**Od autorki**

*Dom zbrodni* to jedna z moich ulubionych książek. Przez lata chodziła za mną, obmyślałam ją, przyrzekałam sobie: „Pewnego dnia, kiedy będę miała mnóstwo czasu, zacznę ją pisać”. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że na pięć powieści, które są ciężką pracą, jedna jest przyjemnością. Ta właśnie była przyjemnością. Często zastanawiałam się, czy czytelnicy wiedzą, która książka powstawała w trudzie i znoju, a która była pisana z radością. Nieraz ktoś mówi: „Jaką przyjemnością musiało być pisanie tego a tego!” Przeważnie mówią tak o książce, która uparcie „wychodziła” inaczej, niż ja sobie życzyłam, w której są marne postaci, historia zanadto pogmatwana, a dialogi nienaturalne - przynajmniej w opinii autora. Może jednak autor nie jest najlepszym sędzią własnego dzieła. Pocieszam się, że właściwie wszystkim podobał się *Dom zbrodni*, więc czuję, że słusznie uważam go za jedną z moich najlepszych książek.

Nie wiem, jak wpadłam na pomysł rodziny Leonidesów - pewnego dnia postaci po prostu się narodziły.

Uważam się tylko za skrybę spisującego ich dzieje.

Agata Christie

**Rozdział pierwszy**

Sophię Leonides poznałem w Egipcie pod koniec wojny. Pracowała tam wówczas na

odpowiedzialnym stanowisku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nasze pierwsze kontakty były czysto służbowe. Wtedy właśnie doceniłem jej umiejętności, dzięki którym w tak młodym wieku (miała wówczas tylko dwadzieścia dwa lata) sprawowała tak ważną funkcję.

Sophia była nie tylko przystojną kobietą, ale też obdarzoną bardzo logicznym umysłem. Podobało mi się w niej również to, że potrafiła żartować, zachowując absolutnie poważną minę. Zaprzyjaźniliśmy się. Można z nią było o wszystkim porozmawiać. Lubiliśmy umawiać się na obiad i - od czasu do czasu - na tańce.

O tym wszystkim dobrze wiedziałem. Ale z tego, że Kocham Sophię i chcę się z nią ożenić, zdałem sobie sprawę, dopiero kiedy otrzymałem rozkaz wyjazdu na Wschód.

Jedliśmy właśnie kolację w restauracji Shepherd, kiedy niespodziewanie odkryłem swą miłość. Nie czułem się zaskoczony, raczej miałem wrażenie, że uświadomiłem sobie coś, o czym od dawna wiem. Spojrzałem na nią innymi oczyma, ale zobaczyłem tylko to, co już dobrze znałem i lubiłem. Ciemne kędzierzawe włosy, żywe błękitne oczy, mała, wojowniczo wysunięta broda i prosty nos. Podobał mi się doskonale skrojony jasnoszary kostium i śnieżnobiała bluzka. Wyglądała jak typowa Angielka, co miało dla mnie wyjątkowy urok po trzech latach nieobecności w kraju. Nikt - mówiłem sobie - nie mógłby wyglądać bardziej „angielsko”. Jednocześnie zastanawiałem się, czy naprawdę to możliwe, żeby była aż taka „angielska”, na jaką wyglądała. Czy rzeczywistość może mieć w sobie doskonałość teatru?

Zdałem sobie sprawę, że choć tyle ze sobą rozmawialiśmy na różne tematy: ideałów, upodobań, przyszłości, najbliższych przyjaciół, Sophia nigdy nie wspomniała domu, rodziny. O mnie wiedziała wszystko (była wspaniałym słuchaczem), ja o niej - nic. Aż do tej chwili tego nie zauważyłem.

Sophia zapytała, o czym myślę.

- O tobie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Rozumiem - rzekła - i wydawało mi się, że naprawdę rozumie.

- Może się zdarzyć, że nie spotkamy się przez następne parę lat - powiedziałem. - Nie wiem, kiedy wrócę do Anglii. Ale pierwsza rzecz, jaką zrobię po powrocie, to przyjadę do ciebie i poproszę cię o rękę.

Siedziała nieporuszona, paliła papierosa i nawet na mnie nie spojrzała. Przez chwilę bałem się, że nie zrozumiała.

- Posłuchaj - rzekłem. - Na pewno nie poproszę cię teraz, żebyś za mnie wyszła. Mogłabyś mnie odrzucić, a wtedy czułbym się nieszczęśliwy i pewnie związałbym się z jakąś okropną kobietą, żeby uleczyć zranioną ambicję. A gdybyś mnie nie odrzuciła, co mielibyśmy zrobić? Pobrać się i natychmiast rozstać? Zaręczyć się i skazać na długi okres oczekiwania? Nie chciałbym cię na to narażać. Boję się, że gdybyś spotkała kogoś innego, mogłabyś go odrzucić, chcąc być „lojalna” wobec mnie. Żyjemy w niespokojnych czasach. Wokół nas wszyscy szybko się żenią, rozstają,

nawiązując romanse. Chciałbym, abyś pojechała do domu wolna i niezależna, odnalazła się w powojennym świecie i podjęła decyzję, co chcesz robić. To, co jest między nami, musi być na stałe. Innego małżeństwa nie uznaję.

- Ja też nie.

- Z drugiej strony uważam, że mam prawo powiedzieć ci, co czuję.

- Ale bez niepotrzebnych lirycznych uniesień? - mruknęła Sophia pod nosem.

- Kochanie, nie rozumiesz? Próbowałem powstrzymać się od powiedzenia ci, że cię kocham...

- Ależ rozumiem, Charles. I podoba mi się ten zabawny sposób, w jaki załatwiasz sprawę. Jak wrócisz, możesz przyjechać i zobaczyć się ze mną... jeśli jeszcze będziesz chciał.

- Nie ma co do tego wątpliwości - przerwałem jej.

- Zawsze są wątpliwości, Charles. Może zdarzyć się coś, co uniemożliwi nasze plany. Po pierwsze, niewiele o mnie wiesz, prawda?

- Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz w Anglii.

- W Swinly Dean.

Kiwnąłem głową. Swinly Dean, dzielnica na przedmieściu Londynu, była znana z kortów tenisowych dla finansjery z City.

- W krzywym dworku - dodała cicho, z zadumą w głosie.

Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, bo popatrzyła na mnie ubawiona i przytoczyła cały cytat:

- „I wszyscy mieszkali razem w krzywym dworku”. To o nas. Wprawdzie nasz dom to nie dworek, ale z pewnością krzywy - same szczyty i mur pruski.

- Masz dużą rodzinę? Rodzeństwo?

- Brat, siostra, matka, ojciec, wuj, ciotka, cioteczna babcia, dziadek i jego żona.

- Mój Boże! - wykrzyknąłem, lekko ogłuszony tym nadmiarem rodziny.

Roześmiała się.

- Oczywiście, normalnie nie mieszkamy razem. To wszystko przez wojnę i naloty - z zadumą zmarszczyła brwi - choć w sensie duchowym nasza rodzina zawsze była razem, pod okiem i opieką dziadka. Dziadek to osobowość. Ma ponad osiemdziesiąt lat i około półtora metra wzrostu, a jednak każdy przy nim wygląda bezbarwnie.

- To brzmi interesująco - powiedziałem.

- Bo to interesujący człowiek. Z pochodzenia Grek ze Smyrny. Nazywa się Arystydes Leonides. Jest niezmiernie bogaty - dodała z błyskiem w oku.

- Czy po wojnie jeszcze ktoś będzie bogaty?

- Dziadek na pewno - odparła Sophia z przekonaniem. - Taktyka „zdrzeć skórę z bogatych” nie uda się w jego wypadku. On zdrze skórę ze zdzieraczy.

- Ciekawa jestem - dodała - czy go polubisz.

- A ty go lubisz? - spytałem.

- Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

## Rozdział drugi

Minęły dwa lata, zanim wróciłem do Anglii. Nie były to łatwe lata. Często pisywaliśmy z Sophią do siebie, choć nie były to listy miłosne. Były to listy pisane przez bliskich przyjaciół - wymienialiśmy myśli i komentowaliśmy obecne życie. Jednak jeśli o mnie chodzi, a wierzyłem, że również w jej przypadku, nasze uczucia rosły i umacniały się.

Powróciłem do Anglii w spokojny wrześniowy dzień. Liście na drzewach złociły się w świetle zachodzącego słońca. Z lotniska wysłałem telegram do Sophii.

Właśnie wróciłem. Czy zjesz ze mną dziś wieczór kolację u Maria o dziewiątej? Charles.

Kilka godzin później siedziałem i czytałem „Timesa”. Przeglądałem rubrykę towarzyską, donoszącą o narodzinach, ślubach i pogrzebach, kiedy nagle w oko wpadło mi nazwisko Leonides:

19 września w Trzech Szczytach w Swinly Dean w wieku lat osiemdziesięciu ośmiu Arystydes Leonides, ukochany mąż Brendy Leonides. Szczerze opłakiwany.

Poniżej była druga informacja:

ARYSTYDES LEONIDES - nagle w swym domu, Trzy Szczyty, w Swinly Dean. Pograżył w żalu kochające dzieci i wnuki. Kwiaty prosimy przysyłać do kościoła Św. Eldreda w Swinly Dean.

Obydwie informacje wydawały mi się dość dziwnie sformułowane, jakby drukarnia opuściła fragmenty tekstu. Natychmiast jednak moje myśli powędrowały do Sophii. Pospiesznie wysłałem jej drugi telegram:

Właśnie dowiedziałem się o śmierci dziadka. Wyrazy współczucia. Daj znać, kiedy możemy się spotkać. Charles.

O szóstej odebrałem telegram od Sophii:

Będę u Maria o dziewiątej. Sophią.

Na myśl o spotkaniu jej znowu poczułem przyjemne podniecenie i lekkie podenerwowanie. Czas płynął strasznie wolno. Byłem w restauracji dwadzieścia minut przed czasem. Sophia spóźniła się tylko pięć minut.

Spotkanie kogoś, kogo nie widziało się przez długi czas, ale o kim się nieustannie myślało, zawsze jest pewnym wstrząsem. Kiedy wreszcie Sophia weszła do restauracji, nasze spotkanie wydawało się całkowicie nierealne. Była ubrana na czarno, a to, nie wiadomo dlaczego, zaskoczyło mnie. Większość kobiet miała czarne suknie, ale wydawało mi się, że Sophia jest w żałobie. Zdziwiłem się, bo nie sądziłem, że należy do osób, które noszą żałobę, nawet po bliskim krewnym.

Wypiliśmy po koktajlu, a potem poszliśmy do naszego stolika. Mówiliśmy gorączkowo, pytaliśmy o przyjaciół z Kairu. Ta sztuczna rozmowa pozwoliła nam pokonać początkowe skrępowanie. Wyraziłem współczucie z powodu śmierci dziadka, a Sophia powiedziała, że była to śmierć niespodziewana. Potem znowu powróciliśmy do wspomnień. Zaczęło mi się wydawać, że coś jest nie w porządku. I nie chodziło tu o naturalne skrępowanie po długim niewidzeniu. Najwyraźniej coś działo się z Sophią. Czy chciała mi powiedzieć, że znalazła innego mężczyznę, na którym jej zależy bardziej niż na mnie? Że jej uczucie dla mnie było pomyłką?

Jednak wydawało mi się, że nie o to chodzi - a zatem o co? Cały czas o tym rozmyślałem, prowadząc wymuszoną rozmowę.

Nagle, kiedy kelner postawił przed nami kawę i oddalił się z ukłonem, wszystko wróciło do normalności. Siedziałem z Sophią przy stoliku w restauracji, jak dawniej. Lata rozłąki zniknęły.

- Sophia - powiedziałem.

- Charles!

Odetchnąłem z ulgą.

- Dzięki Bogu to minęło. Co się z nami działo?

- To pewnie moja wina. Byłam niemądra.

- Ale teraz już wszystko w porządku?

- Teraz tak. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Kochanie! - powiedziałem. - Kiedy za mnie wyjdiesz?

Uśmiech zamarł na jej ustach.

- Nie wiem. Nie jestem pewna, Charles, czy kiedykolwiek będę mogła wyjść za ciebie za mąż.

- Dlaczego? Czy dlatego, że czujesz we mnie obcość? Czy potrzebujesz czasu, by do mnie przywyknąć? Może jest ktoś inny?

Urwałem, ale po chwili powiedziałem:

- Nie, byłem głupi. Nie chodzi o nic takiego.

- Masz rację, to nic z tych rzeczy.

Nie odzywałem się, czekając, aż ona zacznie mówić.

- Chodzi o śmierć dziadka - wykrztusiła w końcu.

- O śmierć dziadka? Dlaczego? Co za różnica... Chyba nie sugerujesz... nie myślisz, że... Czy chodzi o pieniądze? Nic nie zostawił? Ale, kochanie, to z pewnością...

- Nie chodzi o pieniądze - uśmiechnęła się blado. - Myślę, że byłbyś gotów wziąć mnie w samej koszuli. Dziadek w całym swoim życiu nigdy nie stracił pieniędzy.

- To o co chodzi?

- O śmierć. Widzisz, Charles, myślę, że on nie umarł tak po prostu. Myślę, że mógł zostać... zabity...

Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem.

- Co za fantastyczny pomysł! Jak na to wpadłaś?

- To nie ja na to wpadłam. Po pierwsze, doktor zachowywał się dziwnie. Nie chciał podpisać świadectwa zgonu. Ma być sekcja. Jest oczywiste, że coś podejrzewają.

Nie przeczyłem. Sophia była bardzo inteligentna. Można było polegać na jej wnioskach. Powiedziałem tylko:

- Podejrzenia mogą być całkiem bezzasadne. Ale nawet gdyby były zasadne, jaki ma to związek z nami?

- Jesteś w dyplomacji. Żony dyplomatów muszą być bez zarzutu, bardzo na to zwracają uwagę. Nie, nie mów tego, co chcesz teraz powiedzieć. To naturalne, że chcesz to powiedzieć, i myślę, że teoretycznie zgadzam się z tobą. Ale jestem dumna, i to bardzo. Chcę, żeby nasze małżeństwo było dobre w oczach wszystkich. Nie życzę sobie być symbolem twojego poświęcenia dla miłości. Poza tym może okaże się, że wszystko jest w porządku.

- To znaczy, że doktor... mógł popełnić pomyłkę?

- Nawet jeśli nie popełnił pomyłki, to i tak wszystko może się dobrze skończyć... pod warunkiem, że zabiła go właściwa osoba.

- O czym ty mówisz, Sophio?

- Wiem, że to paskudne, co powiedziałam, ale bądźmy uczciwi.

Uprzedziła moje następne słowa.

- Nie, Charles. Nic więcej nie powiem. Pewnie i tak już za dużo wygadałam. Ale byłam absolutnie zdecydowana spotkać się z tobą dziś wieczór i wszystko omówić. Nic nie możemy postanowić, dopóki to się nie wyjaśni.

- Mogłabyś chociaż mi o tym opowiedzieć. Potrząsnęła głową.

- Nie chcę.

- Ależ... Sophio...

- Nie, Charles. Nie chcę, żebyś patrzył na nas z mojego punktu widzenia. Chcę, żebyś zobaczył nas tak, jak ktoś bezstronny, patrzący z boku.

- Jak mam to zrobić?

Spojrzała na mnie z dziwnym błyskiem w oczach.

- Dowiesz się od ojca.

Jeszcze w Kairze powiedziałem Sophii, że mój ojciec jest zastępcą komisarza Scotland Yardu. Nadal sprawował tę funkcję. Gdy usłyszałem jej słowa, po krzyżu przebiegł mi zimny dreszcz.

- Aż tak źle?

- Tak myślę. Widzisz tego samotnego mężczyznę przy stoliku? O wyglądzie miłego, flegmatycznego wojskowego?

- Owszem.

- Był na peronie w Swinly Dean, kiedy wsiadałam do pociągu.

- Śledzi cię???

- Tak. Myślę, że wszyscy jesteśmy - jak by to ująć? - pod obserwacją. Dano nam do zrozumienia, że byłoby lepiej, gdybyśmy nie opuszczali domu. Ale ja byłam zdecydowana spotkać się z tobą - wysunęła wojowniczo podbródek. - Wyszłam okienkiem od łazienki i zjechałam na dół po rurze.

- Kochanie!

- Ale policja jest bardzo sprawna. I oczywiście znali treść telegramu, który ci wysłałam. Ale nieważne. Jesteśmy tu, razem... Tylko że od tej pory musimy działać każde na własną rękę.

Zawiesiła głos i dodała:

- Niestety, nie ma żadnej wątpliwości, że oboje się kochamy.

- Zupełnie żadnej wątpliwości - przyznałem. - I nie mów „niestety”. Obydwoje przeżyliśmy wojnę, wiele razy śmierć zaglądała nam w oczy. Nie rozumiem, dlaczego nagła śmierć jednego staruszka... swoją drogą, ile miał lat?

- Osiemdziesiąt siedem.

- Naturalnie, czytałem to w „Timesie”. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że zmarł ze starości i żaden szanujący się lekarz nie powinien w to wątpić.

- Gdybyś znał dziadka - powiedziała Sophia - byłbyś zdziwiony, że w ogóle umarł.

### **Rozdział trzeci**

Zawsze interesowałem się nieco pracą ojca, ale nie byłem przygotowany na to, że pewnego dnia, jako osobiście zainteresowany sprawą, wezmę bezpośredni udział w dochodzeniu.

Jeszcze nie widziałem Staruszka. Nie było go, kiedy przyjechałem. A po kąpieli, ogoleniu się i przebraniu wyszedłem na spotkanie z Sophią. Gdy wróciłem do domu, Glover powiadomił mnie, że ojciec jest w gabinecie.

Siedział przy biurku, ze zmarszczonymi brwiami przeglądając jakieś papiery. Kiedy wszedłem, aż podskoczył.

- Charles! No no, ile to już czasu...

Nasze spotkanie, po pięciu latach niewidzenia się, rozczarowałoby Francuza. Tymczasem w rzeczywistości naszemu przywitaniu nie brakło uczucia. Bardzo się ze Staruszką lubiliśmy i dobrze rozumieliśmy.

- Mam nieco whisky - powiedział. - Ile nalać? Przepraszam, że nie było mnie, kiedy wróciłeś, ale jestem strasznie zajęty. Pracujemy nad trudną sprawą.

Odchyliłem się w fotelu i zapaliłem papierosa.

- Arystydes Leonides? - spytałem.

Zmarszczył brwi i rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Skąd wiesz? - spytał uprzejmie i chłodno.

- Zatem mam rację?

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Mam swoje sposoby.

Staruszek czekał.

- Z samego źródła - wyjaśniłem.

- Dalej, Charles, przyznaj się.

- Może ci się to nie podobać - uprzedziłem. - Sophię Leonides poznałem w Kairze. Zakochałem się w niej i chcę się z nią ożenić. Spotkałem się z nią dziś wieczór. Poszliśmy razem na kolację.

- Na kolację? Tu, w Londynie? Ciekawe, jak jej się udało tego dokonać. Prosił mi - zresztą uprzejmie - całą rodzinę, żeby nigdzie się nie oddalali.

- Zgadza się. Zsunęła się po rurze z okna łazienki. Na ustach ojca pojawił się leciutki uśmiech.

- Wydaje się, że ta młoda dama jest niezwykle pomysłowa.

- Ale twoi funkcjonariusze są bardzo sprawni. Sympatyczny facet o wyglądzie wojskowego przyszedł za nią aż do restauracji Maria. Pewnie będę figurować w raportach, które ci przedstawią. Metr osiemdziesiąt wzrostu, szatyn, brązowe oczy, granatowy garnitur w prożki itd.

Staruszek utkwiał we mnie twarde spojrzenie.

- Czy to... poważne?

- Tak, tato, poważne.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Masz coś przeciwko temu?

- Nie miałbym nic... tydzień temu. To dobra rodzina, dziewczyna odziedziczy pieniądze. Poza tym znam ciebie, niełatwo tracisz głowę. Ale teraz...

- Tak?

- Mogłoby jeszcze być wszystko w porządku, gdyby...

- Gdyby co?

- Gdyby zrobiła to właściwa osoba.

Po raz tego samego wieczoru usłyszałem to sformułowanie. Zaintrygowało mnie. - kto jest tą właściwą osobą? Rzucił mi ostre spojrzenie.

- Co wiesz o tej sprawie?

- Nic.

- Nic? - wydawał się zdziwiony. - Dziewczyna nic ci nie powiedziała?

- Nie. To znaczy powiedziała. Że wolałaby, abym poznał to z punktu widzenia kogoś z zewnątrz.

- Dlaczego by tak wolała?

- Czy to nie oczywiste?

- Nie, Charles, nie wydaje mi się.

Marszcząc brwi ojciec zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie. Zgasło mu cygaro, a on zupełnie tego nie zauważył. To dobitnie wskazywało, że był zaniepokojony.

- A co wiesz o rodzinie? - rzucił nagłe pytanie.

- Niemal nic! Wiem, że składała się z dziadka i całej kupy dzieci z żonami i wnuków. Nie wiem, jakie były między nimi stosunki. Lepiej zapoznaj mnie z tą sprawą, tato.

- Dobrze - usiadł. - Zacznę od samego początku, od Arystydesa Leonidesa. Przybył do Anglii w wieku dwudziestu czterech lat.

- Był Grekiem ze Smyrny.

- To już wiesz?

- Tak, ale to niemal wszystko, co wiem. Otworzyły się drzwi i Glover oznajmił, że przyszedł nadinspektor Taverner.

- Prowadzi tę sprawę - powiedział ojciec. - Niech wejdzie. Sprawdzał rodzinę. Wie o nich więcej niż ja.

Spytałem, czy miejscowa policja wzywała Yard.

- Swinly Dean podlega naszej jurysdykcji. To jeszcze Londyn.

Nadinspektor Taverner wszedł do gabinetu. Zналиśmy się od wielu lat. Powitał mnie ciepło i pogratulował szczęśliwego powrotu.

- Zaznajamiam Charlesa ze sprawą - oznajmił Staruszek. - Popraw mnie, jeśli się mylę, Taverner. Leonides przybył do Londynu w 1884 roku. Otworzył małą restauracyjkę w Soho. Okazała się korzystnym interesem, więc otworzył następną. Wkrótce miał siedem lub osiem lokali. Wszystkie bardzo dochodowe.

- Nigdy nie robił złych interesów - przyznał nadinspektor Taverner.

- Miał nosa do interesów. W końcu stał się właścicielem większości znanych restauracji w Londynie. Wtedy zajął się gastronomią na dużą skalę.

- Wdawał się również w inne przedsięwzięcia - uzupełnił Taverner. - Sklepy z używaną odzieżą, tanią biżuterią i inne. Oczywiście - dodał - był kombinatorem.

- Chce pan powiedzieć, że był oszustem? Taverner pokręcił głową.

- Nie, nie to miałem na myśli. Kombinował, owszem - ale nie oszukiwał. Nigdy nie wdawał się w coś, co stałoby w niezgodzie z prawem. Ale potrafił wykombinować sto sposobów jego obejścia. Nawet w czasie ostatniej wojny udało mu się w ten sposób nieźle zarobić. Nigdy nie zrobił nic nielegalnego, ale jak tylko zaczął coś robić, natychmiast trzeba było wydać ustawę zabraniającą tego. Tyle że zanim ją wydano, on już zajęty był czym innym.

- Nie sprawia na mnie wrażenia ujmującej postaci - powiedziałem.

- Rzecz dziwna, ale był pociągający. Był osobowością, to się czuło. Nie było na co spojrzeć,

wyglądał jak krasnal, mały brzydal, ale miał w sobie jakiś magnetyzm. Łatwo zawracał kobietom w głowie.

- Zawarł dość zaskakujące małżeństwo - dodał ojciec. - Ożenił się z córką ziemianina - łowczego!

- Chodziło o pieniądze? - spytałem. Staruszek pokręcił głową.

- Nie, to było małżeństwo z miłości. Spotkała go przy załatwianiu obsługi na wesele przyjaciółki - i zakochała się. Jej rodzice ostro się sprzeciwiali, ale ona była zdecydowana wyjść za niego za mąż. Mówię ci, on miał urok. Było w nim coś egzotycznego i dynamicznego, co się jej podobało. Dziewczynę śmiertelnie nudzili ludzie z jej sfery.

- Czy małżeństwo było szczęśliwe?

- O dziwo, tak. Oczywiście jej przyjaciele nie spotykali się z jego znajomymi, i wzajemnie (wtedy jeszcze pieniądze nie wyrównywały różnic społecznych), ale oni się tym nie przejmowali. Obywali się bez przyjaciół. Arystydes zbudował ten absurdalny dom w Swinly Dean, zamieszkali tam i mieli ośmioro dzieci.

- To rzeczywiście cała saga rodzinna!

- Stary Leonides miał nosa wybierając Swinly Dean. Wtedy dopiero zaczynało być w modzie. Nie było jeszcze drugiego i trzeciego pola do gry w golfa. Mieszkańcy stanowili mieszaninę zasiedziały tubylców (którzy uwielbiali swoje ogrody i lubili Leonidesa) i bogatych biznesmenów z City, zabiegających o znajomość z Leonidesem, Z tego widać, że mogli wybierać wśród znajomych. Byli bardzo szczęśliwi aż do jej śmierci - chyba z powodu zapalenia płuc - w 1905 roku.

- Zostawiła go samego z ośmiorgiem dzieci?

- Jedno zmarło w dzieciństwie. Dwóch synów zginęło na ostatniej wojnie. Jedna córka wyszła za mąż, wyjechała do Australii i tam umarła. Niezamężna córka zginęła w wypadku samochodowym. Druga zmarła rok czy dwa lata temu. Dwójka jeszcze żyje: najstarszy syn, Roger, żonaty ale bezdzietny, i Philip, który poślubił znaną aktorkę i ma trójkę dzieci - twoją Sophię, Eustace'a i Josephine.

- I oni wszyscy mieszkają w... jak to się nazywa? Trzy Szczyty?

- Tak. Dom Rogera Leonidesa został zbombardowany na samym początku wojny. Philip z rodziną mieszkają tam od 1937 roku. Jest jeszcze starsza ciotka, panna de Haviland, siostra pierwszej żony Leonidesa. Najwyraźniej szwagier zawsze ją mierzył, ale po śmierci siostry uznała za swój obowiązek przyjąć propozycję, by zamieszkała w jego domu i pomogła mu wychować dzieci.

- Bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki - wtrącił nadinspektor. - Niestety, nie należy do osób, które zmieniają raz wyrobione zdanie o ludziach. Zawsze była krytycznie nastawiona do Leonidesa i jego metod...

- Niezła kupa ludzi - przerwałem. - Jak myślicie, kto go zabił?

- Jeszcze za wcześnie, żeby rzucać oskarżenia.

- Proszę się nie wymigiwać - powiedziałem. - Założę się, że pan jest przekonany, że zna już winnego. Nie jesteśmy w sądzie.

- Nie jesteśmy - przyznał Taverner ponuro - i może nigdy nie będziemy.

- To znaczy, że istnieje możliwość, że nie został zamordowany?

- Och nie, na pewno został zamordowany. Otruty. Ale pan wie, jak wyglądają sprawy o otruciu. Trudno zdobyć dowody. Wszystko może wskazywać na jedną osobę...

- Właśnie o to mi chodzi. Ma pan już całą sprawę poukładaną w głowie, prawda?

- Możemy wskazać podejrzanego na podstawie bardzo dużego prawdopodobieństwa. Rozwiązanie wydaje się oczywiste. Plan był doskonale obmyślony. Ale nie jestem pewien, czy mam rację. Spojrzałem błagalnie na ojca.

- W wypadku morderstw, Charles - powiedział powoli - oczywiste rozwiązanie jest najczęściej prawidłowym rozwiązaniem. Stary Leonides ożenił się powtórnie dziesięć lat temu.

- Kiedy miał siedemdziesiąt siedem lat?

- Tak, poślubił dwudziestoczworoletnią kobietę. Gwizdnąłem.

- Co to za kobieta?

- Prosto z herbaciarni. Bardzo porządna i ładna, ale dość blada i anemiczna.

- I to ona jest tą najprawdopodobniejszą podejrzaną?

- A nie? - spytał Taverner. - Ma teraz zaledwie trzydzieści cztery lata, a to niebezpieczny wiek. Lubi wygodne życie. W domu jest młody mężczyzna, nauczyciel wnuków. Nie poszedł na wojnę - z powodu serca czy jakiejś innej dolegliwości. Są ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni.

Zamyśliłem się. Wyłaniał się stary, dobrze znany wzór. Takie mieszane towarzystwo. A pani Leonides, jak zauważył mój ojciec, była bardzo porządna. W imię zachowania szacunku u ludzi popełniono wiele morderstw.

- Czym go otruto? - spytałem. - Arsenikiem?

- Nie. Nie mamy jeszcze wyników analizy, ale lekarz uważa, że ezeryną.

- To niezbyt popularny środek. Chyba łatwo dotrzeć do tego, kto go kupił?

- Nie tym razem. Ezeryną była na miejscu, w jego kroplach do oczu.

- Leonides chorował na cukrzycę - wyjaśnił ojciec. - Dostawał regularnie zastrzyki insuliny! Insulina jest sprzedawana w małych buteleczkach z gumowym korkiem. Igłą przekłuwa się korek i nabiera się płynu do strzykawki.

- W buteleczce nie było insuliny, ale ezeryną? - domyśliłem się.

- Dokładnie.

- A kto zrobił zastrzyk?

- Żona.

Zrozumiałem teraz, co Sophia miała na myśli, mówiąc o „właściwej osobie”.

- Czy stosunki rodziny z drugą żoną Leonidesa układają się dobrze?

- Nie. Ledwie ze sobą rozmawiają.

Sytuacja stawała się coraz bardziej jasna. A mimo to nadinspektor Taverner nie był zadowolony.

- Co się panu w tym nie podoba? - spytałem bez ogródek.

- Gdyby ona to zrobiła, jakże łatwo byłoby jej potem wymienić buteleczkę na taką samą, ale po insulinie. Jeśli jest winna, to nie mogę zrozumieć, dlaczego tego nie zrobiła.

- To rzeczywiście dziwne. W domu było dużo insuliny?

- Mnóstwo buteleczek, pustych i pełnych. Gdyby to zrobiła, dziesięć do jednego, że doktor niczego by nie zauważył. Prawie nic nie wiadomo o pośmiertnych objawach zatrucia ezeryną. A tak, jak zaczął mieć wątpliwości, zbadał zawartość buteleczki (na wypadek, gdyby było złe stężenie insuliny albo coś podobnego) i naturalnie od razu wydało się, że w środku nie było insuliny.

- Zatem wygląda na to - rzekłem w zamyśleniu - że pani Leonides była albo bardzo głupia, albo bardzo przebiegła.

- Uważa pan...

- Że mogła liczyć na to, iż dojdzie pan do wniosku, że nie mogła być aż tak głupia, jak świadczą o tym pozory. Jakie są inne możliwości i inni podejrzani?

- Prawie każdy w tym domu mógł to zrobić - powiedział cicho ojciec. - Zawsze był duży zapas insuliny, co najmniej na dwa tygodnie. Można było wstrzyknąć ezerynę do jednej z buteleczek ze świadomością, że w swoim czasie zostanie użyta.

- I wszyscy mieli dostęp do leków?

- Nie były zamknięte. Trzymano je na półce w apteczce, która znajduje się w łazience - w tej części domu, która należała do Arystydesa Leonidesa i żony. Każdy domownik miał do niej swobodny dostęp.

- A kto miał silny motyw? Ojciec westchnął.

- Drogi Charlesie, Arystydes Leonides był niezmiernie bogaty. Wprawdzie mnóstwo pieniędzy rozdzielił między członków rodziny, ale może ktoś chciał jeszcze więcej.

- Ale najbardziej musiała tego pragnąć obecna wdowa. Czy ten jej facet ma jakieś pieniądze?

- Nie. Jest biedny jak mysz kościelna.

Nagle coś zaświtało mi w głowie. Przypomniałem sobie słowa Sophii i stanęła mi w pamięci cała rymowanka:

*Był krzywy człowieczek i szedł krzywą dróżką.*

*Znalazł krzywy grosik za krzywą obórką.*

*Złapał krzywą myszkę i nosił ją w worku,*

*I wszyscy mieszkali razem w krzywym dworku.*

- Jakie wrażenie robi na panu pani Leonides? Co pan o niej myśli? - spytałem Tavernera.

- Trudno powiedzieć - odparł powoli. - Bardzo trudno. Jest bardzo spokojna, cicha, nigdy nie wiadomo, o czym myśli. Na pewno lubi wygodne życie - na to mogę przysiąc. Przypomina mi kota, dużego, mrużącego, leniwego kota. Nie znaczy to, żebym miał coś przeciw kotom. Nawet je lubię... - westchnął. - Ale potrzebujemy dowodów.

Tak - pomyślałem - wszyscy chcemy zdobyć dowody na to, że pani Leonides otruła męża. Sophia tego chce, ja tego chcę, nadinspektor Taverner - również. To by nam ślicznie uporządkowało sprawę.

Niestety, ani Sophia nie była pewna jej winy, ani ja, ani nadinspektor.

## **Rozdział czwarty**

Następnego dnia udałem się do Trzech Szczytów razem z Tavernerem.

Moja sytuacja była dosyć dziwna, można powiedzieć, że co najmniej nietypowa. Ale ojciec nigdy nie miał zbytniego nabożeństwa do typowych rozwiązań.

Miałem już pewne doświadczenie, gdyż na samym początku wojny pracowałem w wydziale specjalnym Scotland Yardu.

Naturalnie, teraz było to zupełnie coś innego, ale tanta współpraca dawała mi w pewnym stopniu oficjalną pozycję.

- Jeśli chcemy rozwiązać tę sprawę - wyjaśnił ojciec - musimy mieć zakulisowe informacje. Musimy dokładnie poznać rodzinę, i to od wewnątrz - nie od zewnątrz. Ty możesz to dla nas zrobić.

Nie podobało mi się to. Wrzuciłem niedopałek papierosa do kominka i spytałem:

- Mam być szpiegiem policyjnym? Mam wyciągać dla was informacje od Sophii, która mnie kocha i ufa mi, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Staruszek zdenerwował się.

- Nie przyjmuj, do diabła, takiego banalnego punktu widzenia - rzekł z widoczną irytacją. - Po pierwsze nie wierzysz, że twoja dziewczyna zamordowała dziadka, prawda?

- Oczywiście, że nie. To absurdalny pomysł.

- No i dobrze. My też tak nie myślimy. Nie było jej tu parę lat, a jej stosunki z dziadkiem zawsze układały się doskonale. Ma niezły dochód, a poza tym dziadek byłby uszczęśliwiony wiadomością o waszych zaręczynach i najprawdopodobniej z okazji ślubu scedowałby na nią część swego majątku. Nie podejrzewamy jej. Nie mamy powodów. Ale jednego możesz być pewien. Jeśli tego się nie wyjaśni, ona za ciebie nie wyjdzie. Sądząc z twoich o niej słów, jestem tego pewien. I zapamiętaj sobie, że tego typu zbrodnia może nigdy nie być wyjaśniona. Możemy być niemal pewni, że popełniła ją żona razem ze swoim lubym, ale udowodnienie tego to zupełnie inna sprawa. Do tej pory nie mamy nic, co dałoby się przedstawić prokuraturze. A dobrze wiesz, że dopóki nie zdobędziemy rozstrzygających dowodów, zawsze pozostanie paskudne podejrzenie.

Niestety, dobrze zdawałem sobie z tego sprawę.

- Dlaczego jej o to nie zapytasz? - zaproponował cicho.

- Chcesz powiedzieć, że mam zapytać Sophię, czy mam... - urwałem.

Ojciec energicznie pokiwał głową.

- Tak, tak. Nie proszę, żebyś się tam wkręcił, nie informując jej o swojej roli. Zapytaj, co o

tym myśli.

W wyniku naszej rozmowy następnego dnia jechałem do Trzech Szczytów w Swinly Dean razem z nadinspektorem Tavernerem i sierżantem Lambem.

Tuż za polem golfowym skręciliśmy we wjazd. Wyobraziłem sobie, że przed wojną musiała tu stać potężna brama, która została zburzona albo z patriotyzmu, albo na skutek bezwzględnych zarządzeń wojennych. Kręty podjazd obsadzony rododendronami zawiódł nas przed sam dom.

Nie do wiary! Zastanawiałem się, czemu nazywa się Trzy Szczyty. Bardziej adekwatną nazwą byłoby Jedenaście Szczytów. Bryła domu sprawiała wrażenie jakby zniekształconej - i od razu odgadłem przyczynę. Był to monstrualnych rozmiarów wiejski domek. Miało się wrażenie oglądania wiejskiej siedziby przez potężną lupę. Pruski mur, stromy dach, szczyty w dachu - to był krzywy domek, który wyrósł jak grzyb po deszczu w ciągu jednej nocy.

Pomyślałem, że to jest wyobrażenie greckiego restauratora o angielskiej architekturze. Miał to być typowy brytyjski dom - ale rozmiarów zamku! Byłem ciekaw, co też pierwsza żona pana Leonidesa mogła o tym pomyśleć. Sądzę, że mąż nie konsultował się z nią ani nie pokazywał planów budowy. Najprawdopodobniej miała to być niespodzianka. Ciekawe, jaka była jej pierwsza reakcja: wzdrygnęła się czy uśmiechnęła?

Najwyraźniej była tu bardzo szczęśliwa.

- Przytłaczające, prawda? - zauważył nadinspektor Taverner. - Naturalnie staruszek rozbudował dom. Można powiedzieć, że zrobił z niego trzy oddzielne domy, każdy z kuchnią i tak dalej. W środku wszystko najwyższej jakości, jak w luksusowym hotelu.

Z domu wyszła Sophia. Była bez kapelusza, w zielonej bluzce i tweedowej spódnicy.

Kiedy mnie ujrzała, zatrzymała się jak rażona gromem.

- Ty tutaj? - zawołała.

- Sophio, muszę z tobą porozmawiać - powiedziałem. - Na osobności.

Przez chwilę sądziłem, że ma zamiar się sprzeciwić, ale w końcu odwróciła się i rzekła:

- Chodźmy.

Ruszyliśmy na ukos trawnikiem. Przed nami rozciągał się piękny widok na pierwsze pole golfowe w Swinly Dean i zamykającą panoramę grupę drzew na wzgórzu, rozmywającą się w mglistym powietrzu.

Sophia zaprowadziła mnie do skalnego ogrodu, nieco zaniedbanego. Usiedliśmy na drewnianej ławce, wielce niewygodnej.

- Co się stało? - zapytała.

Jej głos nie brzmiał zachęcająco.

Wszystko jej powiedziałem. Słuchała uważnie. Nie mogłem z jej twarzy wyczytać, co myślała. Kiedy skończyłem, głęboko westchnęła.

- Twój ojciec - rzekła - jest bardzo mądrym człowiekiem.

- Staruszek ma swoje dobre strony - przyznałem. - Sam uważam ten pomysł za chybiony, ale...

- Ależ nie - przerwała mi. - Wcale nie jest chybiony. To jedyne wyjście z sytuacji. Twój ojciec, Charles, doskonale wie, jakie myśli mnie nachodzą. Wie lepiej niż ty.

Sophia splotła dłonie tak mocno, że aż pobieleły jej kostki.

- Muszę poznać prawdę - powiedziała z nieoczekiwaną gwałtownością. - Po prostu muszę.

- Z naszego powodu? Ależ kochanie...

- Nie tylko, Charles. Muszę wiedzieć, żeby odzyskać spokój. Widzisz, nie mówiłam ci tego wczoraj, ale prawda jest taka, że się zwyczajnie boję.

- Boisz się?

- Tak, boję się, bardzo się boję. Policja, ojciec, ty, każdy uważa, że zrobiła to Brenda.

- Jest duże prawdopodobieństwo...

- Masz rację, to prawdopodobne. I możliwe. Ale zdaję sobie sprawę, że kiedy mówię: „Pewnie zrobiła to Brenda”, to są po prostu moje pobożne życzenia. Bo widzisz, ja wcale tak nie myślę.

- Naprawdę???

- Nie wiem, co myśleć. Poznałeś całą sprawę od zewnątrz, tak jak chciałam. Teraz przedstawię ci ją od środka. Widzisz, wydaje mi się, że Brenda nigdy nie zrobiłaby niczego, co by mogło ją narazić na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Jest zbyt ostrożna.

- A ten jej wybranek, Laurence Brown?

- Laurence to tchórz. Nie miałby odwagi.

- Nie byłbym taki pewny.

- Czyli widzisz, że tak naprawdę to nic nie wiemy. Zdaję sobie sprawę, że ludzie potrafią zrobić coś, czego wcale się po nich nie spodziewamy. Mamy na ich temat ustalone zdanie, które czasem okazuje się całkiem błędne. Ale mimo to - potrząsnęła z niedowierzaniem głową - to nie Brenda. To nie leży w jej charakterze. Ona pasowałaby do haremu. Lubi ładnie się ubrać, obwiesić

biżuterią, rozsiąść w fotelu i zając się słodczykami czytać tanie powieści albo iść do kina. Może to zabrzmieć nieprawdopodobnie - biorąc pod uwagę, że dziadek miał osiemdziesiąt siedem lat - ale myślę, że naprawdę ją pociągał. Widzisz, miał w sobie siłę. Wyobrażam sobie, że wybrana kobieta czuła się jak królowa... albo żona sultana. Zawsze podejrzewałam, że dzięki niemu Brenda czuła się pociągającą, romantyczną kobietą. Dziadek całe życie potrafił postępować z kobietami. Wydaje mi się, - że jest to swego rodzaju sztuką - i że nie traci się tej umiejętności, niezależnie od wieku.

Nie zwracając uwagi na problem Brendy, uczepliłem się zwrotu, który mnie zaniepokoił.

- Dlaczego powiedziałaś, że się boisz? Sophia zatrzęsała się, jakby przebiegł ją dreszcz.

- Bo to prawda - powiedziała cicho. - To ważne, Charles, żebyś mnie dobrze rozumiał. Widzisz, jesteśmy dziwną rodziną... Jesteśmy bezwzględni, i to w różny sposób. Właśnie to mnie tak niepokoi. - Te różne sposoby.

Najwyraźniej moja twarz wyrażała brak zrozumienia, ponieważ Sophia zaczęła bliżej wyjaśniać, o co jej chodzi.

- Spróbuję ci to przybliżyć. Weźmy dziadka. Kiedyś „opowiadał nam o swoim dzieciństwie i młodości w Smyrnie i mimochodem wspominał, że zasztytował dwóch mężczyzn. Zdarzyło się to w kłótni, ktoś go obraził w niewybaczalny sposób, nie pamiętam dokładnie. Dla niego była to rzecz całkiem naturalna. Prawie o tym zapominał. Było dla mnie zupełnie szokujące, że tu, w Anglii, takim lekkim tonem wspomina o tym wypadku.

- Skinąłem głową.

- To jeden przejaw bezwzględności. A teraz babcia. Ledwie ją pamiętam, ale wiele o niej słyszałam.. Myślę, że jej bezwzględność mogła brać się z kompletnego braku wyobraźni. Weźmy jej przodków - albo myśliwi, albo generałowie dawnego typu, nie wahający się użyć broni. Bardzo prawa i pewna siebie i bynajmniej nie bała się brać w swoje ręce spraw życia i śmierci.

- Czy nie za daleko się posuwasz?

- Może, ale zawsze bałam się takich ludzi. Ogromna prawość, ale i brak wyrozumiałości dla innych. A moja matka? Jest aktorką, cudowną osobą, ale nie ma za grosz wyczucia proporcji. Jest straszną egoistką, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Wszystko widzi tylko przez pryzmat własnych korzyści. Czasami to przerażająca cecha. A Clemency, żona wuja Rogera? Jest naukowcem, prowadzi ważne badania. Również jest bezwzględna, w sposób zimny, bezosobowy. Wuj Roger stanowi jej przeciwieństwo, ale za to jest cholerykiem. Jak się wścieknie, nie kontroluje tego, co robi. Z kolei ojciec... - umilkła. Po dłuższej chwili powiedziała powoli:

- Ojciec z kolei aż za dobrze nad sobą panuje. Nigdy nie wiadomo, co myśli. Wcale nie okazuje emocji. Prawdopodobnie stanowi to podświadomą obronę przed wybuchającą emocjonalnością matki, ale czasem martwi mnie jego zamknięcie się w sobie.

- Moja dziecinko - powiedziałem - niepotrzebnie doprowadzasz się do takiego stanu. Jeśli już

o to chodzi, niemal każdy jest zdolny do zbrodni.

- Myślę, że masz rację. Ja też.

- Nie, ty nie!

- Ależ tak, Charles, nie możesz mnie wykluczyć. Myślę, że byłabym zdolna zabić człowieka... -  
urwała i po chwili dodała: - ale powód musiałby być naprawdę tego warty.

Wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać! Sophia uśmiechnęła się.

- Może jestem niemądra - rzekła - ale i tak musimy dotrzeć do prawdy w sprawie śmierci  
dziadka. Po prostu musimy. Gdyby tylko okazało się, że to Brenda...

Nagle ogarnęło mnie współczucie dla Brendy Leonides.

## Rozdział piąty

Ścieżką szła w naszym kierunku wysoka kobieta w zdefasonowanym starym kapeluszu,  
bezkształtnej spódnicy i przydługim swetrze.

- Ciotka Edith - wyjaśniła Sophia.

Kobieta przystanęła parę razy, nachylając się nad grządką, a potem podeszła do nas. Wstałem.

- To jest Charles Hayward, ciociu Edith. Charlesie, moja ciotka, pani de Haviland.

Edith de Haviland liczyła sobie około siedemdziesięciu lat. Miała siwe, nieco rozczochrane  
włosy i ogorzałą twarz, w której świeciły bystre oczy.

- Słyszałam o panu - powiedziała. - Wrócił pan ze Wschodu. Jak się ma ojciec?

Raczej zdziwiony, odparłem, że całkiem dobrze.

- Znałam go, kiedy był chłopcem - powiedziała panna de Haviland. - Dobrze znałam jego  
matkę. Jest pan do niej podobny. Przyjechał pan nam pomóc... czy wręcz przeciwnie?

- Mam nadzieję, że państwu pomogę - odparłem dość skrzępowany.

Kiwnęła głową.

- Przydałaby się nam jakaś pomoc. Dom roi się od policjantów. Co chwila się na nich wpada.  
Nie wszyscy mi się podobają. Jeśli ktoś skończył dobrą szkołę, nie powinien iść do policji. Parę dni  
temu widziałam, jak chłopak Moyry Kinoul kierował ruchem koło Marble Aren. Co się z tym

światem porobiło!

Ciotka zwróciła się do Sophii:

- Niania prosiła, żebyś przyszła. Chodzi o rybę. -.Muszę iść zadzwonić - westchnęła Sophia.

Szybkim krokiem ruszyła do domu. Panna de Haviland również zaczęła iść w tym kierunku. Postanowiłem jej towarzyszyć.

- Nie wiem, co byśmy robili bez niań - powiedziała panna de Haviland. - Prawie każdy ma starą nianię, która pierze, prasuje, gotuje i sprząta. A przede wszystkim jest wierna. Naszą nianię sama wybrałam, wiele lat temu.

Zatrzymała się i ze złością wyrwała z ziemi długi, wijący się pęd.

- Nie znam gorszego chwastu niż powój! Wszystko wydusi, I nie da się go dobrze wyrwać, ma długie korzenie.

Mściwie rozdeptała wyrwane łodygi. Spojrzała na dom i westchnęła.

- Jest niedobrze, panie Hayward - powiedziała. - Co o tym myśli policja? Chyba nie powinnam pana o to pytać. Wydaje mi się dziwne, że stary Arystydes został otruty. Choć właściwie najdziwniejsze jest to, że w ogóle umarł. Nigdy go nie lubiłam, ale jakoś nie mogę przyzwyczaić się do tego, że go nie ma... Bez niego dom wydaje się taki pusty.

Nic nie odparłem. Edith de Haviland pogрузzyła się we wspomnieniach.

- Dziś rano myślałam o tym, że mieszkam tu już od ponad czterdziestu lat! Przyjechałam po śmierci siostry. On mnie zaprosił. Mieli siedmioro dzieci, najmłodsze skończyło rok... Nie mogłam pozwolić, by wychowywał je jakiś cholerny południowiec! Oczywiście, małżeństwo było jak najbardziej niestosowne. Zawsze uważałam, że musiał rzucić urok na Marcie. Taki brzydki, pospolity obcokrajowiec! Choć muszę przyznać, że w kwestii wychowania dzieci dał mi wolną rękę. Sama Wybierałam dla nich opiekunki, guwernantki, szkoły. Dzieci jadły zdrowe potrawy, a nie ten ryż na ostro, który on tak lubił.

- Od tej pory cały czas pani tu mieszka?

- Tak. Może to i dziwne... Oczywiście, mogłam się wyprowadzić, kiedy dzieci wyrosły i pozakładały własne rodziny... Przypuszczam, że za bardzo wciągnął mnie ogród. A poza tym chodziło też o Philipa. Mężczyzna, który żeni się z aktorką, nie może oczekiwać, że będzie miał dom. Pojęcia nie mam, po co aktorki mają dzieci. Ledwie dziecko się urodzi, one od razu wyjeżdżają do teatru w Edynburgu albo gdzieś indziej - im dalej, tym lepiej. Philip znalazł dobre rozwiązanie - z powrotem się tu wprowadził, razem ze swoimi książkami.

- Co robi Philip Leonides?

- Pisze książki. Nie mam pojęcia, po co. I tak nikt ich nie czyta. Kogo interesują rozważania na

temat nieistotnych detali historycznych? Pan też nigdy o nim nie słyszał, prawda?

Musiałem przyznać jej rację.

- Miał za dużo pieniędzy - orzekła panna de Haviland. - Większość ludzi nie może sobie pozwolić na folgowanie dziwactwom, bo musi zarobić na życie.

- Książki nie przynoszą mu dochodu?

- Pewnie, że nie. Jeśli chodzi o jakiś tam okres historyczny, uważa się go za niepodważalny autorytet. Ale nie musi zarabiać pieniędzy pisaniem. Arystydes scedował na niego jakąś zupełnie fantastyczną sumę, ze sto tysięcy funtów. Żeby uniknąć podatku spadkowego! Arystydes wszystkim im zapewnił niezależność finansową. Roger prowadzi Zjednoczenie Gastronomiczne, a Sophia otrzymuje bardzo przyzwoitą pensję. Pieniądze dla dzieci są w depozycie.

- Zatem nikt zbytnio nie skorzystał na jego śmierci? Rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- Ależ owszem. Teraz wszyscy mają jeszcze więcej pieniędzy. Ale gdyby poprosili, to pewnie by i tak je dostali.

- Czy pani wie, kto go otruł?

- Nie mam pojęcia. Bardzo mnie to martwi. Nie jest miło pomyśleć, że ma się w domu drugą Lukrecję Borgię. Sądzę, że policja zatrzyma biedną Brendę.

- Uważa pani, że niesłusznie?

- Nie wiem. Zawsze sprawiała na mnie wrażenie osoby wyjątkowo głupiej i pospolitej, a do tego bardzo konwencjonalnej. Nie tak wyobrażam sobie truciciela. Choć właściwie, jeśli młoda, dwudziestoczteroletnia kobieta wychodzi za mąż za mężczyznę niemal osiemdziesięcioletniego, jest jasne, że robi to dla pieniędzy. Na pewno spodziewała się, że wkrótce zostanie bogatą wdową. Ale Arystydes bardzo dobrze się trzymał. Cukrzyca się nie pogorszała. Wyglądało na to, że może dożyć setki. Pewnie znudziło ją czekanie.

- Takie rozwiązanie... - urwałem.

- Takie rozwiązanie byłoby najlepsze - wtrąciła panna de Haviland. - Oczywiście, nie uniknęłoby się irytującego rozgłosu. Ale najważniejsze, że ona właściwie nie jest z nami spokrewniona.

- Nie widzi pani innego rozwiązania? - zapytałem.

- Jakie inne rozwiązanie mogłabym widzieć?

Zamyśliłem się. Podejrzywałem, że nie mówi wszystkiego, co chodzi jej po głowie. Przyszło mi na myśl, że mimo pewnej niespójności wypowiedzi panna de Haviland ma bardzo bystry umysł. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy to nie ona otruła Arystydesa Leonidesa.

Pomysł nie był absurdalny. Nie mogłem zapomnieć zapamiętałej mściwości, z jaką wdeptywała w ziemię powój.

Przypomniałem sobie słowo, którego użyła Sophia: bezwzględność.

Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na Edith de Haviland.

Gdyby miała wystarczający powód... Ale co Edith de Haviland uważałaby za wystarczający powód? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym ją lepiej poznać.

## Rozdział szósty

Drzwi wejściowe były otwarte. Weszliśmy do zaskakująco obszernego hallu, urządzonego z pewną powściągliwością. Głównymi akcentami był ciemny świecący dąb i błyszczący mosiądz. W głębi, gdzie zazwyczaj są schody na piętro, znajdowała się biała ściana z drzwiami.

- Ta część domu należała do mojego szwagra - wyjaśniła panna de Haviland. - Na parterze mieszka Philip z rodziną.

Drzwi na lewo zaprowadziły nas do dużego błękitnego salonu z ciężkimi, obitymi brokatem meblami. Na wszystkich stolikach i ścianach znajdowały się fotografie i obrazy przedstawiające aktorów, sceny ze sztuk i rysunki. Nad kominkiem wisiały baletnice Degasa. W salonie stało mnóstwo kwiatów, ogromne brunatne chryzantemy i wielkie wazony goździków.

- Sądzę, że chce się pan zobaczyć z Philipem - powiedziała panna de Haviland.

Czy chciałem się z nim spotkać? Nie mam pojęcia. Przede wszystkim pragnąłem zobaczyć się z Sophią i to mi się udało. Bardzo poparła plan mojego ojca, ale poszła gdzieś dzwonić w sprawie ryby i zostawiła mnie samego, nie dając żadnych wskazówek, co mam dalej robić. Czy przedstawić się Philipowi jako kandydat do ręki jego córki, jako zwykły znajomy, który wpadł ją odwiedzić (ale chyba nie robiłby tego w takim momencie!), czy też jako współpracownik policji?

Panna de Haviland nie dała mi czasu, bym mógł zastanowić się nad jej pytaniem. Choć właściwie to nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Wydawało mi się to dla niej typowe, że nie pytała, tylko twierdziła.

- Chodźmy do biblioteki - zaproponowała.

Biblioteka była duża, pełna książek, które nie mieściły się w sięgających sufitu regałach i zajmowały także krzesła, stoły, a nawet częściowo podłogę. A jednak nie miało się wrażenia bałaganu.

W pokoju było zimno. Zaskoczyło mnie, że nie czuło się w nim zapachu, którego podświadomie

oczekiwałem. Pachniało stęchlizną starych książek i woskiem do podłóg. Po chwili zdałem sobie sprawę, czego mi brakowało: zapachu tytoniu. Philip Leonides nie palił.

Na nasz widok podniósł się zza biurka. Był wysokim mężczyzną koło pięćdziesiątki, wyjątkowo przystojnym. Wszyscy tak podkreślali brzydotę Arystydesa, iż wydawało mi się, że jego syn też okaże się brzydki. Nie byłem przygotowany na taką doskonałość rysów: prosty nos, łagodna linia szczęki, jasne, przyprószone siwizną włosy, nie zasłaniające kształtne czoła.

- Philipie, to Charles Hayward - przedstawiła mnie panna de Haviland.

- Bardzo mi miło - odparł.

Nie potrafiłem powiedzieć, czy kiedykolwiek o mnie słyszał. Ręką, którą mi podał, była zupełnie zimna. Jego twarz nie wyrażała żadnego zainteresowania. Poczujęm się zdenerwowany.

- Gdzie są ci okropni policjanci? - spytała panna de Haviland. - Byli tu?

- Wydaje mi się, że za chwilę przyjdzie tu na rozmowę ze mną nadinspektor - rzucił okiem na kartkę na biurku - nadinspektor Taverner.

- A gdzie on teraz jest?

- Nie mam pojęcia, ciociu Edith. Chyba na górze.

- Z Brendą?

- Naprawdę nie wiem.

Patrząc na Philipa Leonidesa, nie chciało się wierzyć, że ktoś w jego otoczeniu mógł popełnić morderstwo.

- Czy Magda wstała?

- Nie wiem. Zazwyczaj nie wstaje przed jedenastą.

- To do niej podobne - mruknęła Edith de Haviland. W tym momencie usłyszeliśmy wysoki kobiecy głos.

Zbliżał się szybko w stronę biblioteki. Drzwi za mną gwałtownie się otworzyły i weszła pani Magda Leonides. Zrobiła to w taki sposób, że mieliśmy wrażenie, jakby weszły trzy kobiety, nie jedna.

Pani Leonides paliła papierosa w długiej cygarniczce i jedną ręką przytrzymywała fałdy brzoskwiniowego satynowego negliżu. Na jej plecach spływała kaskada tycjanowskich włosów. Była nie umalowana, co w dzisiejszych czasach robi szokujące wrażenie, jakby kobieta była naga. Ogromne błękitne oczy utkwiała w mężu i tłumaczyła mu szybko miłym, matowym głosem, z bardzo wyraźną wymową:

- Kochanie, ja tego nie zniosę, po prostu nie zniosę, pomyśl tylko o artykułach, choć w gazetach jeszcze nic nie ma, ale oczywiście będą... a ja po prostu nie mam pojęcia, co włożyć na rozprawę, na pewno coś bardzo stonowanego, nie czerń, może ciemną purpurę, a nie mam już ani jednej kartki na materiał i w dodatku zgubiłam adres tego paskudnego człowieka, od którego je kupuję, wiesz, tego z warsztatu samochodowego w pobliżu Shaftesbury Avenue, jeśli tam pojedę, to policja na pewno będzie mnie śledzić, a potem będą zadawać bardzo niewygodne pytania, prawda? To znaczy - jak im to wytłumaczyć? Philipie, jaki ty jesteś nieludzko spokojny! Jak możesz być tak spokojny? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że teraz będziemy mogli wyprowadzić się z tego okropnego domu? Nareszcie jesteśmy wolni! Och, to zabrzmiało tak niezyczliwie, biedny staruszek, oczywiście gdyby żył, nigdy byśmy go nie opuścili. Naprawdę uwielbiał nas, mimo że ta jego żona próbowała nas skłócić. Jestem pewna, że gdyby nie było nas na miejscu, doprowadziłaby do tego, że wydziedziczyłby nas. Co za okropna kobieta! On nie miał jeszcze dziewięćdziesięciu lat! Cała nasza miłość rodzinna nie była w stanie jej przeszkodzić. Wiesz, Philipie, wydaje mi się to cudowną okazją, by zaprezentować sztukę o Edith Thompson. Morderstwo zapewniłoby nam reklamę. Bildenstein powiedział, że mógłby załatwić teatr - ta okropna sztuka o górnikach lada chwila schodzi - a to byłaby wspaniała rola, po prostu wspaniała. Wiem, że z powodu mojego nosa muszę grać tylko role komediowe, ale ze sztuki o Edith Thompson można wydobyć mnóstwo wątków komediowych, nie wiem, czy autor zdawał sobie z tego sprawę, a komedia zawsze podnosi napięcie. Wiem, jak zagrałabym tę rolę - zwyczajna, głupia, pospolita kobieta aż do ostatniej chwili, a potem...

Dramatycznie rozłożyła ramiona. Z cygarniczki wypadł papieros prosto na biurko Philipa. Philip bez emocji podniósł go i wrzucił do kosza.

- A potem - szepnęła Magda Leonides z pobladłą nagle twarzą - zostaje tylko przerażenie...

Przez chwilę w jej oczach odbijało się zastygłe przerażenie, po czym twarz złagodniała, przybrała grymas jakby zdezorientowanego dziecka, które zaraz wybuchnie płaczem.

Nagle z jej oblicza znikły wszystkie emocje, jakby starte gąbką z tablicy. Pani Leonides odwróciła się do mnie i zapytała obojętnym tonem:

- Czy nie uważa pan, że tak właśnie powinno się zagrać Edith Thompson?

Powiedziałem, że naturalnie ma rację. W tej chwili nie bardzo nawet pamiętałem, kto to była Edith Thompson, ale za wszelką cenę chciałem się przypodobać matce Sophii.

- Bardzo przypomina Brendę, nieprawdaż? - zauważyła Magda. - Ciekawe, że dopiero teraz przyszło mi to na myśl. Czy powinnam wspomnieć inspektorowi o tym podobieństwie?

Jej mąż zmarszczył lekko brwi.

- Doprawdy, Magdo, po co masz się z nim spotykać?

- powiedział. - Przecież ja mogę mu wszystko przekazać.

- Dlaczego nie mam się z nim zobaczyć? - zapytała lekko podniesionym głosem. - Osobiście

uważam, że to konieczne! Kochanie, jesteś tak kompletnie pozbawiony wyobraźni, w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak ważne są szczegóły. Będzie chciał dokładnie dowiedzieć się, co i jak się wydarzyło, poznać te wszystkie drobnostki, które wtedy wpadły w oko i wydały się zastanawiające...

- Mamo - powiedziała Sophia wchodząc do pokoju - nie wolno ci nakłamać inspektorowi.

- Ależ Sophio, kochanie...

- Wiem, mamuś, że masz już opracowane całe przedstawienie. Ale powinnaś to rozegrać całkiem inaczej.

- Bzdura. Nie wiesz...

- Wiem, wiem. Powinnaś zagrać to zupełnie inaczej. Wyobraź sobie kobietę, która jest opanowana, bardzo ostrożna, mówi mało, wszystko zatrzymuje dla siebie, cała jest nastawiona na ochronę rodziny.

Na twarzy pani Leonides odbiło się niezdecydowanie.

- Naprawdę tak uważasz, córeczko?

- Tak, oczywiście. Tak właśnie powinnaś zrobić. Pani Leonides zastanawiała się przez moment. Gdy tylko na jej twarzy ukazał się zwiastun uśmiechu, Sophia szybko zagadnęła:

- Przygotowałam ci czekoladę. Jest w salonie.

- Och, jak to dobrze. Jestem taka głodna... Wychodząc, jeszcze zatrzymała się w drzwiach.

- Nie wiecie - powiedziała w przestrzeń, gdzieś między mną a szafą biblioteczną - jak wspaniale jest mieć córkę.

Z tymi słowy zamknęła za sobą drzwi.

- Bóg wie - westchnęła panna de Haviland - co naopowiada policji.

- Nie sprawi kłopotu - pocieszyła ją Sophia.

- Jest w stanie powiedzieć, co jej ślina na język przyniesie - martwiła się ciągle panna de Haviland.

- Nie bój się, ciociu. Zrobi, co jej reżyser każe. Ja tu jestem reżyserem.

Sophia uśmiechnęła się do ciotki i wyszła za matką, by po chwili wrócić z oznajmieniem:

- Nadinspektor Taverner przyszedł się z tobą zobaczyć, tato. Nie masz nic przeciwko temu, by Charles też był obecny, prawda?

Wydawało mi się, że na twarzy Philipa Leonidesa mignęło zaskoczenie. Nie dziwiłbym się! Ale po chwili opanował ciekawość.

- Naturalnie, nie przeszkadza mi to - mruknął. Nadinspektor Taverner, solidny i niezawodny, wszedł do pokoju. Jego oficjalne zachowanie w dziwny sposób działało kojąco.

„Tylko ta jedna drobna nieprzyjemność - wydawało się mówić jego zachowanie - a potem na dobre opuścimy wasz dom. Mnie też to nie sprawia przyjemności. Wcale nie zależy nam na tym, by się wam naprzykrzać, proszę mi wierzyć”.

Nie wiem, jak to zdołał wyrazić tylko przez przystawienie krzesła do biurka. Ja sam usiadłem w pewnym oddaleniu.

- Słucham, nadinspektorze - powiedział Philip.

- Pan mnie nie potrzebuje, nadinspektorze? - spytała panna de Haviland.

- Nie w tej chwili. Ale gdybym mógł później liczyć na parę słów...

- Naturalnie. Będę na górze.

Wyszła zamykając za sobą drzwi.

- Słucham inspektorze - powtórzył Philip.

- Wiem, że jest pan bardzo zajęty i nie będę zabierał panu wiele czasu. Muszę jednak powiedzieć w zaufaniu, że podejrzenia się potwierdziły. Pański ojciec nie zmarł śmiercią naturalną. Zgon nastąpił na skutek przedawkowania fizostygminy, lepiej znanej pod nazwą ezeryny.

Philip nie okazał większych emocji. Skinął głową.

- Nie wiem, czy to panu coś mówi - ciągnął nadinspektor.

- A co ma mi to mówić? Uważam, że ojciec truciznę zażył przez przypadek.

- Naprawdę pan tak myśli, panie Leonides?

- Cóż, wydaje się to zupełnie możliwe. Proszę pamiętać, że miał niemal pięćdziesiąt lat i niezbyt dobrze widział.

- I dlatego krople do oczu przelał do butelki po insulynie? Rzeczywiście wydaje się to panu prawdopodobne?

Philip nie odpowiedział. Jego twarz pozostała zupełnie bez wyrazu.

- W koszu znaleźliśmy pustą butelkę po kroplach do oczu - ciągnął Taverner. - Nie było na niej żadnych śladów palców. Już to jest dziwne. Normalnie powinny być odciski pańskiego ojca, może

jego żony lub służącego...

Philip Leonides podniósł wzrok.

- A co ze służącym? Co powiecie o Johnsonie?

- Sugeruje pan, że to jego robota? Naturalnie, miał okazję. Ale brak mu motywu. Pański ojciec raz w roku płacił mu premię - i to co rok większą. Powiedział, że ma mu to zrekompensować brak zapisu w testamencie. Obecnie, po siedmiu latach służby, premia była bardzo wysoka i jeszcze by wzrastała. Johnsonowi powinno zależeć, by pański ojciec żył jak najdłużej. Ponadto byli w doskonałych stosunkach, a dotychczasowa służba Johnsona w innych domach przebiegała bez zarzutu. Jest doskonale wyszkolony i wierny.

Po krótkiej pauzie dodał:

- Nie podejrzewamy go.

- Rozumiem - odparł bezbarwnie Philip.

- Panie Leonides, czy zechciałby mi pan zdać dokładną relację ze swoich poczynań w dniu śmierci ojca?

- Naturalnie, nadinspektorze. Cały dzień spędziłem tu, w tym pokoju. Oczywiście z wyjątkiem posiłków.

- Czy w ogóle widział się pan z ojcem?

- Jak zwykle poszedłem przywitać, się z nim rano po śniadaniu.

- Był pan z nim sam?

- W pokoju była moja... eee... macocha.

- Czy ojciec wydawał się taki jak zwykle?

- Nie miał przecucia, że zostanie zamordowany - odparł Philip z leciutką nutką ironii w głosie.

- Czy mieszkanie ojca jest całkowicie oddzielone od pozostałych?

- Tak, jest tylko jedno wejście - przez drzwi w hallu.

- Czy te drzwi są zamknięte?

- Nie.

- Nigdy?

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek były zamknięte.

- Zatem każdy łatwo mógł tam wejść?

- Oczywiście. Dom został podzielony na osobne mieszkania tylko dlatego, że tak było wygodniej.

- Jak pan dowiedział się o śmierci ojca?

- Mój brat Roger, który zajmuje zachodnie skrzydło pierwszego piętra, wpadł tu i powiedział, że ojciec ma atak. Wspomniał, że ma trudności w oddychaniu i że jest w złym stanie.

- I co pan zrobił?

- Zadzwoiłem po lekarza, o czym nikt wcześniej nie pomyślał. Lekarza nie było, ale zostawiłem wiadomość, żeby przyszedł, jak tylko wróci. A potem poszedłem na górę. Ojciec był bardzo chory. Umarł, zanim zjawił się lekarz.

Głos Philipa był wyprany z emocji.

- Gdzie była wtedy reszta pańskiej rodziny?

- Moja żona była w Londynie. Zresztą wkrótce wróciła. Wydaje mi się, że Sophia też gdzieś wyszła. Dwójka młodszych, Eustace i Josephine, byli w domu.

- Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli zapytam, w jaki sposób śmierć ojca wpłynie na pańską pozycję finansową.

- Doceniam to, że chce pan znać wszystkie fakty. Ojciec zapewnił nam niezależność finansową już wiele lat temu. Mój brat został przewodniczącym i głównym właścicielem Zjednoczenia Gastronomicznego - jego największego przedsiębiorstwa. Powierzył mu całkowicie zarządzanie tą firmą. Mnie przekazał sumę, która stanowiła równowartość tego, co otrzymał brat, i którą mogłem dowolnie rozporządzać. Wyniosło to około stu pięćdziesięciu tysięcy funtów w papierach wartościowych i obligacjach. Hojnie zabezpieczył również moje obie nieżyjące siostry.

- Ale nadal pozostał bogatym człowiekiem?

- Nie, właściwie zostawił sobie tylko skromny dochód. Powiedział, że dzięki temu nie straci zainteresowania życiem. Od tej pory - po raz pierwszy na usta Philipa wypłynął lekki uśmiech - w rezultacie różnych przedsięwzięć zebrał fortunę większą niż ta, którą między nas rozdzielił.

- Zarówno pan, jak i brat z powrotem zamieszkaliście z ojcem. Czy nie było to podyktowane... kłopotami materialnymi?

- Och, nie. Tak było wygodniej. Ojciec zawsze powtarzał, że chętnie by mieszkał razem z nami. Z różnych względów okazało się to wygodne. Poza tym - dodał Philip z niejakim skrepowaniem - bardzo kochałem ojca. Wprowadziłem się tu z rodziną w 1937 roku. Nie płacę czynszu, ale wpłacam

swoją część podatku komunalnego.

- A brat?

- Wprowadził się tu w 1943 roku, gdy jego dom w Londynie został zbombardowany.

- Panie Leonides, czy wie pan, jak pański ojciec rozdzielił majątek w testamencie?

- Bardzo dobrze wiem. W 1946 roku zrobił nowy testament. Ojciec niczego przed nami nie ukrywał. Zwołał naradę rodzinną, zaprosił również swojego prawnika, który przedstawił nam postanowienia testamentu. Sądzę, że zna pan ostatnią wolę ojca - pan Gaitskill bez wątplenia pana z nią zapoznał. Z grubsza rzecz biorąc wygląda to tak, że macocha, oprócz sumy przewidzianej w intercyzie, otrzymuje sto tysięcy funtów wolnych od podatku. Reszta zostaje podzielona na trzy równe części: jedna przypada mnie, jedna bratu i jedna, pozostawiona w zarządzie powierniczym, wnukom. Majątek jest spory, ale naturalnie podatek spadkowy też dużo wyniesie.

- Czy są jakieś zapisy dla służby lub instytucji charytatywnych?

- Nie. Zarobki służby wzrastały z każdym rokiem pracy.

- Proszę wybaczyć moje pytanie, ale czy pan nie jest w kłopotach finansowych?

- Wprawdzie podatek dochodowy jest spory, nadinspektorze, ale moje dochody w zupełności wystarczają na pokrycie potrzeb moich i mojej żony. Poza tym ojciec często robił nam hojne prezenty. Gdyby zaistniała taka potrzeba, natychmiast pospieszyłby na pomoc. I - dodał chłodno i wyraźnie - zapewniam pana, nadinspektorze, że nie miałem materialnych powodów, by pragnąć śmierci ojca.

- Bardzo pana przepraszam, jeśli coś takiego dało się wywnioskować z moich słów. Niestety, musimy zebrać wszystkie fakty. Obawiam się, że będę musiał zadać panu jeszcze parę delikatnych pytań. Odnoszą się one do stosunków między pańskim ojcem a jego żoną. Czy między nimi wszystko było w porządku?

- O ile wiem, jak najlepiej.

- Żadnych kłótni?

- Nie sądzą.

- Istniała jednak wielka... różnica wieku.

- Owszem.

- Czy pan - przepraszam za pytanie - aprobował małżeństwo ojca?

- Ojciec nie pytał mnie o zdanie.

- To nie jest odpowiedź,
- Skoro pan nalega, odpowiem, że uważałem to małżeństwo za nierozsądny krok.
- Czy starał się pan odwieść ojca od tego pomysłu?
- Kiedy się dowiedziałem, było już po wszystkim.
- Niezły szok, nieprawdaż?

Philip nie odpowiedział.

- Czy rodzina nie miała mu tego za złe?
- Ojciec miał prawo robić to, na co miał ochotę.
- A czy był pan w przyjaznych stosunkach z panią Leonides?
- Jak najbardziej.
- Czy zostaliście przyjaciółmi?
- Bardzo rzadko się spotykamy. Nadinspektor Taverner zmienił temat.
- Może mi pan coś powiedzieć o panu Laurensie Brownie?
- Niestety, nie mogę. Zatrudniał go mój ojciec.
- Ale jest nauczycielem pańskich dzieci, panie Leonides.

- To prawda. Mój syn przeszedł paraliż dziecięcy, na szczęście bardzo lekko, i posyłanie go do szkoły zostało uznane za niewskazane. Ojciec zaproponował, żeby dla niego i dla mojej młodszej córki Josephine zatrudnić prywatnego nauczyciela. W tamtym czasie nie było wielkiego wyboru, zostali tylko ci niezdatni do służby wojskowej. Pan Brown przedstawił dobre referencje, ojciec i ciotka (która zawsze zajmowała się dziećmi) byli usatysfakcjonowani, więc się zgodziłem. Muszę dodać, że jeśli chodzi o nauczanie, nie mam mu nic do zarzucenia. Jest sumienny i dokładny.

- Mieszka w części domu należącej do pańskiego ojca, nie tutaj, prawda?
- Tu nie ma już miejsca.

- Czy kiedykolwiek zauważył pan - przykro mi, że muszę o to zapytać - że pan Brown pozostawał w zażyłych stosunkach z pańską macochą?

- Nie miałem okazji zauważyć niczego podobnego.
- A czy słyszał pan jakieś plotki na ten temat?

- Nie słucham plotek, panie nadinspektorze.

- Godne pochwały. Zatem nie widział pan nic złego, nie słyszał o niczym złym i o niczym złym pan nie mówi?

- Można to i tak określić.

- No cóż, dziękuję panu bardzo, panie Leonides. Dyskretnie wyszedłem za nim z pokoju.

- Uff - westchnął nadinspektor Taverner. - Zimna ryba!

## Rozdział siódmy

- Teraz zamienimy słówko z panią Philipową - powiedział Taverner. - Jej artystyczny pseudonim to Magda West.

- Jest dobrą aktorką? - zapytałem. - Nazwisko nie jest mi obce. Wydaje mi się, że widziałem ją w kilku sztukach, ale nie pamiętam, w których.

- Należy do tych, którzy cały czas się dobrze zapowiadają. Parę razy występowała w teatrach na West End. Zdobyła uznanie w dobrym repertuarze, występuje na ambitnych scenach i w klubach niedzielnych. Myślę, że najbardziej zaszkodziło jej to, że nigdy nie musiała aktorstwem zarabiać na życie. Zawsze mogła przebierać w angażach, czasem finansowała wystawienie sztuki, w której pragnęła zagrać jakąś rolę - najczęściej najmniej dla siebie odpowiednią. W rezultacie cofnęła się do klasy amatorów. Jest dobra, szczególnie w komedii, ale reżyserzy nie lubią z nią pracować. Mówią, że jest zbyt niezależna, lubi siać niezgodę, podżega do awantur i knuje intrygi. Nie wiem, ile z tego jest prawdą, ale w środowisku aktorów też nie jest zbyt lubiana.

Z salonu wyszła Sophia i rzekła:

- Panie nadinspektorze, matka pana prosi. Podążyłem do salonu za Tavernerem. W pierwszej chwili nie poznałem kobiety siedzącej na kanapie.

Tycjanowskie włosy miała upięte wysoko na głowie w edwardiańską koafiurę. Ubrana była w ciemnoszary, świetnie skrojony kostium i jasnofioletową bluzkę spiętą pod brodą broszką z kameą. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak uroczy był jej zadarty nosecek. Nie do wiary, że była to ta sama pełna temperamentu kobieta w brzoskwiniowym negliżu.

- Pan inspektor Taverner? - upewniła się. - Proszę wejść i usiąść. Zapali pan? To straszne, nie rozumiem, jak to mogło się zdarzyć.

Mówiła cicho i bez emocji, w jej głosie czuć było wyraźny wysiłek, by za wszelką cenę zachować opanowanie.

- Proszę powiedzieć, w czym mogę panom pomóc.

- Dziękujemy, pani Leonides. Gdzie była pani w czasie tej tragedii?

- Chyba musiałam wracać z Londynu. Tego dnia umówiłam się z przyjaciółką na obiad w restauracji „Ivy”, a potem poszłyśmy na pokaz mody, a po nim na drinka z przyjaciółmi do hotelu „Berkeley”. Później wyruszyłam do domu. Kiedy przyjechałam, w domu panowało straszne zamieszanie. Podobno teść miał nagły atak. Kiedy wróciłam, już nie żył - ostatnie słowa i wymówiła z lekkim drżeniem.

- Lubiła pani teścia?

- Ach, ja go uwiel... - podniosła głos. Sophia troszeczkę wyrównała wiszący na ścianie obraz Degasa. - Bardzo go lubiłam - poprawiła się znacznie bardziej stonowanym głosem jej matka. - Wszyscyśmy go lubili. Był dla nas bardzo dobry.

- Czy stosunki z jego żoną układały się dobrze?

- Nie widywałyśmy się często.

- Dlaczego?

- Nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Biedna Brenda. Nie miała łatwego życia.

Sophia znowu poruszyła obrazem Degasa.

- Naprawdę? Miała jakieś kłopoty?

- Och, nie wiem - uśmiechając się smutno, Magda potrząsnęła głową.

- Czy pani Leonides była szczęśliwa z mężem?

- Tak mi się wydaje.

- Nie było żadnych kłótni?

Jeszcze raz potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem.

- Naprawdę nie wiem, panie inspektorze. Nasze mieszkania są zupełnie od siebie oddzielone.

- Pani Leonides była bardzo zaprzyjaźniona z panem Laurence'em Brownem, prawda?

Magda Leonides zeszywniała i spiorunowała Tavernera wzrokiem.

- Doprawdy, nie powinien mnie pan pytać o takie rzeczy. Brenda do wszystkich jest bardzo przychylnie nastawiona. To sympatyczna osoba.

- Czy pani lubi Laurence'a Browna?

- To taki spokojny człowiek. Miły, ale prawie się go nie zauważa. Rzadko go widuję.

- Czy dobrze wywiązuje się z obowiązków nauczycielskich?

- Tak sędzę. Philip wydaje się całkiem zadowolony. Taverner zdecydował się zastosować taktykę szokową.

- Przykro mi, że muszę o to zapytać, ale chciałbym wiedzieć, czy według pani Brenda Leonides miała romans z panem Brownem?

Magda wstała z kanapy i zmierzyła Tavernera lodowatym spojrzeniem wielkiej damy.

- Nigdy nie widziałam niczego, co mogłoby o tym świadczyć - odparła chłodno. - Poza tym sędzę, panie inspektorze, że nie powinien mnie pan o to pytać. W końcu Brenda Leonides była żoną mojego teścia.

Z trudem powstrzymałem się od oklasków. Nadinspektor również powstał.

- To pytanie powinienem zadać służbie? - zasugerował.

Magda nie odpowiedziała.

- Dziękuję, pani Leonides - rzekł nadinspektor i wyszedł.

- Doskonale ci poszło, mamusiu - pochwaliła Sophia.

Magda w zamyśleniu odgarnęła lok za ucho i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

- Tak - przyznała. - Sędzę, że tak właśnie należało to zagrać.

Sophia spojrzała na mnie.

- Czy nie powinieneś towarzyszyć inspektorowi? - spytała.

- Słuchaj, co ja mam...

Urwałem w pół zdania. Nie bardzo mogłem przy Magdzie Leonides spytać, jaka ma być moja rola w tej całej sprawie. Matka Sophii do tej pory nie wykazała zainteresowania moją osobą, z wyjątkiem chwili, kiedy uznała mnie za godnego, by skierować do mnie uwagę o córce. Mogłem być sobie dziennikarzem, narzeczonym córki, policjantem, a nawet grabarzem - dla Magdy Leonides podpadałem pod ogólną kategorię „słuchaczy”.

Rzuciwszy okiem na swe stopy, pani Leonides z niezadowoleniem zauważyła:

- Włożyłam złe buty. Zbyt frywolne.

Posłuszny rozkazującemu ruchowi głowy Sophii, pospieszyłem w ślady Tavernera. Dopadłem

go w hallu.

- Właśnie idę do starszego brata - wyjaśnił. Bez zwłoki wyniszczyłem mu swój problem.
- Proszę posłuchać: jaka jest właściwie moja rola? Wydawał się zdziwiony.
- Jak to, jaka rola?
- No właśnie, co ja tu robię? Jeśli ktoś mnie o to zapyta, to co mam odpowiedzieć?
- Ach, rozumiem.

Zastanawiał się przez chwilę. W końcu się uśmiechnął i spytał:

- A czy ktoś już pytał?
- Nnie.

- To niech już tak zostanie. Żadnych wyjaśnień. To dobre motto. Szczególnie w takiej sytuacji jak tu. Wszyscy są zbyt zajęci własnymi sprawami i kłopotami, aby mieć ochotę kogokolwiek o cokolwiek pytać. Nie będą kwestionowali twojego prawa do przebywania w tym domu, jak długo będziesz zachowywał się z pewnością siebie. Tłumaczenie się bez potrzeby jest dużym błędem. Hm, teraz idziemy na górę. Widzę, że wszystkie drzwi otwarte. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że wiele pytań, które zadaję, to tylko zasłona dymna. Nie ma żadnego znaczenia, kto tego dnia był w domu, a kogo nie było...

- To po co...

- Ponieważ to daje mi okazję przyjrzeć się im, posłuchać, co mają do powiedzenia. Mam nadzieję, że ktoś przez przypadek da mi użyteczną wskazówkę.

Przez chwilę milczał, a potem mruknął:

- Założę się, że pani Magda Leonides mogłaby dużo powiedzieć, gdyby tylko chciała.
- Czy można by polegać na tym, co powie?

- Naturalnie, że nie. Ale to mogłoby zapoczątkować nowy kierunek poszukiwań. W tym domu każdy miał okazję popełnienia zbrodni. Muszę dotrzeć do motywu.

Kiedy stanęliśmy na szczycie schodów, nadinspektor zapukał mosięzną kołatką w drzwi zamykające wejście do korytarza na prawo.

Drzwi gwałtownie się otworzyły, ukazując mężczyznę olbrzymich rozmiarów, niezgrabnego, z szerokimi barami, ciemnymi kręconymi włosami i wyjątkowo brzydką, choć sprawiającą sympatyczne wrażenie twarzą. Spojrzał na nas, a potem, wyraźnie skrępowany, szybko odwrócił wzrok - w sposób typowy dla ludzi nieśmiałych, ale uczciwych.

- O, to panowie - powiedział. - Proszę wejść, proszę bardzo. Miałem zamiar wyjść, ale chyba zrezygnuję. Proszę do salonu. Zawołam Clemency... ach, już jesteś, kochanie. Przedstawiam ci nadinspektora Tavernera. On chce... czy mamy jeszcze papierosy? Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę - wpadł na parawan, okropnie zmieszany mruknął do niego „bardzo przepraszam” i wyszedł z pokoju.

Zapadła cisza, zupełnie jak po pozbyciu się buczonego trzmiela.

Pani Rogerowa Leonides stała przy oknie. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zaintrygowała mnie jej osobowość - jak również atmosfera pokoju, do którego nas zaproszono.

Ściany były całkiem białe - i to naprawdę białe, a nie koloru kości słoniowej czy jasnokremowe, co często potocznie uważa się za kolor biały. Nie było bibelotów ani obrazów z wyjątkiem płótna wiszącego nad kominkiem - geometrycznej kompozycji składającej się z ciemnoszarych i granatowych trójkątów. Nie było też prawie mebli oprócz tych najpotrzebniejszych: trzech czy czterech krzeseł, stołu ze szklanym blatem i małej biblioteczki. Było za to dużo światła i przestrzeni. Diametralnie różnił się od dużego salonu na parterze, z meblami obitymi kwiecistym brokatem. Tak jak pani Rogerowa Leonides różniła się od pani Philipowej Leonides. O ile Magda Leonides mogła być - i często bywała - tuzinem rozmaitych kobiet, o tyle byłem pewien, że Clemency Leonides mogła być tylko sobą. Miała bardzo zdecydowaną osobowość.

Sądzę, że miała około pięćdziesiątki. Siwe włosy nosiła przycięte bardzo krótko, na zapałkę, ale w tej fryzurze, która zawsze była dla mnie synonimem brzydoty, wyglądała wyjątkowo ładnie. Miała wrażliwą, inteligentną twarz i jasnoszare oczy, badawczo patrzące na świat. Ubrana była w prostą ciemnoczerwoną suknię, doskonale podkreślającą szczupłość jej sylwetki.

Od razu poczułem, że Clemency Leonides jest kobietą, która może wzbudzać obawy, ponieważ - jak sądziłem - w życiu kierowała się zasadami zupełnie innymi niż zwykłe kobiety. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Sophia określiła ją jako „bezwzględna”. W pokoju było zimno i lekko zadrzałem.

- Proszę usiąść, nadinspektorze - odezwała się pani domu spokojnym, kulturalnym głosem. - Czy są jakieś nowe wieści?

- Przyczyną śmierci była ezeryna, proszę pani.

- Zatem to morderstwo - powiedziała w zamyśleniu. - To nie mógł być wypadek, prawda?

- Nie, pani Leonides.

- Bardzo proszę, żeby panowie delikatnie obchodzili się z moim mężem. On bardzo przeżywa tę sprawę. Uwielbiał ojca i jego śmierć była ogromnym ciosem. Jest bardzo uczuciowy.

- Pani była w dobrych stosunkach z teściem?

- Owszem. Chociaż go nie lubiłam.

- A to dlaczego?

- Obce mi były cele, do których dążył, i nie podobały mi się metody, jakimi je osiągał.

- A jak układały się stosunki z panią Brendą Leonides?

- Z Brendą? Nie widywałyśmy się za często.

- Czy uważa pani, że to możliwe, by było coś między nią a panem Laurence'em Brownem?

- To znaczy... romans? Nie sędzę. Ale nawet gdyby mieli romans, to ja i tak bym nic o tym nie wiedziała - jej głos zdradzał kompletny brak zainteresowania tematem.

Do pokoju wpadł Roger Leonides i od razu narobił zamieszania.

- Nie mogłem wrócić od razu - wyjaśnił. - Zatrzymał mnie telefon. I co, inspektorze? Jakie wieści? Co spowodowało śmierć mojego ojca?

- Zgon nastąpił na skutek zatrucia ezeryną.

- Naprawdę? Mój Boże! Zatem to ta kobieta! Wyciągnął ją z rynsztoka, a ona tak mu odpłaciła! Zamordowała go z zimną krwią! Boże, krew się we mnie gotuje, gdy o tym pomyślę.

- Czy ma pan jakieś szczególne powody, by uważać, że winna jest jego żona? - spytał Taverner.

Roger biegał nerwowo po pokoju, wrywając sobie włosy.

- Powody? Panie, pan pyta o powody? A kto inny to mógł być? Nigdy jej nie ufałem, nie lubiłem jej. Nikt z nas jej nie lubił. Philip i ja byliśmy przerażeni, kiedy ojciec powiedział nam, co zrobił! I to w jego wieku! To czyste szaleństwo!!! Mój ojciec był zdumiewającym człowiekiem, panie inspektorze. Umysłowo był sprawny jak czterdziestolatek. Wszystko, co mam, zawdzięczam jemu. Mnóstwo dla mnie zrobił, nigdy mnie nie zawiodł. To ja jego zawiodłem! Kiedy tylko o tym pomyślę...

Opadł na krzesło. Cicho podeszła do niego żona.

- Dosyć, Roger, wystarczy już tego. Nie doprowadzaj się do takiego stanu.

- Wiem, kochanie, wiem - szepnął, biorąc ją za rękę - ale jak mogę pozostać spokojny, jak mogę się nie podniecać...

- Wszyscy musimy zachować spokój. Nadinspektor potrzebuje naszej pomocy.

- Ma pani rację, pani Leonides.

- Czy wiecie, co bym chętnie zrobił? - wykrzyknął Roger. - Zadusiłbym tę kobietę własnymi rękoma! Żałowała biedakowi tych paru lat życia. Gdybym ją dopadł... - trzęsąc się z wściekłości,

zerwał się na równe nogi i wyciągnął przed siebie ręce - tak, ukreśliłbym jej łeb, ukreśliłbym, jej łeb...

- Roger! - zmitygowała go ostrym głosem Clemency. Spojrzał na nią zmieszany.

- Przepraszani, najdroższa - powiedział do żony. A do nas: - Proszę mi wybaczyć. Dałem się ponieść uczuciom. Przepraszam na chwilę.

Znowu wyszedł z pokoju.

- W rzeczywistości nie skrzywdziłby muchy - powiedziała Clemency Leonides ze słabym uśmiechem.

Taverner grzecznie przyjął jej uwagę, po czym powrócił do tak zwanych rutynowych pytań.

Clemency Leonides odpowiadała dokładnie i treściwie.

W dniu śmierci ojca Roger Leonides był w Londynie, w głównej siedzibie Zjednoczenia Gastronomicznego. Wrócił do domu wczesnym popołudniem i - jak zawsze - spędził trochę czasu u ojca. Ona sama była w pracy, jak co dzień, w Instytucie Lamberta na Gower Street. Wróciła do domu tuż przed szóstą.

- Widziała się pani z teściem?

- Nie. Ostatni raz widziałam go poprzedniego dnia. Piliśmy razem poobiednią kawę.

- Ale nie widziała się z nim pani w dniu jego śmierci?

- Nie. Choć byłam w jego mieszkaniu, bo Roger mówił, że zostawił tam fajkę, którą bardzo lubił, ale okazało się, że leżała na stoliku w hallu, więc nawet nie musiałam przeszkadzać teściowi. Często koło szóstej ucinął sobie drzemkę.

- Kiedy usłyszała pani o jego ataku?

- Brenda przybiegła nam powiedzieć. To było minutę lub dwie po wpół do siódmej.

Podziwiałem uwagę, z jaką inspektor badał siedzącą kobietę, odpowiadającą na pytania, które - jak wiedziałem - były nieistotne. Potem zapytał ją o pracę w Londynie. Odparła, że zajmuje się działaniem promieniowania powstającego podczas rozpadu jądra atomowego.

- Pracuje pani nad bombą atomową, prawda?

- Nie, nie pracuję nad niczym tak destrukcyjnym. - Instytut prowadzi badania nad leczniczym działaniem promieniowania.

Taverner zbierał się już do wyjścia, kiedy poprosił o pokazanie mu mieszkania. Pani Leonides wydawała się nieco zaskoczona, ale oprowadziła go bez oporów. Sypialnia, z bliźniaczymi łózkami

przykrytymi białymi kapami i prosta toaletka znowu sprawiły na mnie wrażenie szpitala lub mniszej celi. Łazienka również była niewyszukana, bez luksusowego wyposażenia i zwykłego zestawu kosmetyków. W kuchni, niemal pustej i nieskalanie czystej, znajdowały się liczne urządzenia usprawniające pracę. Przed następnymi drzwiami Clemency oznajmiła:

- Specjalny pokój mojego męża.

- Proszę wejść, proszę wejść - zaprosił nas Roger. Odetchnąłem z ulgą. Nieskalana czystość i surowość pozostałych pomieszczeń zaczynała mnie przygnębiać. Ten pokój cały promieniował osobowością właściciela. Stał w nim duży sekretarzyk z żaluzją, na którym leżały porozrzucane papiery i parę starych fajek. Gdzieś widać było ślady popiołu z fajki. Koło biurka stały stare, wygodne, obszarpane fotele. Na podłodze leżał perski dywan. Na ścianie wisiały wyblakłe zdjęcia pamiątkowe: ze szkoły, z drużyny krykietowej, z wojska, oraz akwarele przedstawiające pustynie, minarety, łodzie, morze i zachód słońca. To był bardzo przyjemny pokój, pokój przyjaznego i towarzyskiego człowieka.

Roger niezdarnie nalewał do kieliszków alkohol wyjęty z oszklonej szafki, strącając z krzesła na podłogę książki i papiery.

- Straszny tu bałagan. Robiłem porządek w papierach i dokumentach. Proszę powiedzieć, ile nalać.

Nadinspektor odmówił, ale ja nie. Roger podał mi kieliszek i dodał:

- Musicie mi panowie wybaczyć. Nie mogłem się opanować.

Rozejrzał się z miną winowajcy, ale Clemency Leonides nie weszła z nami do pokoju.

- Jest cudowna - powiedział. - Mam na myśli swoją żonę. Zachowuje się wspaniale, naprawdę wspaniale. Nie potrafię wyrazić, jak ją podziwiam. A tyle przeżyła - muszę wam o tym powiedzieć. To zdarzyło się, zanim się pobraliśmy. Jej pierwszy mąż to był fajny gość, umysł pierwsza klasa, ale bardzo delikatnego zdrowia. Gruźlik. Prowadził ważne badania w dziedzinie krystalografii, jak mi się wydaje. Źle płatna i trudna praca, ale nie chciał zrezygnować. Ona na niego pracowała, praktycznie go utrzymywała, cały czas wiedząc, że on umiera. I nigdy się nie żaliła, nie narzekała. Ilekroć ją pytano, zawsze mówiła, że jest szczęśliwa. Potem on umarł, a ona była bardzo nieszczęśliwa. W końcu wyszła za mnie. Byłem taki zadowolony, że mogę zapewnić jej trochę spokoju i szczęścia, ale naturalnie ona uważała pracę za swój wojenny obowiązek i jest zdania, że teraz też nie powinna się wycofywać. Jest cudowną żoną, najwspanialszą żoną, jaka kiedykolwiek istniała. Boże, miałem szczęście, że ją zdobyłem. Wszystko bym dla niej zrobił.

Taverner wyraził gratulacje, po czym przeszedł do rutynowych pytań. Kiedy pan Leonides dowiedział się o niedyspozycji ojca?

- Brenda mnie zawołała. Ojciec był chory. Powiedziała, że ma jakiś atak. Byłem u staruszka jakieś pół godziny wcześniej i czuł się doskonale. Popędziłem do niego. Był cały siny na twarzy i z trudem oddychał. Pobiegnę do Philipa, a on zadzwonił po lekarza. Już nic nie mogliśmy zrobić.

Oczywiście do głowy mi nie przyszło, że coś jest nie w porządku.

Za drzwiami mieszkania Taverner i ja z pewną trudnością otrząsnęliśmy się z naładowanej emocjami atmosfery pokoju Rogera Leonidesa.

- Uff - sapnął Taverner. - Jaka różnica w porównaniu z bratem.

I dodał, nieco nie na temat:

- Zastanawiająca rzecz, pokoje. Dużo mówią o ludziach, którzy w nich mieszkają.

Przytaknąłem, a on kontynuował:

- Dziwne, jak ludzie się dobierają, prawda?

Nie wiedziałem, czy mówił o Clemency i Rogerze czy o Philipie i Magdzie. Można to było odnieść do obu par. Jednak wydawało mi się, że mimo wszystko obydwa małżeństwa można by zaliczyć do szczęśliwych. A na pewno małżeństwo Rogera i Clemency.

- Nie sądzę, że to on jest trucicielem, a pan? - zagadnął mnie Taverner. - Przynajmniej na podstawie tego, co wiemy. Choć oczywiście nigdy nie można być pewnym. Już bardziej ona mi pasuje. Bezlitosna kobieta. Może trochę stuknięta.

Znowu się z nim zgodziłem.

- Ale nie sądzę - dodałem - że zamordowałaby kogokolwiek tylko dlatego, że nie aprobowała jego celów czy sposobów ich realizacji. Może naprawdę nienawidziła staruszka, ale czy rzeczywiście słyszał pan o morderstwach popełnionych z czystej nienawiści?

- O bardzo niewiele - przyznał Taverner. - Sam się nigdy z tym nie zetknąłem. Nie, myślę, że bezpieczniej typować panią Brendę. Bóg wie, czy zdobędziemy jakiegokolwiek dowody.

## **Rozdział ósmy**

Drzwi przeciwległego korytarza otworzyła pokojówka. Wyglądała na wystraszoną, ale Tavernera zmierzyła lekko pogardliwym spojrzeniem.

- Pan chce widzieć się z panią?

- Tak.

Wprowadziła nas do dużego salonu i wyszła.

Był to pokój identycznych rozmiarów jak salon na dole, z kolorowymi wesołymi kretonami i pasiastymi jedwabnymi zasłonami. Nad kominkiem wisiał portret, od którego nie mogłem oderwać oczu. Nie tylko ze względu na mistrzostwo artysty, ale również z powodu zwracającej uwagę twarzy modela. Był to człowiek starszy, niewielkiego wzrostu, z ciemnymi, przenikliwymi oczami. Na głowie, schowanej w ramionach, miał czarną aksamitną mykę. Mimo to emanowała od niego siła i energia życiowa. Błyszczące oczy zdawały się przyciągać moje spojrzenie.

- To on - wyjaśnił nadinspektor. - Portret pędzla Augustusa Johna. Miał osobowość, nieprawdaż?

- Tak - odparłem, czując, że tak krótka odpowiedź jest niewspółmierna do tego, co chciałem wyrazić.

Zrozumiałem, co miała na myśli Edith de Haviland, gdy mówiła, że dom bez niego jest pusty. To był ten prawdziwy krzywy człowieczek, który zbudował krzywy dworek i bez niego ten dworek stracił znaczenie.

- A to jego pierwsza żona, namalowana przez Sargenta - dodał Taverner.

Przyjrzałem się obrazowi na ścianie między oknami. - Było w nim pewne okrucieństwo, jak w wielu portretach tego artysty. Jak mi się wydawało, twarz była przesadnie długa, a ślad końskiej szczęki zbytnio podkreślony. Cała postać była żywym wcieleniem poprawności. Był to portret typowej angielskiej damy mieszkającej na wsi. Przystojna, choć trochę bez życia. Najbardziej nieprawdopodobna żona dla małego despoty nad kominkiem. Drzwi się otworzyły i wszedł sierżant Lamb.

- Zrobiłem, co się dało - powiedział. - Ale służba nic nie wie.

Taverner westchnął.

Sierżant Lamb wyjął notes i usiadł w kącie pokoju.

Drzwi jeszcze raz się otworzyły i do pokoju weszła druga żona Arystydesa Leonidesa.

Ubrana była na czarno - bardzo kosztownie i bardzo na czarno. Czerń spowijała ją od stóp do podbródka i nadgarstków. Poruszała się zgrabnie, ale leniwie, a w czarnym kolorze z pewnością było jej do twarzy. Buzię miała dosyć ładną i ładne kasztanowe włosy, trochę zbyt ufryzowane. Twarz, pod pudrem, różem i szminką, zdradzała ślady płaczu. Pani Leonides na szyi zawiesiła sznur ogromnych pereł, na jednej ręce miała pierścień z dużym szmaragdem, a na drugiej - z ogromnym rubinem.

Jeszcze jedno rzuciło mi się w oczy - była przestraszona.

- Dzień dobry, pani Leonides - powiedział Taverner. - Przepraszam, że jeszcze raz panią niepokoję.

- Przypuszczam, że nic na to pan nie poradzi - odparła bezbarwnym tonem.

- Pani wie, że jeśli pani chce, może pani odpowiadać w obecności pani prawnika?

Zastanowiło mnie, czy pojęła znaczenie tych słów. Chyba nie. Lekko nadąsana, odparła:

- Nie lubię pana Gaitskilla. Nie chcę go tutaj.

- Mogłaby pani wybrać innego prawnika, pani Leonides.

- A muszę? Nie lubię prawników. Tracę przy nich pewność siebie.

- To zależy tylko od pani - odpowiedział Taverner, uśmiechając się automatycznie. - Zatem możemy zaczynać?

Sierżant Lamb polizał ołówek. Brenda Leonides usiadła na sofie naprzeciw Tavernera.

- Czy panowie coś już odkryli? - zapytała. Zauważyłem, że nerwowo mięła w palcach fałd sukni.

- Możemy z całą stanowczością powiedzieć, że pani mąż zmarł na skutek zatrucia ezeryną.

- Chce pan powiedzieć, że zabiły go te krople do oczu?

- Wydaje się zupełnie pewne, że robiąc mężowi ostatni zastrzyk, wstrzyknęła pani ezerynę, a nie insulinę.

- Ale nie wiedziałam, że to ezeryną. Naprawdę nie wiedziałam, panie nadinspektorze.

- Zatem ktoś musiał celowo zastąpić insulinę tymi kroplami.

- Co za niegodziwość!

- Zgadzam się, pani Leonides.

- Czy myśli pan, że... że to było celowo czy że przez przypadek? To nie mógł być... żart, prawda?

- Nie sądzimy, że miał to być żart, pani Leonides - odparł gładko Taverner.

- Zatem to musiał być ktoś ze służby. Taverner nie odpowiedział.

- Tak musiało być. Kto inny mógł to zrobić?

- Jest pani pewna? Proszę pomyśleć. Nic nie przychodzi pani do głowy? Czy nie było żadnych tarć? Kłótni? Zazdrości?

Wpatrywała się w niego z wyzwaniem w oczach.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Tego dnia po południu była pani w kinie, prawda?

- Tak. Wróciłam o wpół do szóstej. Akurat był czas na zastrzyk insuliny. Zrobiłam zastrzyk, jak zawsze, a za chwilę on cały się zmienił... Przeraziłam się. Pobiegłam do Rogera... ale o tym wszystkim już opowiadałam. Muszę to jeszcze raz powtarzać? - zapytała histerycznie podniesionym głosem.

- Bardzo przepraszam, pani Leonides. Czy teraz mógłbym porozmawiać z panem Brownem?

- Z Laurence'em? Po co? On nic o tym nie wie.

- Mimo wszystko chciałbym z nim porozmawiać. Brenda Leonides mierzyła Tavernera podejrzliwym spojrzeniem.

- Teraz ma lekcję łaciny z Eustace'em w pokoju szkolnym. Czy ma tu przyjść?

- Nie. My pójdziemy do niego.

Taverner szybko wyszedł z pokoju. Sierżant i ja podążyliśmy za nim.

- Postraszył ją pan - zauważył sierżant Lamb.

Taverner chrząknął. Wprowadził nas do dużego pokoju z oknem wychodzącym na ogród. W środku przy stole siedzieli jasnowłose mężczyzna koło trzydziestki i ładny, ciemnowłose szesnastolatek.

Gdy weszliśmy, podnieśli wzrok. Eustace, brat Sophii, spojrzał na mnie. Laurence Brown utkwiał umęczone spojrzenie w nadinspektorze Tavernerze.

Nigdy nie widziałem nikogo tak sparaliżowanego strachem. Wstał, po czym znowu usiadł.

- Eee, dzień dobry, panie inspektorze - wyjąkał w końcu.

- Dzień dobry - odparł szorstko Taverner. - Czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa?

- Tak, naturalnie. Z przyjemnością. To znaczy... Eustace wstał.

- Czy mam wyjść, panie nadinspektorze? - spytał miłym, choć nieco aroganckim głosem.

- Do lekcji wrócimy później - powiedział nauczyciel.

Eustace z wyraźną niechęcią podszedł do drzwi. Poruszał się nieco sztywno. Gdy zamykał drzwi, zauważył, że na niego patrzę. Przeciągnął palcem po gardle i uśmiechnął się łobuzersko.

- No cóż, panie Brown - zaczął Taverner. - Analiza wyraźnie wskazała, że śmierć pana Leonidesa nastąpiła na skutek podania eżeryny.

- To znaczy... chce pan powiedzieć... że pana Leonidesa otruto? Miałem nadzieję...

- Tak. Został otruty - odparł szorstko Taverner. - Ktoś zastąpił insulinę ezeryną.

- Nie mogę uwierzyć... to niewiarygodne.

- Pytanie, kto miał motyw.

- Nikt! Absolutnie nikt! - zawołał podnieconym głosem nauczyciel.

- Czy chce pan być przesłuchiwany w obecności swego 'prawnika? - spytał Taverner.

- Nie mam i nie potrzebuję prawnika. Nie mam nic do ukrycia.

- Pan wie, że wszystko, co pan powie, zostanie zanotowane?

- Jestem niewinny, zapewniam pana, że jestem niewinny.

- Nie twierdziłem, że jest przeciwnie - rzekł Taverner. Po krótkiej przerwie powiedział:

- Pani Leonides jest dużo młodsza od męża, prawda?

- Tak sędzę... to znaczy... tak.

- Niekiedy musiała czuć się osamotniona? Laurence Brown nie odpowiedział. Zwilżył językiem suche wargi.

- Pewnie się cieszyła, że ma towarzysza mniej więcej w swoim wieku?

- Ależ nie, skąd... to znaczy... nie wiem.

- Wydawałoby mi się naturalne, gdyby wytworzyła się między wami więź.

- Skąd! Absolutnie! - protestował gorąco młody człowiek. - Wiem, co pan myśli, ale tak nie było! Pani Leonides zawsze była dla mnie bardzo dobra, a ja żywię dla niej ogromny szacunek, ale nic więcej, zapewniam pana, że nic więcej! To potworne! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by kogoś zabić... czy też żeby zamienić buteleczki. Jestem bardzo wrażliwy i nerwowy. Sama myśl o zabójstwie jest dla mnie koszmarem! Komisja wojskowa to zrozumiała! Przeciw zabijaniu mam obiekcje religijnej natury. Zamiast walczyć, pracowałem w szpitalu jako palacz! Strasznie ciężka praca! Nie mogłem dać rady, więc pozwolono mi zająć się uczeniem. Pracowałem z Eustace'em i Josephine - to inteligentne dziecko, ale trudne. Wszyscy byli dla mnie mili, pan Leonides i jego żona, i panna de Haviland. A teraz zdarza się ta straszna rzecz i pan podejrzewa mnie... mnie!... o morderstwo!

Inspektor Taverner przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Nic takiego nie powiedziałem - zauważył.

- Ale tak pan myśli! Wiem o tym! Wszyscy tak myślą! Przyglądają mi się! Nie mogę dłużej z panem rozmawiać. Źle się czuję.

Wybiegł z pokoju. Taverner powoli odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- No i co pan o nim myśli?

- Jest śmiertelnie przerażony.

- Tak, ale czy jest mordercą?

- Według mnie - wtrącił sierżant Lamb - brakowałoby mu odwagi.

- Owszem, żeby zdzielić kogoś po głowie lub zastrzelić z pistoletu - zgodził się nadinspektor. - A na czym polegała ta zbrodnia? Wystarczyło zamienić płyn w dwóch buteleczkach. Pomóc starszemu człowiekowi w miarę bezboleśnie przenieść się na drugi świat.

- Właściwie to eutanazja - zauważył sierżant.

- A po stosownym czasie ślub z kobietą, która odziedziczyła sto tysięcy funtów wolnych od podatku spadkowego, która taką samą sumę uzyskała w intercyzie i która ponadto posiada rubiny i szmaragdy wielkości jaja!

Niestety - westchnął Taverner - to tylko teorie i przypuszczenia. Owszem, bardzo go postraszyłem, ale to niczego nie dowodzi. Niewinny mógłby być równie mocno wystraszony. Poza tym bardzo wątpię, czy to on to zrobił. Bardziej prawdopodobne, że to ta kobieta. Tylko dlaczego, na Boga, nie wyrzuciła tej buteleczki albo jej nie wypłukała?

Zwrócił się do sierżanta.

- Co powiedziała służba o stosunkach między nimi? - Pokojówka mówi, że robią do siebie słodkie oczy.

- Na jakiej podstawie tak sądzi?

- Ocenia to po sposobie, w jaki na nią patrzy, kiedy nalewa mu kawę.

- Świetny dowód! Nic więcej?

- Nikt nic nie zauważył.

- Założę się, że gdyby było coś więcej, na pewno by zauważyli. Zaczynam wierzyć, że między nimi naprawdę nic nie ma.

Taverner spojrzał na mnie.

- Idź z nią porozmawiać. Chciałbym dowiedzieć się, co o niej myślisz.

Poszedłem, niechętnie, mimo że byłem zainteresowany.

## Rozdział dziewiąty

Brendę Leonides zastałem dokładnie w tym miejscu, gdzie ją zostawiliśmy. Gdy wszedłem, obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Gdzie jest inspektor Taverner? Nie wraca?

- Jeszcze nie.

- Kim pan jest?

No i zadała mi pytanie, którego spodziewałem się przez całe rano.

Odpowiedziałem mniej więcej zgodnie z prawdą.

- Jestem związany z policją, ale również jestem przyjacielem rodziny.

- Rodziny! To bestie! Nienawidzę ich wszystkich. Spojrzała na mnie - posępna, zła i przestraszona.

- Zawsze byli dla mnie paskudni. Od samego początku. Dlaczego nie miałam wyjść za mąż za ich drogiego ojczulka? Co to ich obchodziło? I tak mieli już kupę forsy. Oczywiście, dostali od ojca. Sami są za głupi, żeby zrobić pieniądze. Dlaczego mężczyzna nie może się drugi raz ożenić, nawet jeśli jest starszy? A on nie był naprawdę stary. Bardzo go lubiłam - spojrzała na mnie wzrokiem, w którym czaiło się wyzwanie.

- Rozumiem - odparłem. - Naturalnie.

- Podejrzewam, że pan nie wierzy, ale to prawda. Miałam dość mężczyzn. Chciałam mieć swój dom, kogoś, kto by mi dogadzał i mówił mi miłe rzeczy. Arystydes mówił mi cudowne rzeczy... potrafił mnie rozśmieszyć... i był bardzo sprytny. Potrafił wymyślić różne sposoby, żeby obejść głupie przepisy. Był bardzo, bardzo sprytny. Szkoda, że nie żyje.

Oparła się o sofę. Na jej szerokie usta wypłynął dziwny, jakby senny uśmiech.

- Byłam tu szczęśliwa. I bezpieczna. Ubierałam się u doskonałych projektantów - u tych, o których się czyta w gazetach. Nie byłam gorsza niż inni. I Arystydes dawał mi cudowne prezenty - wyciągnęła rękę i przez chwilę podziwiała pierścień z rubinem. Uśmiechała się do siebie dziwnym marzącym uśmiechem.

- Czy to coś złego? - spytała. - Uczyniłam go szczęśliwym. Czy pan wie, jak go spotkałam?

Ciągnęła dalej, nie czekając na odpowiedź.

Pracowałam w restauracji „Gay Shamrock”. Zamówił jajecznicę na tostach, a kiedy mu ją przyniosłam, zauważył, że płaczę. „Usiądź - powiedział - i powiedz mi, co się stało”. „Nie mogę - odparłam - zwolnią mnie, jak to zrobić”. „Nic podobnego - powiedział - to ja jestem właścicielem”. Wtedy spojrzałam na niego. Najpierw mi się wydawał dziwny, ale czułam w nim siłę. O wszystkim mu opowiedziałam.. Oni już pewnie panu o tym powiedzieli - i zrobili ze mnie łatwą panienkę. Ale tak nie było. Odebrałam staranne wykształcenie. Moja rodzina miała sklep, bardzo elegancki, z haftem artystycznym. Nigdy nie latałam za chłopcami i potrafiłam się cenić. Ale Terry to było coś innego. Po pierwsze Irlandczyk, a po drugie akurat opuszczał Anglię... Nigdy nie napisał ani nie dał znać... Byłam głupia, że mu uwierzyłam. No i widzi pan, okazało się, że wpadłam w kłopoty... zupełnie jak jakaś służąca.

W jej głosie dało się wyczuć pogardę dla niższych klas.

- Arystydes był wspaniały. Powiedział mi, że wszystko dobrze się skończy. Mówił, że czuje się samotny i że chciałby się ze mną od razu ożenić. Czułam się jak we śnie. A potem odkryłam, że to ten sławny pan Leonides. Właściciel całej masy sklepów, restauracji i nocnych klubów. Zupełnie jak w baśni, prawda?

- Jak w jednej z baśni - odparłem sucho.

- Wzięliśmy ślub w małym kościółku w City, a potem pojechaliśmy za granicę.

Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem.

- W końcu nie było dziecka. Okazało się, że się pomyliłam.

Uśmiechnęła się.

- Przrzekłam sobie, że będę dla niego naprawdę dobrą żoną, i byłam. Kazałam przygotowywać takie potrawy, jakie lubił, nosiłam suknie w jego ulubionych kolorach i robiłam wszystko, żeby był zadowolony. I był szczęśliwy. Ale nie udało się nam pozbyć jego rodziny. Stale przychodzili po pieniądze i żyli na jego koszt. Ta stara panna de Haviland powinna odejść, kiedy się ożenił. Nawet tak powiedziałam. Ale Arystydes rzekł: „Mieszka tu tak długo. Teraz to jest jej dom”. Prawda jest taka, że lubił mieć ich wszystkich wokół siebie i trzymać ich w zależności. Dla mnie byli okropni, ale on tego nie zauważał albo mu to nie przeszkadzało. Roger mnie nienawidzi - czy już go pan widział? Zawsze mnie nienawidził. Jest zazdrosny. A Philip jest tak zarozumiały, że nawet się do mnie nie odezwie. A teraz próbują zwalić na mnie to morderstwo! Ale ja go nie zamordowałam, niech mi pan wierzy!

Sprawiła bardzo żalosne wrażenie. Pogarda, z jaką odnosiła się do niej rodzina Leonidesów, skwapliwość, z jaką uznali ją za winną zbrodni, wydawały mi się w tej chwili nieludzkie. A ona była sama, bezbronna, zaszczuta.

- Uważają, że jeśli nie ja jestem winna, to na pewno Laurence - ciągnęła.

- A co pani o nim powie?

- Bardzo mi go żal. Jest delikatny, nie mógł z tego powodu iść na wojnę. Nie dlatego, że jest tchórzem, tylko ze względu na nadmierną wrażliwość. Próbowałam go podnieść na duchu i rozweselić. W końcu musi uczyć te okropne dzieciaki. Eustace stale z niego szydzi, a Josephine... sam ją pan widział, więc wie, jaka ona jest.

Odparłem, że nie spotkałem jeszcze Josephine.

- Nieraz wydaje mi się, że ma niedobrze w głowie. Lubi się zakradać i podpatrywać... nie wygląda jak normalne dziecko. Czasami na jej widok przechodzą mnie ciarki.

Nie interesowała mnie Josephine i wróciłem do Laurence'a Browna.

- Kim on jest? - spytałem. - Skąd pochodzi? Pytanie nie było najszcześliwiej sformułowane. Brenda zaczerwieniła się.

- Nie jest nikim szczególnym. Jest kimś takim jak ja... Jakie mamy szansę w walce z nimi wszystkimi?

- Czy pani nie przesadza?

- Nie! Chcą zwalić winę na mnie lub na Laurence'a. Ten policjant też jest po ich stronie. Jakie ja mam szansę?

- Niech się pani nie ekscytuje!

- Dlaczego nie mógł go zabić ktoś z nich? Albo ktoś zupełnie obcy? Albo ktoś ze służby?

- Brakuje motywu.

- Och, motyw! A jaki ja miałam motyw? Albo Laurence?

Poczułem się skrępowany.

- Mogą uważać, że pani i... Laurence... jesteście w sobie zakochani... i że chcieliście się pobrać.

Brenda gwałtownie się poderwała.

- To nikczemna potwarz! To nieprawda! Ani jemu, ani mnie nie przyszło to do głowy. Po prostu było mi go żal i próbowałam go trochę rozweselić. Byliśmy przyjaciółmi. Pan mi wierzy, prawda?

Rzeczywiście jej wierzyłem. To znaczy: wierzyłem, że ona i Laurence byli tylko przyjaciółmi. Ale również wydawało mi się, że kochała Laurence'a Browna, choć może nie była tego jeszcze świadoma.

Gdy schodziłem na dół, szukając Sophii, rozważałem tę myśl.

Miałem właśnie wejść do salonu, kiedy Sophia wystawiła głowę zza drzwi znajdujących się w głębi korytarza.

- Hej - powiedziała. - Akurat pomagam niani przygotować obiad.

Wyszła na korytarz, wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do pustego salonu.

- No i co? - spytała. - Widziałeś Brendę? Co o niej myślisz?

- Prawdę mówiąc, żal mi jej. Sophia wyglądała na ubawioną.

- Rozumiem. Przekabaciła cię. Trochę się zdenerwowałem.

- Chodzi o to, że potrafię spojrzeć na tę sprawę z jej punktu widzenia. Ty najwyraźniej nie potrafisz.

- Jak wygląda ten jej punkt widzenia?

- Szczerze mówiąc, Sophio, odkąd tu zamieszkała, nikt z rodziny nie zachowywał się wobec niej w sposób miły ani nawet przyzwoity.

- To prawda, nie byliśmy dla niej mili. Dlaczego mieliśmy być mili?

- Ze zwykłego chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Biorąc pod uwagę ten umoralniający ton, Brenda musiała nieźle odegrać swoją rolę.

- Doprawdy, Sophio, nie wiem, co ci się stało.

- Zachowuję się uczciwie i niczego nie udaję. Widziałeś, jak ta sprawa wygląda z punktu widzenia Brendy. Teraz poznasz mój punkt widzenia. Nie lubię kobiet, które łapią bogatego mężczyznę na zmyśloną historyjkę o swoim ciężkim życiu. Mam prawo nie lubić takich kobiet i nie widzę powodu, dla którego miałabym udawać, że jest inaczej. A gdybyś zobaczył tę jej historyjkę napisaną czarno na białym na papierze, też by ci się nie podobała.

- Czy ona to wszystko wymyśliła?

- O dziecku? Nie wiem. Tak mi się wydaje.

- I nie podoba ci się, że dziadek dał się nabrać?

- Och, dziadek nie dał się nabrać - Sophia zaśmiała się. - Dziadka nigdy nikt nie nabrał. Postanowił odegrać rolę dobrej wróżki. Dobrze wiedział, co robi, i udało mu się, tak jak zaplanował. Z punktu widzenia dziadka małżeństwo było bardzo udane - jak wszystkie jego przedsięwzięcia.

- Czy zaangażowanie Laurence'a Browna na nauczyciela było następnym udanym przedsięwzięciem dziadka? - spytałem ironicznie.

Sophia zmarszczyła brwi.

- Widzisz, nie jestem pewna. Pragnął, żeby Brenda się nie nudziła. Mógł myśleć, że klejnoty i ciuchy jej nie wystarczą. Może chciał, by przeżyła też nieszkodliwy romans? Mógł liczyć na to, że ktoś taki jak Laurence Brown, nieśmiały i uległy, będzie odpowiednim kandydatem. Przeżywając piękną, romantyczną, trochę zaprawioną melancholią przyjaźń, Brenda nie będzie czuła pokusy do wdawania się w poważny romans z kimś z zewnątrz. Uważam, że dziadek mógł tak właśnie sobie zaplanować. Był sprytny jak sam diabeł.

- Na to wygląda.

- Oczywiście, nie mógł przewidzieć, że to doprowadzi do morderstwa... I dlatego - powiedziała Sophia porywczo - nie wierzę tak mocno, jak bym pragnęła, że to ona zrobiła. Gdyby ona to sobie zaplanowała - sama albo wspólnie z Laurence'em - dziadek by wiedział. Założę się, że wydaje ci się to nieprawdopodobne...

- Zgadłś.

- Ale nie znałeś dziadka. Z pewnością nie lekceważyłby własnego morderstwa. No i widzisz, jesteśmy w ślepej uliczce.

- Ona się boi, Sophio. Bardzo się boi - powiedziałem.

- Nadinspektora Tavernera i jego gromadki? Przyznam, że można się przestraszyć. Jak sądzę, Laurence wpadł w histerię?

- Niemal. Zrobił z siebie widowisko. Nie rozumiem, co kobieta może widzieć w takim mężczyźnie.

- Naprawdę? Laurence ma mnóstwo seksapilu.

- Taki mięczak? - mruknąłem niedowierzająco.

- Dlaczego mężczyźni zawsze uważają, że atrakcyjny może być tylko jaskiniowiec? Naturalnie, że Laurence ma seksapil - ale wcale się nie dziwię, że ty tego nie widzisz.

Spojrzała na mnie.

- A Brenda naprawdę cię przekabaciła.

- Nie bądź śmieszna. Ona nawet nie jest ładna. I z pewnością nie...

- Nie uwodziła cię? Naturalnie, wystarczy, że doprowadziła do tego, że zacząłeś jej żałować. Nie jest piękna, nie jest mądra, ale ma jedną niezaprzeczalną cechę. Potrafi posiać niezgodę. Już

posiała niezgodę między nami.

- Sophio! - krzyknąłem przerażony. Sophia podeszła do drzwi.

- Przepraszam, Charles. Teraz muszę iść szykować obiad.

- Pomogę ci.

- Nie, zostań tutaj. Niania bardzo by się denerwowała obecnością „dżentelmena w kuchni”.

- Sophio! - zawołałem za nią.

- O co chodzi?

- O służbę. Dlaczego nie ma ani tu, ani na górze żadnego służącego i drzwi otwierał nam gliniarz?

- Dziadek miał kucharza, pokojówkę, dziewczynę do wszystkiego i lokaja. Lubił mieć służbę. Płacił im dużo, ale nie miał problemów ze zdobyciem służby. Clemency i Roger zatrudniają tylko sprzątaczkę na godziny. Nie lubią służby - a właściwie Clemency nie lubi. Gdyby Roger nie jadał co dzień porządnego posiłku w mieście, to by pewnie głodował. Clemency najchętniej podałyby mu sałatę, pomidory i surową marchewkę. My z kolei mamy służbę tak długo, dopóki matka nie zaprezentuje swojego temperamentu, bo potem każdy odchodzi. Przez pewien czas ograniczamy się do wynajmowania dochodzącej pomocy, a potem najmujemy kogoś na stałe i zaczyna się na nowo. Obecnie jesteśmy na etapie pomocy dochodzącej. Tylko niania jest na stałe i musi radzić sobie ze wszystkim.

Sophia wyszła. Rozsiadłem się w jednym z wielkich, obitych brokatem foteli i oddałem się rozmyśleniom.

Najpierw poznałem punkt widzenia Brendy. Teraz Sophii. Widziałem całkowitą słuszność stanowiska Sophii - a właściwie można by powiedzieć: całej rodziny. Nie podobało im się, że ktoś obcy wszedł do rodziny. I to, co gorsza, dostał się tam dzięki sposobom, które uważali za niegodne. Mieli naturalnie prawo tak to widzieć. Jak wyraziła się Sophia: historyjka, napisana czarno na białym na papierze, nie robiłaby dobrego wrażenia.

Ale oni nie widzieli jednego. Zawsze byli bogaci. Nie mieli pojęcia, jakie ma pokusy ktoś skopany przez życie. Brenda Leonides pragnęła bogactwa, ładnych rzeczy, bezpieczeństwa - i własnego domu. Twierdziła, że dała swojemu mężowi szczęście. Gdy z nią rozmawiałem, byłem po jej stronie... Co teraz z tego zostało?

Poznałem dwie strony medalu... Która była prawdziwa?

Poprzedniej nocy bardzo mało spałem. Wstałem wcześnie, by móc towarzyszyć Tavernerowi. Teraz w ciepłym, pachnącym kwiatami salonie Magdy Leonides rozluźniłem się i powieki zaczęły mi opadać.

Brenda, Sophia, obraz jej dziadka - wszystko zlało mi się w jedno. Zasnąłem.

## Rozdział dziesiąty

Przytomność wracała mi bardzo powoli, tak że w pierwszej chwili nie zdałem sobie sprawy, że spałem.

Czułem zapach kwiatów. Przedemną unosił się w przestrzeni jakiś nieokreślony biały kształt. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to ludzka twarz - zawieszona w powietrzu kilka stóp ode mnie. W miarę jak się budziłem, wyostrzał się mój wzrok. Twarz miała w sobie coś chochlikowego - okrągła, z wydatnymi brwiami, szeszanymi gładko do tyłu włosami i małymi, czarnymi oczami jak paciorki - niemniej była przytwierdzona do ciała, małego i chudego. Przypatrywała mi się bardzo uważnie.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odparłem, mrugając oczami.

- Jestem Josephine.

Już to odgadłem. Siostra Sophii, Josephine, miała jedenaście lub dwanaście lat. Była okropnie brzydka i widać było wyraźne podobieństwo do dziadka. Wydawało mi się możliwe, że odziedziczyła również jego umysł.

- Jesteś narzeczoną Sophii - powiedziała Josephine.

Przyznałem, że ma rację.

- Ale przyjechałeś tutaj z nadinspektorem Tavernerem. Dlaczego?

- To mój przyjaciel.

- Naprawdę? Nie lubię go. Nic mu nie powiem.

- Czego mu nie powiesz?

- Tego, co wiem. A wiem dużo rzeczy. Lubię wiedzieć różne rzeczy.

Usiadła na poręczu fotela i nie przestawała wwiercać się oczami w moją twarz. Zacząłem się czuć skrępowany.

- Dziadek został zamordowany. Wiesz o tym?

- Tak, wiem.

- Został otruty. Eze-ry-ną - bardzo precyzyjnie wyartykułowała to słowo. - Ciekawe, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- Eustace i ja jesteśmy tym bardzo zainteresowani. Lubimy kryminały. Zawsze chciałam być detektywem i teraz jestem. Zbieram dowody.

Co za upiorne dziecko! - pomyślałem. Josephine powróciła do ataku na mnie.

- Ten mężczyzna, który przyjechał z nadinspektorem Tavernerem, jest detektywem, prawda? W książkach piszą, że detektywa w cywilu poznaje się po butach. Ale ten nie nosi zamszowych butów.

- Świat się zmienia - odparłem.

Josephine zinterpretowała moją uwagę na swój własny sposób.

- Tak - powiedziała. - Teraz wszystko się zmieni. Będziemy mieszkać w Londynie. Mama od dawna chce się przeprowadzić. Będzie zadowolona. Tato chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli weźmiemy wszystkie jego książki. Przedtem nie stać go było na przeprowadzkę. Stracił mnóstwo pieniędzy na „Izebel”

- Na jaką Izebel? - spytałem.

- Nie oglądałeś jej?

- Ach, to sztuka? Nie, nie widziałem. Byłem za granicą.

- Nie grano jej długo. Prawdę mówiąc, zrobiła kompletną klapę. Nie uważam, żeby matka mogła grać Izebel, a ty?

Przez chwilę rozważałem pytanie. Ani w brzoskwiniowym negliżu, ani w kostiumie nie wyglądała na Izebel, ale byłem przekonany, że nie poznałem jeszcze wszystkich wcieleń Magdy Leonides.

- Może i nie - przyznałem ostrożnie.

- Dziadek cały czas zapowiadał klapę. Powiedział, że nigdy nie wyłożyłby ani grosza na historyczną sztukę religijną. Mówił, że nie będzie sukcesem kasowym. Ale matce strasznie zależało. Mnie też się sztuka nie podobała. Wcale nie przypominała historii z Biblii. To znaczy Izebel nie była naprawdę taka niegodziwa jak w Biblii, tylko pełna patriotyzmu i - całkiem miła. Dlatego sztuka była taka nudna. Za to kończyła się tak jak trzeba. Wyrzucili ją przez okno. Tylko nie zjadły jej psy. Szkoda, prawda? Najbardziej podoba mi się ten fragment, jak ją jedzą psy. Mama mówi, że na scenę nie można wprowadzić psów. Nie rozumiem, dlaczego. Można by było wziąć tresowane psy - i zacytowała z wyraźnym upodobaniem: - „A gdy poszli, aby ją pochować, znaleźli z niej tylko czaszkę, nogi i dłonie”. Dlaczego nie zjadły jej dłoni?

- Nie mam pojęcia.

- Nikt by się nie spodziewał, że psy będą takie wybredne. Nasze psy nie są. Zjedzą absolutnie wszystko.

Przez chwilę Josephine roztrząsała w myślach tę biblijną tajemnicę.

- Przykro mi, że sztuka zrobiła klapę - powiedziałem.

- Matka była strasznie przygnębiona. Recenzje były okropne. Kiedy je przeczytała, wybuchła płaczem i rzuciła tacą ze śniadaniem w Gladys i Gladys odeszła. To było zabawne.

- Widzę, że lubujesz się w dramatycznych wydarzeniach, Josephine - zauważyłem.

- Zrobili sekcję zwłok dziadka, żeby się dowiedzieć, od czego umarł - powiedziała Josephine.

- Czy jest ci przykro z tego powodu, że dziadek nie żyje? - spytałem.

- Nie bardzo. Nie za bardzo go lubiłam. Nie pozwolił mi uczyć się tańca baletowego.

- A ty chciałaś się tego uczyć?

- Tak. Mama chętnie się zgodziła, ojciec nie miał nic przeciwko temu, ale dziadek powiedział, że się nie nadaję.

Josephine zsunęła się z poręczy fotela, zrzuciła buty i próbowała stanąć na czubkach palców.

- Oczywiście, do tego trzeba mieć odpowiednie buty - wyjaśniła - ale czasami mimo to dostaje się okropnych wrzodów na czubkach palców.

Z powrotem włożyła buty i spytała zdawkowo:

- Podoba ci się ten dom?

- Nie jestem pewien - odparłem.

- Teraz pewnie zostanie sprzedany. Chyba że Brenda będzie tu mieszkać. I sądzę, że wuj Roger i ciotka Clemency nigdzie nie wyjadą.

- A mieli wyjechać? - spytałem z budzącym się zainteresowaniem.

- Tak. Mieli wyjechać we wtorek, gdzieś za granicę. - Samolotem. Ciotka Clemency specjalnie kupiła jedną z tych nowych, leciutkich walizek.

- Nie słyszałem o tym, że mieli jechać.

- Oczywiście. Nikt nie wiedział. To była tajemnica. Nie mieli zamiaru nikomu o tym mówić. Chcieli tylko zostawić dziadkowi list pożegnalny. Ale nie przypięty do poduszki na igły. Tak robią

tylko w starych książkach żony opuszczające mężów. Teraz by się nie dało, bo już nie ma poduszek na igły.

- Masz rację. A wiesz, dlaczego wuj Roger miał zamiar wyjechać?

Rzuciła mi przebiegłe spojrzenie spod oka.

- Chyba tak. To miało związek z jego biurem w Londynie. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że coś sprzeniewierzył.

- Dlaczego tak myślisz?

Josephine przysunęła się tak blisko, że na twarzy poczułem jej oddech.

- Tego dnia, kiedy dziadek został otruty, wuj Roger siedział z nim długo zamknięty w pokoju. Rozmawiali bez końca. Wuj Roger mówił, że zawsze był do niczego i że rozczarował dziadka - chodziło nie tyle o pieniądze, ile o to, że czuł się niewart zaufania. Był w strasznym stanie.

Spojrzałem na Josephine z mieszanymi uczuciami.

- Czy nikt ci nie mówił, że nieładnie jest podsłuchiwać pod drzwiami?

Josephine energicznie pokiwała głową.

- Pewnie, że mówili. Ale jak chcesz coś wiedzieć, to musisz podsłuchiwać. Założę się, że nadinspektor Taverner też to robi, nieprawdaż?

Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedziała. Tymczasem Josephine ciągnęła dalej:

- A jeśli on tego nie robi, to robi to ten drugi, ten w zamszowych butach. Zaglądają do biurka i wyciągają wszystkie sekrety. Tylko że oni są głupi! Nie wiedzą, gdzie szukać!

Josephine mówiła z wyraźnym poczuciem wyższości. Byłem na tyle głupi, że nie wyciągnąłem z tego wniosków.

- Eustace i ja wiemy o wielu rzeczach - kontynuowało to nieprzyjemne dziecko. - Ja wiem więcej niż Eustace, ale mu nie powiem. On twierdzi, że kobiety nie mogą być dobrymi detektywami. A ja twierdzę, że mogą. Zamierzam zapisywać wszystko w notesie, a kiedy policja okaże się bezradna, wtedy ja powiem im, kto to zrobił.

- Czytasz wiele kryminałów, Josephine?

- Mnóstwo.

- Pewnie myślisz, że wiesz, kto zabił dziadka?

- Tak mi się wydaje. Ale muszę znaleźć jeszcze parę wskazówek. Nadinspektor Taverner

myśli, że zrobiła to Brenda, prawda? Albo Brenda i Laurence, ponieważ są w sobie zakochani.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Josephine.

- Dlaczego nie? Przecież oni się kochają.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Ależ mogę. Oni pisują do siebie listy miłosne.

- Josephine, skąd to wiesz???

- Czytałam je. Okropnie cliwe. Ale Laurence właśnie taki jest - sentymentalny. Bał się iść na wojnę, więc zajął się paleniem w kotłowni. Kiedy przelatywały bombowce, robił się zielony na twarzy. Strasznie nas to z Eustace'em bawiło.

Nie wiem, jak bym na to zareagował, bo w tej samej chwili pod okno zajechał samochód. Josephine momentalnie znalazła się przy oknie i przycisnęła nos do szyby.

- Kto to? - spytałem.

- Pan Gaitskill, prawnik dziadka. Pewnie przyjechał w sprawie testamentu.

Podniecona, wybiegła z pokoju, pewnie po to, by podjąć czynności śledcze.

Do salonu weszła Magda Leonides. Ku mojemu zdziwieniu zbliżyła się do mnie i wzięła moje dłonie w swoje ręce.

- Mój drogi - powiedziała. - Dzięki Bogu, jeszcze pan tu jest. Tak bardzo potrzeba nam mężczyzny.

Puściła moje dłonie, podeszła do krzesła z wysokim oparciem, trochę je przestawiła i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Potem wzięła ze stołu małą emaliowaną szkatułkę i w zamyśleniu zamykała ją i otwierała.

Wyglądała bardzo atrakcyjnie.

Sophia uchyliła drzwi i szepnęła nagłaco:

- Przyjechał Gaitskill!

- Wiem - odparła Magda.

Chwilę później Sophia wprowadziła do pokoju niskiego, starszego człowieka. Magda odstawiła szkatułkę i podeszła go przywitać.

- Dzień dobry, pani Leonides. Zaraz idę na górę. Zdaje się, że powstało jakieś nieporozumienie

w związku z testamentem. Pani mąż napisał do mnie list, z którego wynika, że testament powinien znajdować się u mnie. Natomiast z tego, co mówił pan Leonides, zrozumiałem, że trzyma go w sejfie. Jak sądzę, pani nic o tym nie wie.

- O testamencie naszego słodkiego staruszka? - spytała Magda z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

- Oczywiście, że nie. Niech pan nie mówi, że zniszczyła go ta niegodziwa kobieta.

- Ależ, pani Leonides - pogroził jej palcem - niech pani nie wyciąga takich fantastycznych wniosków. Musimy tylko dowiedzieć się, gdzie pani teść trzymał testament.

- Ależ na pewno po podpisaniu wysłał do pana! Sam nam to powiedział.

- Z tego, co wiem, prywatne papiery pana Leonidesa przeglądała policja - rzekł Gaitskill. - Porozmawiam z nadinspektorem Tavernerem.

Wyszedł z pokoju.

- Kochanie - zawołała tragicznym tonem Magda.

- Ona go zniszczyła! Jestem tego pewna!

- Ależ mam, to bzdura - odparła Sophia. - Ona by nie zrobiła czegoś tak głupiego.

- To wcale nie byłoby takie głupie. Jeśli nie ma testamentu, ona odziedziczy absolutnie wszystko.

- Cii... Wraca Gaitskill.

Do salonu wkroczył prawnik. Towarzyszyli mu nadinspektor Taverner i Philip.

- Z tego, co mówił pan Leonides - rzekł prawnik - testament przechowywał w banku.

Taverner potrząsnął głową.

- Rozmawiałem z bankiem. Nie mają żadnych prywatnych papierów należących do pana Leonidesa, z wyjątkiem pewnych papierów wartościowych.

- Ciekawe, czy Roger... albo ciotka Edith... Sophio, może byś ich tu poprosiła.

Niestety, Roger Leonides również nic nie wiedział.

- Przecież to nonsens, absolutny nonsens - dowodził.

- Ojciec złożył podpis na testamencie i wyraźnie powiedział, że następnego dnia wyśle go do pana Gaitskilla.

- O ile dobrze pamiętam - powiedział pan Gaitskill - dwudziestego czwartego listopada zeszłego roku wysłałem projekt testamentu sporządzony według wskazówek pana Leonidesa. Pan Leonides zaaprobował projekt i zwrócił mi go, a ja napisałem testament i wysłałem mu go do podpisania. Po tygodniu ośmieliłem się mu przypomnieć, że jeszcze nie otrzymałem dokumentu i spytałem, czy przypadkiem nie chciałby wprowadzić jakichś zmian. Odparł, że jest zadowolony z testamentu i dodał, że po podpisaniu wysłał go do banku.

- Zgadza się - przytaknął skwapliwie Roger. - Pamiętasz Philipie? To było pod koniec listopada zeszłego roku. Któregoś wieczoru ojciec zawołał nas wszystkich na górę i przeczytał testament.

- Czy pan też to pamięta? - spytał Philipa nadinspektor Taverner.

- Tak - odparł Philip.

- Zupełnie jak w książce - zauważyła Magda z westchnieniem. - Zawsze uważałam, że testament wywołuje dramatyczne skojarzenia.

- A pani, panno Sophio?

- Tak. Doskonale pamiętam.

- A jakie były postanowienia testamentu? - spytał Taverner.

Pan Gaitskill już otworzył usta, by udzielić precyzyjnej i wyczerpującej informacji, ale uprzedził go Roger.

- To był bardzo prosty testament. Electra i Joyce zmarły i ich majątek powrócił do ojca. Syn Joyce został zabity podczas wojny w Birmie, a po nim dziedziczył jego ojciec. Philip, ja i dzieci jesteśmy jedynymi krewnymi. Ojciec nam to wszystko wyjaśnił. Cioci Edith zapisał pięćdziesiąt tysięcy wolnych od podatku spadkowego, Brendzie sto tysięcy wolnych od podatku spadkowego i do wyboru ten dom lub jakiś dom w Londynie, który mieliśmy jej kupić. Pozostały majątek miał być podzielony na trzy części, jedna dla mnie, druga dla Philipa, a trzecia do podziału między Sophię, Eustace'a i Josephine, przy czym pieniądze Eustace'a i Josephine miały być w zarządzie powierniczym do czasu osiągnięcia przez nich dojrzałości. Czy zgadza się, panie Gaitskill?

- Takie właśnie były, z grubsza biorąc, postanowienia dokumentu, który zredagowałem - zgodził się cierpko pan Gaitskill, wyraźnie niezadowolony, że nie dopuszczono go do głosu.

- Ojciec odczytał nam testament - powiedział Roger - i zapytał, czy mamy jakieś uwagi. Oczywiście, nie było uwag.

- Brenda zrobiła uwagę - przypomniała panna de Haviland.

- Tak jest - dodała Magda. - Rzekła, że nie może znieść, kiedy jej drogi Arystydes mówi o śmierci. Powiedziała, że skóra jej cierpnie i że jak on umrze, to ona nie przyjmie ani grosza z tych okropnych pieniędzy.

- To była konwencjonalna uwaga - wyjaśniła panna de Haviland. - Typowa dla klasy, z której pochodzi.

To był okrutny, kąśliwy komentarz. Nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo Edith de Haviland nie cierpi Brendy.

- Pan Arystydes Leonides bardzo mądrze i sprawiedliwie rozporządził majątkiem - powiedział pan Gaitskill.

- A co się działo po odczytaniu testamentu? - spytał Taverner.

- Podpisał go - odparł Roger.

Taverner pochylił się do przodu.

- Jak i kiedy to zrobił?

Roger spojrzał błagalnie na żonę. Clemency - w odpowiedzi na jego niemą prośbę - przejęła ciężar konwersacji. Reszta rodziny wydawała się z tego zadowolona.

- Chce pan dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło? - upewniła się.

- Tak jest, proszę pani.

- Teść położył testament na biurku i poprosił jedno z nas - chyba Rogera - żeby zadzwonił. Roger zadzwonił. Kiedy przyszedł Johnson, teść poprosił go, by sprowadził Janet Wolmer, pokojówkę. Kiedy oboje przyszli, podpisał testament i poprosił, by oni również podpisali się na dokumencie, pod jego nazwiskiem.

- Tak właśnie należało zrobić - wyjaśnił Gaitskill. - Testament należy podpisać w obecności dwóch świadków, którzy muszą podpisać się w tym samym czasie i miejscu.

- A co było potem? - spytał Taverner.

- Teść podziękował im i wyszli. Teść wziął dokument do ręki, włożył do długiej koperty i wspomniał, że następnego dnia wyśle do pana Gaitskilla.

- Czy wszyscy państwo zgadzają się, że relacja jest dokładna? - upewnił się Taverner.

Rozległ się szmer aprobaty.

- Powiedziała pani, że testament był na biurku. W jakiej odległości państwo siedzieli?

- Nie za blisko. Minimum pięć lub sześć metrów.

- Kiedy pan Leonides odczytywał testament, siedział przy biurku?

- Tak.

- Czy po przeczytaniu, a przed podpisaniem wstał lub odszedł od biurka?

- Nie.

- Czy służący mogli widzieć treść dokumentu, kiedy go podpisywali?

- Nie - odparła Clemency. - Ojciec zasłonił górną część dokumentu kartką papieru.

- Słusznie - wtrącił Philip. - Treść nic ich nie powinna obchodzić.

- Rozumiem - rzekł Taverner. - A właściwie nie rozumiem.

Szybkim ruchem wyciągnął długą kopertę i pochylając się wręczył ją prawnikowi.

- Niech pan na to spojrzysz - powiedział - i wyjaśni mi, co to jest.

Pan Gaitskill wyciągnął złożony dokument i obracając go w rękach przyglądał mu się z żywym zainteresowaniem.

- Nieco zaskakujące - skomentował. - Nic nie rozumiem. Gdzie pan to znalazł, jeśli mogę spytać?

- W sejfie, razem z innymi dokumentami pana Leonidesa.

- Ale co to jest? - spytał Roger. - O co chodzi?

- To jest testament, który przygotowałem do podpisu pańskiemu ojcu. Ale nie rozumiem... po tym wszystkim, co powiedzieliście... on jest nie podpisany.

- Co? A może to tylko projekt?

- Nie - odparł prawnik. - Pan Leonides odesłał mi projekt. Dopiero wtedy zredagowałem testament, właśnie ten - stuknął w niego palcem - i wysłałem mu do podpisu. Według tego, co posiadzieliście, podpisał go w obecności was wszystkich i dwóch dodatkowych świadków, którzy również się podpisali. A tymczasem tu nie ma żadnego podpisu.

- Ale to niemożliwe! - wykrzyknął Philip Leonides z gwałtownością, której bym się po nim nie spodziewał.

- Czy ojciec dobrze widział? - zapytał Taverner.

- Cierpiał na jaskrę. Do czytania musiał zakładać silne okulary.

- Czy tego wieczoru miał okulary?

- Oczywiście. Nie zdjął okularów, dopóki nie podpisał. Myślę, że się nie mylę.

- Nie mylisz się - rzekła Clemency.

- I nikt - są tego państwo pewni - nie podchodził do biurka, dopóki dokument nie został podpisany?

- Czy rzeczywiście? - mruknęła Magda, mrużąc oczy. - Gdybyśmy mogli to sobie przypomnieć.

- Nikt nie podchodził do biurka - powiedziała Sophia. - A dziadek cały czas przy nim siedział.

- Czy biurko stało tak jak teraz? Nie było przypadkiem bliżej drzwi albo okna, albo zasłon?

- Było tu, gdzie teraz.

- Próbuję dociec, jak można było dokonać podmiany - wyjaśnił Taverner. - Bo coś takiego musiało się zdarzyć. Pan Leonides miał wrażenie, że podpisuje dokument, który właśnie głośno odczytał.

- Czy nie dałoby się wymazać podpisów? - spytał Roger.

- Nie, panie Leonides. Zostałyby ślady. Ale mamy jeszcze jedną możliwość. To nie jest ten dokument, który pan Gaitskill wysłał panu Leonidesowi i który zastał podpisany w państwa obecności.

- Niemożliwe - sprzeciwił się pan Gaitskill. - Mogę przysiąc, że to jest oryginalny dokument. Na papierze, w górnym lewym rogu, widnieje skaza przypominająca kształtem samolot. Pamiętam ją.

Leonidesowie spoglądali po sobie bezradnie.

- Bardzo dziwne - powiedział prawnik. - W całej swojej karierze nie spotkałem się z czymś podobnym.

- To niemożliwe - rzekł Roger. - Wszyscy tu byliśmy. To nie mogło się zdarzyć.

Panna de Haviland kaszlnęła.

- Nie ma sensu tracić czasu na mówienie, że coś nie mogło się zdarzyć, jeśli się zdarzyło - rzekła. - Chciałabym wiedzieć, jaka teraz jest nasza sytuacja.

Gaitskill natychmiast stał się ostrożnym prawnikiem.

- Teraz należy bardzo dokładnie zbadać sytuację. Ten dokument, naturalnie, unieważnia wszystkie wcześniejsze testamenty. Jest wielu świadków, którzy widzieli, jak pan Leonides podpisywał coś, co - jak sądził - było tym właśnie testamentem. Hm. Bardzo ciekawe. Interesująca kwestia prawna.

Taverner spojrział na zegarek.

- Nie będę państwa dłużej trzymać - rzekł. - Czas na obiad.
- Nie zostanie pan z nami na obiedzie? - zapytał Philip.
- Dziękuję, ale umówiłem się z doktorem Grayem w gospodzie w Swinly Dean.
- A pan zje z nami obiad? - spytał prawnika.
- Dziękuję, Philipie.

Wszyscy wstali. Ukradkiem podszedłem do Sophii.

- Mam iść czy zostać? - zagadnąłem szeptem.
- Lepiej idź.

Wyszedłem z pokoju, szukając Tavernera. Na drzwiach prowadzących w głąb domu huśtała się Josephine. Wydawała się czymś bardzo ubawiona.

- Policja jest głupia - powiedziała.

Z salonu wyszła Sophia.

- Co robiłaś, Josephine?
- Pomagałam niani.
- Wydaje mi się, że podsłuchiwałaś pod drzwiami.

Josephine skrzywiła się i odeszła.

- Same kłopoty z tym dzieckiem - westchnęła Sophia.

## **Rozdział jedenasty**

Wchodząc do pokoju ojca w Scotland Yardzie, zastałem Tavernera, który wylewał swoje żale.

- I proszę bardzo - mówił. - Wywróciłem ich do góry nogami i co zdobyłem? Nic! Absolutnie nic! Żadnych motywów! Nikt nie jest w kłopotach finansowych. A wszystko, co mam przeciwko młodej żonie i temu młodemu człowiekowi, to to, że nalewając mu kawę, robiła do niego słodkie oczy.

- No, no, Taverner - powiedziałem. - Moje dochodzenie wypadło trochę lepiej.

- Naprawdę? A co pan zdobył?

Usiadłem, zapaliłem papierosa i zrelacjonowałem to, czego się dowiedziałem.

- Roger Leonides z żoną planowali w przyszły wtorek uciec za granicę. Roger miał burzliwą rozmowę z ojcem w dniu jego śmierci. Stary Leonides wykrył, że coś jest nie w porządku, i Roger się kajał.

Taverner okropnie poczerwieniał na twarzy.

- Od kogo się pan tego dowiedział? - spytał. - Jeśli od służby...

- Nie od służby. Dowiedziałem się tego od prywatnego detektywa.

- Co ma pan na myśli?

- Muszę przyznać, że zgodnie z zasadami najlepszych kryminalistów on, a raczej ona pobiła policję na głowę. Co więcej, wydaje mi się, że jeszcze ma coś w zanadrzu.

Taverner oniemiał. Na usta cisnęło mu się tyle pytań, że nie wiedział, od czego zacząć.

- Roger! - zawołał. - Zatem to Roger jest tym, kogo szukamy!

Z pewną niechęcią zwierzałem się z odkryć. Polubiłem Rogera Leonidesa. Wspomnienie przyjaznego mężczyzny i jego sympatycznego pokoju sprawiło, że nie kwapiłem się naprowadzać psów policyjnych na jego trop. Oczywiście, zawsze było możliwe, że informacje Josephine były nieprawdziwe, ale właściwie na to nie liczyłem.

- Zatem to ten dzieciak panu powiedział? - rzekł Taverner. - Wydaje się, że wie o wszystkim, co się dzieje w domu.

- Jak każde dziecko - rzucił oschle ojciec. Gdyby moje informacje okazały się prawdziwe, to kompletnie zmieniłyby obraz całej sytuacji. Według Josephine Roger sprzeniewierzył fundusze Zjednoczenia Gastronomicznego. Jeśli jego ojciec to odkrył, Roger mógł zapragnąć uciszyć go i wyjechać z Anglii, zanim prawda wyjdzie na jaw. Możliwe, że bał się wyroku sądowego.

Wszyscy zgodziliśmy się, że należało bez zwłoki zbadać finanse Zjednoczenia Gastronomicznego.

- Jeśli to prawda, bankructwo odbije się szerokim echem - zauważył mój ojciec. - To olbrzymie przedsiębiorstwo. Warte kilka milionów.

- Jeśli rzeczywiście firma ma kłopoty, to mamy to, czego szukaliśmy - powiedział Taverner. - Ojciec wzywa Rogera. Roger załamuje się i wyznaje winę. Brenda Leonides była w kinie, więc wystarczyło, że Roger z pokoju ojca poszedł do łazienki, opróżnił buteleczkę insuliny, a do środka wstrzyknął silny roztwór ezeryny. Mogła to też zrobić jego żona. Po powrocie z pracy poszła przecież do mieszkania teścia, mówi, że po fajkę, którą zostawił Roger. Ale mogła przecież być też w

łazience. Zamieniłyby lekarstwa sprawnie i z zimną krwią.

Skinąłem głową.

- Tak. Wyobrażam ją sobie w tej roli. Na pewno nie straciłaby głowy. Poza tym nie sądzę, że Rogerowi przyszłaby do głowy trucizna. Ten numer z insuliną wygląda na dzieło kobiety.

- Było mnóstwo mężczyzn trucicieli - wtrącił sucho ojciec.

- Wiem o tym - przyznał Taverner. - Mimo wszystko Roger nie wygląda mi na truciciela.

- Pritchard był bardzo towarzyski - przypomniał ojciec.

- Powiedzmy, że zrobili to razem.

- Z akcentem na Lady Macbeth - powiedział ojciec, gdy Taverner wyszedł. - Czy takie zrobiła na tobie wrażenie, Charles?

Przypomniałem sobie szczupłą, zgrabną postać przy oknie.

- Niezupełnie - rzekłem. - Lady Macbeth była chciwa. A Clemency Leonides chyba taka nie jest. Nie sądzę, żeby zależało jej na pieniądzach.

- Ale może zależałoby jej ogromnie na bezpieczeństwie męża?

- Owszem. I z pewnością mogłaby być... no, bezwzględna.

„Jesteśmy bezwzględni, i to w różny sposób” - tak właśnie wyraziła się Sophia.

Zauważyłem, że ojciec mi się przygląda.

- O czym myślisz, Charles?

Nie odpowiedziałem mu.

Następnego dnia ojciec mnie wezwał. Zastałem u niego Tavernera.

Taverner wyglądał na zadowolonego z siebie i nieco podnieconego.

- Zjednoczenie Gastronomiczne jest zagrożone - oznajmił ojciec.

- Lada chwila runie - dodał Taverner.

- Zauważyłem, że wczoraj nastąpił gwałtowny spadek wartości ich akcji na giełdzie - rzekłem - ale dziś rano sytuacja się poprawiła.

- Musieliśmy być bardzo ostrożni - powiedział Taverner. - Żadnych bezpośrednich pytań. Nie możemy przecież dopuścić do tego, by nasz dżentelmen czegoś się domyślił. Albo wystraszył. Ale z prywatnych źródeł informacji dowiedzieliśmy się, że Zjednoczenie Gastronomiczne przeżywa ostry kryzys i lada chwila ogłosi bankructwo. Przepuszczalnie nie będzie mogło wywiązać się ze zobowiązań. Prawda jest taka, że przez całe lata było bardzo źle prowadzone.

- Przez Rogera Leonidesa?

- Tak. On miał głos decydujący.

- I sprzeniewierzał pieniądze.

- Raczej nie. Mówiąc bez ogródek, może być mordercą, ale nie jest oszustem. Właściwie okazał się... głupcem. Nie ma smykałki do interesów. Angażował się w to, w co nie powinien, wycofywał się z umów, które okazałyby się bardzo korzystne, na kierownicze stanowiska mianował osoby, które się do tego nie nadawały. Jest łatwowierny i zawierzał niewłaściwym osobom. Za każdym razem robił odwrotnie, niż powinien.

- Są tacy ludzie - rzekł ojciec. - I to wcale nie znaczy, że są głupi. Po prostu źle oceniają ludzi. I zapalają się do niewłaściwych rzeczy.

- Ktoś taki nie powinien zajmować się interesami - powiedział Taverner.

- On pewnie by się nimi nie zajmował - wyjaśnił ojciec - gdyby nie był synem Arystydesa Leonidesa.

- Przedsiębiorstwo było w kwitującym stanie, kiedy ojciec mu je przekazał. Powinno okazać się kopalnią złota. Mógłby siedzieć z założonymi rękami, a ono samo by funkcjonowało.

- Nie - zaprotestował ojciec. - Żadne przedsiębiorstwo samo nie funkcjonuje. Zawsze trzeba podejmować decyzje: wyrzucić kogoś z pracy, wyznaczyć kogoś na stanowisko i tak dalej. A Roger Leonides zawsze podejmował złe decyzje.

- To prawda - przyznał Taverner. - Po pierwsze, jest lojalny. Trzymał okropne niedołęgi, ponieważ lubił tych ludzi albo dlatego, że długo pracowali w firmie. A poza tym czasami miał przedziwne i zupełnie niepraktyczne pomysły i upierał się przy ich realizacji, mimo że wymagały wielkich nakładów finansowych.

- Ale nie robił nic niezgodnego z prawem? - upewnił się ojciec.

- Nic niezgodnego z prawem.

- To dlaczego miałby zamordować? - zdziwiłem się.

- Może nie był łotrem, tylko głupcem - rzekł Taverner - ale rezultat jest taki sam albo prawie taki sam. Jedyna rzecz, która mogłaby uratować Zjednoczenie Gastronomiczne od klęski, to ogromna suma pieniędzy na koncie - spojrzął do notatek - najpóźniej w następny wtorek.

- Czy odziedzyczyłby albo przynajmniej myślał, że odziedziczy tę sumę w testamencie?

- Dokładnie.

- Ale i tak nie miałyby gotówki.

- Oczywiście. Ale otrzymałby kredyt. A to to samo. Ojciec kiwnął głową.

- Nie byłoby prościej poprosić Leonidesa o pomoc?

- Myślę, że to zrobił - rzekł Taverner. - Sądzę, że tę właśnie rozmowę podsłuchiwała Josephine.

Wydaje mi się, że staruszek stanowczo odmówił wyrzucania pieniędzy w błoto. Byłby w stanie to zrobić.

Pomyślałem, że Taverner ma rację. Arystydes Leonides odmówił wsparcia dla sztuki Magdy - zapowiedział, że nie odniesie sukcesu kasowego. Okazało się, że miał rację. Dla rodziny był hojny, ale nie marnowałby pieniędzy na niedochodowe przedsięwzięcia. A na Zjednoczenie musiałby wyłożyć tysiące, jeśli nie setki tysięcy. Z miejsca odmówił i dla Rogera jedynym sposobem uniknięcia ruiny finansowej była śmierć ojca.

Tak, miał motyw.

Ojciec spojrział na zegarek.

- Poprosiłem go, by przyszedł - wyjaśnił. - Lada chwila tu będzie.

- Roger?

- Tak.

- Wejdz do mojego pokoju, rzekł pajak do muszki - mruknąłem.

Taverner spojrział na mnie ze zgorzleniem.

- Naturalnie poinformujemy go o jego prawach - zauważył.

Pokój został przygotowany na przyjęcie gościa, stenograf już czekał. Wkrótce zabrzmiał dzwonek i chwilę później do pokoju wkroczył Roger Leonides.

Poruszał się dosyć niezdarnie i od razu potknął się o krzesło. Przypominał mi wielkiego psiaka. Natychmiast nabrałem pewności, że to nie on napełnił, ezeryną butelkę po insulinie. Na pewno by ją stłukł, rozlał płyn na podłogę lub w inny sposób sfuszerował całą operację. Musiała to zrobić Clemency, choć on naturalnie o wszystkim wiedział.

Od samego progu Roger wyrzucał z siebie potok słów.

- Panowie chcieli ze mną rozmawiać? Wykryliście coś? Cześć, Charles. Nie zauważyłem cię.

Miło, że przyszedłeś. Sir Arthurze, proszę mi powiedzieć...

Taki miły facet, naprawdę miły. Ale wielu morderców było sympatycznymi ludźmi - tak twierdzili ich przyjaciele, bardzo zaskoczeni wynikami śledztwa. Czując się jak Judasz, uśmiechnąłem się na powitanie.

Ojciec zachowywał się powściągliwie, bardzo oficjalnie. Z jego ust spływały gładkie zdania. Złożyć zeznanie... dobrowolnie... adwokat...

Roger Leonides niecierpliwie machnął ręką.

Na twarzy nadinspektora Tavernera zauważyłem lekki sardoniczny uśmiech i zgadłem, co sobie pomyślał: „Zawsze tacy pewni siebie. Gdzieżby mogli się pomylić! Są zbyt sprytni!”

Usiadłem w kącie i słuchałem.

- Prosiłem pana o przyjście, panie Leonides - mówił ojciec - nie po to, by udzielić panu wieści o postępach dochodzenia, lecz by poprosić pana o pewne informacje - informacje, które pan wcześniej ukrył.

Roger Leonides wyglądał na zaskoczonego.

- Co ukryłem? Przecież powiedziałem wszystko, absolutnie wszystko!

- A jednak nie. W dniu śmierci ojca rozmawiał pan z nim?

- Tak, poszedłem do niego na herbatę. Mówiłem o tym.

- Owszem, ale nie powiedział pan, o czym rozmawialiście.

- Po prostu... rozmawialiśmy.

- O czym?

- O rzeczach codziennych, o domu, Sophii...

- A o Zjednoczeniu Gastronomicznym?

Do tej chwili łudziłem się, że Josephine wymyśliła całą historię. Teraz ta nadzieja legła w gruzach.

Twarz Rogera zmieniła się w jednej chwili. Pojawił się na niej wyraz niemalże rozpacz.

- Och, mój Boże - jęknął. Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Taverner uśmiechał się z zadowoleniem, jak kot na widok myszy.

- Przyznaje pan, panie Leonides, że nie był pan z nami szczery?

- Jak się o tym dowiedzieliście? Myślałem, że nikt nie wie... nie rozumiem, skąd ktoś mógłby wiedzieć.

- Mamy swoje sposoby. Myślę, że będzie lepiej, jeśli pan nam powie prawdę.

- Naturalnie, opowiem o wszystkim. Co chcecie wiedzieć?

- Czy to prawda, że Zjednoczenie Gastronomiczne stoi na krawędzi bankructwa?

- Tak. Teraz nie da się tego uniknąć. Gdyby tylko ojciec umarł nieświadom klęski! Czuję się zhańbiony...

- Czy istnieje niebezpieczeństwo, że będzie pan ścigany karnie?

Roger poderwał się.

- Nie, naturalnie, że nie. Zbankrutuję, ale będzie to honorowe bankructwo. Wierzyciele otrzymają dwadzieścia szylingów za funt, jeśli poświęcę prywatny majątek, a tak właśnie zrobię. Czuję się zhańbiony, bo zawiodłem ojca. Zawierzył mi, przekazał największe przedsiębiorstwo - jego ukochane dziecko. Nigdy nie wtrącał się, nie pytał, corobież. Po prostu jej wierzył. A ja go zawiodłem...

- Mówił pan, że nie będzie ścigania karnego, zatem dlaczego pan z żoną planował potajemnie ucieczkę?

- O tym też pan wie?

- Tak, panie Leonides.

- Nie rozumie pan? Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Wyglądałoby to tak, jakbym prosił o pieniądze. Jakbym chciał, żeby postawił mnie na nogi. On... bardzo mnie kochał. Na pewno chciałby pomóc. Ale ja nie mogłem, nie chciałem przyjąć pomocy. Po jakimś czasie sytuacja by się powtórzyła - ja się do tego nie nadaję. Brakuje mi odpowiednich umiejętności. Zupełnie nie przypominam ojca. Wiedziałem o tym, ale próbowałem swoich sił. Nie udało się. Bóg jeden wie, jaki byłem nieszczęśliwy. Próbowałem zaradzić kłopotom, wydostać się z tego bagna, miałem nadzieję, że staruszek nigdy się o niczym nie dowie. Niestety, bankructwo stało się nieuniknione. Clemency doskonale mnie rozumiała i razem ze mną obmyśliła ten plan. Postanowiliśmy nic nikomu nie mówić, tylko wyjechać. Chciałem zostawić list do ojca, a w nim wyjaśnić całą sytuację, powiedzieć mu, że wstydzę się tego, co się stało, i prosić o wybaczenie. Taki był zawsze dla mnie dobry. Byłoby już za późno, by mógł coś zrobić. I tego właśnie chciałem. Nie prosić go o pomoc, ale zacząć od początku, żyć prosto i skromnie. Uprawiać coś. Kawę, owoce. Mieć tylko to, co najpotrzebniejsze. Clemency byłoby trudno, ale zarzekła się, że jej nie zależy. Jest cudowna, po prostu cudowna.

- Rozumiem - powiedział oschle ojciec. - A dlaczego zmienił pan zdanie?

- Ja zmieniłem zdanie?

- Tak. Dlaczego poszedł pan do ojca prosić o pomoc?

Roger patrzył na niego zdumiony.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Ależ panie Leonides!

- Było odwrotnie. To nie ja do niego poszedłem, tylko on mnie wezwał. Będąc w City, usłyszał jakieś pogłoski. Zapytał mnie, czy to prawda, a ja się załamałem... i do wszystkiego się przyznałem. Powiedziałem, że nie tyle chodzi o pieniądze, ile o uczucie, że zawiodłem jego zaufanie.

Roger przełknął łzy.

- Kochany staruszek - rzekł. - Nie macie pojęcia, jaki był dla mnie dobry. Nie robił mi wymówek. Powiedziałem mu, że nie chcę pomocy, że wolę wyjechać, jak planowałem, ale on nie chciał o tym słyszeć. Koniecznie chciał przyjść na ratunek, chciał postawić przedsiębiorstwo na nogi.

- Chce pan, byśmy uwierzyli, że ojciec zamierzał wesprzeć pana finansowo? - spytał ostrym tonem Taverner.

- Oczywiście. Napisał w tej sprawie do swoich maklerów.

Na twarzy jego rozmówców odbiło się niedowierzenie. Roger Leonides zaczerwienił się.

- Ja mam ten list - powiedział. - Miałem go wysłać, ale oczywiście... ten wstrząs i całe zamieszanie... w rezultacie zapomniałem. Prawdopodobnie mam go w kieszeni.

Wyciągnął portfel i zaczął go przeglądać. W końcu znalazł pomiętą kopertę ze znaczkiem, zaadresowaną - jak zauważyłem - do firmy Greatorex i Hanbury.

- Proszę przeczytać - rzekł - jeśli mi panowie nie wierzą.

Ojciec otworzył list. Taverner stanął za nim i zaglądał przez ramię. Nie czytałem wtedy listu, ale widziałem go później. W tym piśmie Arystydes Leonides dawał panom Greatorexowi i Hanbury'emu wskazówki dotyczące sposobu realizacji pewnych inwestycji i prosił, aby przedstawiciel firmy odwiedził go następnego dnia w sprawie Zjednoczenia Gastronomicznego. Nie wszystko rozumiałem, ale cel listu był jasny: Arystydes Leonides przymierzał się do postawienia Zjednoczenia na nogi.

- Damy panu pokwitowanie na ten list - powiedział Taverner.

Roger przyjął pokwitowanie, wstał i spytał:

- Czy to wszystko? Już panowie wiedzą, jak sprawa wyglądała, prawda?

Taverner spytał:

- Pan Leonides dał panu list i pan wyszedł? Co potem pan zrobił?

- Pobiegnę do swojego mieszkania. Żona właśnie wróciła. Powiedziałem jej, co zaproponował ojciec i jaki był cudowny. Naprawdę, sam nie wiedziałem, co robię.

- Po jakim czasie pański ojciec źle się poczuł?

- Niech pomyślę. Pół godziny, może godzinę. Przyszła do nas Brenda, była wystraszona. Powiedziała, że ojciec niedobrze wygląda. Pobiegnę razem z nią. Ale o tym wszystkim już mówiłem.

- Czy w trakcie poprzedniej wizyty wchodził pan do łazienki przylegającej do pokoju ojca?

- Nie, chyba nie. To znaczy na pewno nie. Nie myślicie chyba, że ja...

Ojciec wstał i podał rękę Rogerowi, szybko tłumiąc jego wzburzenie.

- Dziękujemy, panie Leonides. Był pan bardzo pomocny. Choć mógł nam pan o wszystkim powiedzieć wcześniej.

Za Rogerem zamknęły się drzwi. Podeszedłem do stołu i spojrzałem na otwarty list.

- Może jest podrobiony - zauważył z nadzieją w głosie Taverner.

- Może, choć nie wydaje mi się - odparł ojciec. - Myślę, że musimy pogodzić się z tym, że stary Leonides postanowił wyciągnąć syna z kłopotów. Łatwiej zrobiłby to ojciec za życia niż syn po jego śmierci - szczególnie, że wobec braku testamentu nie wiadomo, ile Roger odziedziczy. To oznacza zwłokę i duże trudności. W obecnej sytuacji nie uda się uniknąć bankructwa. Nie, Taverner, Roger Leonides ani jego żona nie mieli motywu zabójstwa. Wręcz przeciwnie...

Zatrzymał się w pół zdania i powtórzył jeszcze raz, jak gdyby uderzyła go jakaś nowa myśl: - Wręcz przeciwnie.

- O czym pan myśli? - spytał Taverner.

- Gdyby Arystydes Leonides żył następne dwadzieścia cztery godziny, Roger wydostałby się z kłopotów. Ale nie dożył tych dwudziestu czterech godzin. Odszedł nagle godzinę później.

- Hm - mruknął Taverner. - Czy pan sugeruje, że ktoś w domu pragnął, by Roger zbankrutował? Ktoś, kto by na tym zyskał? Wydaje mi się mało możliwe.

- Co z testamentem? Kto właściwie dziedziczy majątek starego Leonidesa?

Taverner westchnął z rozdrażnieniem.

- Wie pan, jacy są prawnicy. Nigdy nie dadzą odpowiedzi wprost. Jest poprzedni testament, sporządzony zaraz po ślubie z drugą żoną. W tym testamencie zostawia jej podobną sumę pieniędzy,

pannie de Haviland trochę mniej niż w następnym, a pozostały majątek dzieli między Rogera i Philipa. Wydawało mi się, że skoro ten testament nie jest podpisany, to obowiązuje poprzedni, ale okazuje się, że sprawa nie jest taka prosta. Po pierwsze, sporządzenie drugiego testamentu unieważnia pierwszy, poza tym są świadkowie jego podpisywania i „zamiarów testatora”. Będzie heca, jeśli okaże się, że zmarł nie zostawiając testamentu. Wówczas wszystko dziedziczy żona - a przynajmniej ma dożywotnią rentę.

- Zatem jeśli nie będzie testamentu, najbardziej na tym skorzysta Brenda Leonides?

- Tak. Jeśli jest w tym jakieś oszukaństwo, to prawdopodobnie ona jest odpowiedzialna. A najwyraźniej ktoś tu coś pokombinował. Żebym tylko wiedział, jak to zrobił!

Ja też tego nie wiedziałem. Rzeczywiście byliśmy strasznie głupi. I naturalnie patrzyliśmy na sprawę ze złego punktu widzenia.

## Rozdział dwunasty

Po wyjściu Tavernera przez chwilę panowała cisza.

- Tato, jacy to ludzie, mordercy? - spytałem w końcu.

Ojciec spojrzał na mnie w zamyśleniu. Rozumieliśmy się tak dobrze, że wiedział dokładnie, o czym myślałem, zadając mu to pytanie. I odpowiedział bardzo poważnie.

- Tak, to dla ciebie ważne, bardzo ważne. Morderstwo dotknęło cię osobiście. Nie możesz patrzeć na nie z zewnątrz.

Zawsze po amatorsku interesowałem się najbardziej widowiskowymi „przypadkami”, ale - jak zauważył ojciec - patrzyłem na nie od zewnątrz, jak przez okno sklepowe. Teraz, co Sophia dostrzegła znacznie wcześniej niż ja, morderstwo stało się najważniejszą sprawą w moim życiu.

- Nie wiem, czy właśnie mnie powinieneś o to pytać - rzekł ojciec. - Mógłbym skontaktować cię z kilkoma psychiatrami, którzy u nas pracują. Taverner też mógłby ci powiedzieć parę rzeczy. Ale - jak sądzę - chcesz wiedzieć, co ja osobiście, w wyniku własnych doświadczeń z kryminalistami, mogę o tym powiedzieć?

- Właśnie.

Ojciec narysował palcem kółko na biurku.

- Jacy są mordercy? Niektórzy z nich - uśmiechnął się melancholijnie - to bardzo mili ludzie.

Musiałem mieć bardzo zaskoczoną minę, bo ojciec rzekł:

- Naprawdę mili. Zwykli sympatyczni ludzie, jak ty lub ja albo ten facet, który właśnie wyszedł  
- Roger Leonides. Widzisz, morderstwo to zbrodnia amatorska.

Naturalnie mówię o takim morderstwie, o jakie pytasz, nie o gangsterach. Czasem ma się wrażenie, że ci mili ludzie popełnili zbrodnię zupełnie przypadkowo. Zostali przyciśnięci do muru albo bardzo czegoś pragnęli - pieniędzy, kobiety - i zabili, aby to osiągnąć. Nie posiadają hamulca, który ma większość z nas. Dziecko bez skrępowań przekształca pragnienie w działanie. Kiedy rozgniewa się na kota, mówi „zabiję cię” i zamierza się na niego młotkiem - a potem ma złamane serce, bo kotek nie chce ożyć. Wiele dzieci ma ochotę wyciągnąć niemowlę z wózka i utopić je, ponieważ absorbuje rodziców lub przeszkadza w zabawie. Jednak bardzo szybko osiągają stadium, w którym rozpoznają, co jest złe, czyli za co zostaną ukarane. Później uczą się czuć, że to jest złe. Ale niektórzy - jak mi się wydaje - pozostają moralnie niedojrzali. Wiedzą, że morderstwo jest złe, ale nie czują tego. Ze swojego doświadczenia nie pamiętam, żeby któryś z morderców naprawdę odczuwał wyrzuty sumienia... Może właśnie na tym polega piętno Kaina. Mordercy są inni niż reszta społeczeństwa; morderstwo jest złem, ale nie dla nich, dla nich jest koniecznością, ofiara „sama się o to prosiła”, „nie mieli wyjścia”.

- Czy myślisz - spytałem - że gdyby ktoś nienawidził Leonidesa, nienawidził go naprawdę mocno i od dawna, to mógłby to być motyw?

- Czysta nienawiść? Mało prawdopodobne - ojciec spojrzał na mnie ciekawie. - Kiedy mówisz „nienawiść”, podejrzewam, że masz na myśli niechęć posuniętą do ostatecznych granic. Zazdrośna nienawiść jest czymś innym - rodzi się z uczucia i odrzucenia. Wszyscy twierdzili, że Constance Kent bardzo kochała nowo narodzonego braciszka. A jednak go zabiła. Podejrzewam, że zazdrościła troski i miłości, którymi go otaczano.

Myślę, że ludzie częściej zabijają osoby, które kochają, niż te, których nienawidzą. Może dlatego, że tylko ci, których kochamy, mogą uczynić nasze życie ciężkim nie do zniesienia.

- Ale to wszystko nie bardzo jest pomocne, prawda? - ciągnął. - Z tego, co rozumiem, pragniesz, bym zdradził ci jakiś uniwersalny znak, dzięki któremu w gronie normalnych, sympatycznych ludzi rozpoznasz mordercę?

- Otóż to.

- Czy jest jakaś wspólna cecha? Hm. Jeśli jest, to powiedziałbym, że chyba próżność.

- Próżność?

- Tak. Nigdy nie spotkałem mordercy, który nie byłby próżny... W dziewięciu przypadkach na dziesięć to właśnie próżność prowadzi ich do zguby. Mogą bać się tego, że zostaną złapani, ale nie mogą powstrzymać się, żeby się nie pochwalić swym sprytem i zazwyczaj są przekonani, że przechytrzyli policję. I jeszcze jedna rzecz: morderca lubi mówić.

- Jak to mówić?

- Widzisz, morderstwo wyobcowało cię spośród ludzi. Chciałbyś powiedzieć o tym komuś, ale nie możesz. I dlatego tym bardziej tego pragniesz. Zatem jeśli nie możesz mówić o tym, jak popełniłeś zbrodnię, przynajmniej będziesz mówić o samej zbrodni: rozważać szczegóły, wymyślać teorie. Na twoim miejscu, Charles, tego bym szukał. Jedź tam, obcuj z nimi, rozmawiaj. Oczywiście, twoje zadanie nie będzie łatwe. Winny czy niewinny, każdy chętnie porozmawia z obcym, ponieważ tobie będą mogli powiedzieć to, czego nie mogą powiedzieć sobie. Jest jednak możliwość, że zauważysz różnicę. Osoba, która ma coś do ukrycia, właściwie nie może sobie pozwolić na to, by w ogóle otwierać usta. W czasie wojny uczono tego w służbach specjalnych.

Jak cię złapią, możesz podać nazwisko, rangę i numer, ale nic więcej. Kiedy ktoś próbuje podawać fałszywe informacje, prawie zawsze wpada. Rozmawiaj z nimi, Charles, i uważaj na wpadkę.

Powtórzyłem ojcu, co Sophia powiedziała mi o bezwzględności charakteryzującej wszystkich członków rodziny. Zainteresował się.

- Coś w tym jest - rzekł. - W prawie wszystkich rodzinach jest jakaś wada, szczyrba w zbroi. Większość z nas daje sobie radę z jedną ułomnością, ale z dwiema różnymi mogłoby być gorzej. Ciekawa rzecz, dziedziczność. Weźmy bezwzględność panny de Haviland i brak skrupułów Leonidesa. De Havilandowie są w porządku, bo nie są pozbawieni skrupułów, natomiast Leonidesowie są w porządku, bo pomimo braku skrupułów mają dobre serce. Ale jeśli ktoś odziedziczy cechy obu rodzin - rozumiesz mnie?

Nie myślałem o sprawie w tych kategoriach. Ojciec kontynuował:

- Ale nie martwiłbym się znaną dziedzicznością. To temat zbyt trudny i zdradliwy. Nie, chłopcze, jedź tam i pozwól im mówić. Twoja Sophia pod jednym względem ma niewątpliwie rację: tylko prawda może wam pomóc. Musicie wiedzieć.

Już wychodziłem z pokoju, gdy za mną zawołał:

- I uważaj na dziecko.

- Na Josephine? Masz na myśli, żeby nie zdradzać przed nią, jaka jest moja rola?

- Nie. Nie to miałem na myśli. Nie pozwól, by jej się coś stało.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem.

- Charles, Charles. Przecież wśród nich jest morderca. A Josephine jest bardzo wścibska i wie o wszystkim, co się dzieje.

- Wiedziała o Rogerze - nieważne, że z tego wyciągnęła wniosek, iż jest oszustem. Jej relacja z tego, co usłyszała, wydaje się dosyć dokładna.

- No właśnie. Zeznania dziecka często są najlepsze. Polegałbym na nich. Niestety, nie do przedstawienia w sądzie. Dzieciom nie można zadawać bezpośrednich pytań, bo mamrocą albo

robią głupią minę i mówią, że nie wiedzą. Najlepsze są wtedy, gdy się chcą popisać. A ta mała to właśnie robi. Zachęcaj ją, a w ten sposób dowiesz się więcej. Nie zadawaj jej pytań. Udawaj, że nie wierzysz, żeby ona mogła cokolwiek wiedzieć. To powinno zadziałać.

I dodał:

- Tylko na nią uważaj. Ona może wiedzieć trochę za dużo, by ktoś z nich mógł spać spokojnie.

## Rozdział trzynasty

Pojechałem do Krzywego Dworku (tak go w myślach nazywałem) z lekkim poczuciem winy. Choć powtórzyłem Tavernerowi informacje Josephine o Rogerze, nie wspomniałem mu nic o miłosnych listach Laurence'a Browna i Brendy.

Rozgrzeszyłem się, wmawiając sobie, że dziecko fantazjuje. Naprawdę chodziło o to, że czułem dziwną niechęć do dokładania dowodów przeciwko Brendzie Leonides. Współczułem jej - żyła otoczona przez wrogą rodzinę. Gdyby takie listy istniały, niewątpliwie ludzie Tavernera by je znaleźli. Nie chciałem rzucać nowych podejrzeń na kobietę w tak trudnej sytuacji. Poza tym solennie mnie zapewniła, że między nią i Laurence'em nic nie było. Bardziej byłem skłonny wierzyć jej niż tej złośliwej Josephine. Czy to nie Brenda powiedziała, że Josephine ma niedobrze w głowie?

Zduśłem w sobie niepokojące przekonanie, że Josephine ma całkiem dobrze w głowie. Przypomniała mi się inteligencja widoczna w jej czarnych oczach.

Zadzwoiłem do Sophii, pytając, czy mógłbym jeszcze raz przyjechać.

- Proszę cię o to, Charles.

- Co u was?

- Nie wiem. Chyba wszystko w porządku. Trwa rewizja domu. Czego mogą szukać?

- Nie mam pojęcia.

- Robimy się coraz bardziej nerwowi. Przyjedź tak szybko, jak tylko możesz. Zwariuję, jeśli z kimś nie porozmawiam.

Przyrzekłem, że natychmiast ruszę w drogę.

Gdy podjeżdżałem do domu, nikogo nie było widać. Zapłaciłem za kurs i taksówka odjechała. Nie mogłem się zdecydować, czy dzwonić, czy po prostu wejść. Drzwi były otwarte.

Stałem niezdecydowany. Nagle usłyszałem za sobą jakiś cichy dźwięk. Gwałtownie

odwróciłem głowę. W przerwie cisowego żywopłotu stała Josephine i patrzyła na mnie, jedząc ogromne jabłko.

Gdy na nią spojrzałem, odwróciła się.

- Cześć, Josephine.

Nie odpowiedziała, tylko schowała się za żywopłot. Poszedłem za nią. Siedziała na niewygodnej ławce przy stawie ze złotymi rybkami, machała nogami i zjadała czerwone jabłko. Patrzyła na mnie z wyraźną wrogością.

- Znowu przyjechałem, Josephine - zagadnąłem ją. Nie był to najlepszy początek rozmowy, ale jej milczenie i utkwione we mnie spojrzenie trochę odebrało mi odwagę.

Z intuicyjnym wyczuciem strategii, nadal nie odpowiadała.

- Dobre jabłko? - spytałem.

- Mączyste - odparła krótko.

- Szkoda. Nie lubię mączystych jabłek.

- A kto je lubi - rzuciła pogardliwie Josephine.

- Dlaczego nie odpowiedziałas mi, jak ci powiedziałem cześć!

- Nie chciałam.

- Dlaczego?

Josephine odsunęła jabłko od ust, aby nie przeszkadzało jej w wyraźnym wyartykułowaniu oskarżenia.

- Doniosłeś o wszystkim policji - rzekła. Z zaskoczenia straciłem kontenans.

- Ooo - wyjąkałem. - Masz na myśli... co masz na myśli?

- Wuja Rogera.

- Ależ nic się nie stało - zapewniłem ją. - Zupełnie nic. Policja wie, że on nic nie zrobił, to znaczy nie zdefraudował pieniędzy ani nic takiego.

Josephine rzuciła mi rozdrażnione spojrzenie.

- Jaki ty jesteś głupi.

- Przepraszam.

- Nie martwiłam się o wuja Rogera. Chodzi o to, że detektywi nie pracują w ten sposób. Nie wiesz, że aż do samego końca nic nie mówią policji?

- Rozumiem. Przepraszam, Josephine. Bardzo przepraszam.

- Zupełnie słusznie. Wierzyłam ci - dodała tonem wyrzutu.

Przeprosiłem ją po raz trzeci. Josephine trochę się udobruchała. Zjadła kilka kęsów jabłka.

- Policja i tak by do tego dotarła - rzekłem. - I tak byś... bym... byśmy nie utrzymali tego w tajemnicy.

- Masz na myśli bankructwo wuja Rogera?

Jak zwykle Josephine była doskonale poinformowana.

- Boję się, że to nieuniknione.

- Dziś będą rozmawiać na ten temat. Matka, ojciec, wuj Roger i ciocia Edith. Ciocia Edith dałaby mu swoje pieniądze - tylko że ich jeszcze nie ma, ale tato chyba tego nie zrobi. Mówi, że jeśli Roger narobił kłopotów, to sam jest sobie winien i nie ma co wyrzucać pieniędzy, a mama nie zgodzi się, bo chce, żeby tato sfinansował Edith Thompson. Wiesz, że Edith Thompson miała męża, ale go nie lubiła. Kochała młodego mężczyznę, nazywał się Bywaters, który zszedł ze statku i on po przedstawieniu poszedł inną ulicą, i go zasztyletował.

Znowu ze zdziwieniem skonstatowałem, ile Josephine wie. Podziwiałem też jej zmysł dramatyczny, dzięki któremu w kilku słowach - lekko tylko zaciemniając sprawę niejasnymi zaimkami - potrafiła przedstawić najważniejsze fakty.

- Historia zapowiada się ciekawie - powiedziała dziewczynka. - Ale sądzę, że sztuka będzie zupełnie inna. Druga Izebel - westchnęła. - Gdybym tylko wiedziała, dlaczego psy nie chciały zjeść jej dłoni.

- Josephine - zagadnąłem ją - powiedziałaś mi, że jesteś niemal pewna tego, kto jest mordercą.

- No?

- I kto to jest?

Popatrzyła na mnie pogardliwie.

- Rozumiem. Dopiero w ostatnim rozdziale? Nie powiesz mi, nawet jeśli przyrzeknę, że nie zdradzę nadinspektorowi Tavernerowi?

- Potrzebuję jeszcze tylko paru wskazówek. A poza tym - dodała, wrzucając ogryzek do stawu - i tak nie powiem tobie. Jesteś przecież tylko Watsonem.

Przełknąłem obelgę.

- W porządku. Jestem Watsonem. Ale nawet Watson miał wszystkie dane.

- Co miał?

- Fakty. Tylko wyciągał z nich złe wnioski. Nie bawiłoby cię patrzenie, jak wyciągam złe wnioski?

Przez chwilę Josephine kusiała ta myśl, ale w końcu potrząsnęła głową.

- Nie. A poza tym nie przepadam za Sherlockiem Holmesem. Jest strasznie staroświecki. W jego czasach jeżdżono jeszcze powozami!

- A co z listami? - spytałem.

- Jakimi?

- Które Laurence Brown i Brenda pisali do siebie.

- Wszystko wymyśliłam.

- Nie wierzę ci.

- Naprawdę. Często to robię. To mnie bawi.

Patrzyłem na nią uważnie. Josephine przyglądała mi się z równą uwagą.

- Słuchaj, Josephine. Znam faceta w British Museum, który wie wszystko o Biblii. Powiesz mi, jeśli dowiem się, dlaczego psy nie zjadły dłoni Izebel?

Josephine zawahała się.

Gdzieś w pobliżu trzasnęła ułamana gałązka.

- Nie, nie powiem - odparła dziewczynka. Musiałem pogodzić się z porażką. Nagle przypomniałem sobie radę ojca.

- No cóż, to i tak tylko zabawa - powiedziałem. - Naprawdę i tak nic nie wiesz.

Josephine spiorunowała mnie wzrokiem, ale oparła się pokusie. Wstałem.

- Już muszę iść i poszukać Sophii. Chodź ze mną.

- Zostaję tutaj.

- Nie zostajesz. Idziemy razem. Bezceremonialnie ściągnąłem ją z ławki. Wydawała się zaskoczona i już chciała protestować, ale zrezygnowała. Pewnie chciała zobaczyć, jak domownicy

zareagują na mój przyjazd.

Przez chwilę sam nie wiedziałem, dlaczego uparłem się, żeby poszła ze mną. Dopiero kiedy wchodziliśmy do domu, zdałem sobie sprawę, że to z powodu trzasku ułamanej gałązki.

## Rozdział czternasty

Z dużego salonu dochodził szmer głosów. Zawahałem się, ale nie wszedłem. Minąłem salon i powodowany nagłym impulsem otworzyłem drzwi w głębi korytarza. Korytarz za nimi był ciemny, ale nagle otworzyły się drzwi, ukazując dużą jasną kuchnię. Stała w nich starsza, gruba kobieta w białym fartuchu. Gdy tylko ją ujrzałem, wiedziałem, że wszystko dobrze się skończy. Dobra niania zawsze wzbudza takie uczucia. Wprawdzie miałem trzydzieści pięć lat, ale poczułem się podniesiony na duchu, jakbym był czteroletnim chłopczykiem.

Wprawdzie niania nigdy mnie nie widziała, ale od razu zgadła, kim jestem.

- Pan Charles, prawda? Proszę wejść do kuchni. Zrobię panu filiżankę herbaty.

To była kuchnia jakby stworzona do tego, żeby się w niej dobrze czuć. Usiadłem przy stole na środku, a niania przyniosła mi herbatę i dwa biszkopeciki na talerzyku. Czułem się, jakbym trafił do pokoju dzieciennego. Wszystko znowu było dobrze - już nie bałem się ciemności i nieznanego.

- Panienska Sophia będzie się cieszyć, że pan przyjechał - powiedziała niania. - Ostatnio zrobiła się nerwowa. I - dodała z dezaprobatą - oni wszyscy zrobili się nerwowi.

Obejrzałem się za siebie.

- Gdzie jest Josephine? Przyszła razem ze mną. Niania cmoknęła z niezadowoleniem.

- Podśłuchuje pod drzwiami i wszystko zapisuje w tym notesie, który wszędzie ze sobą nosi. Powinna była pójść do szkoły i bawić się z dziećmi w jej wieku.

Powiedziałam to panie Edith i ona się ze mną zgodziła, ale pan powiedział, że najlepiej jest jej w domu.

- Pewnie ją kocha.

- Kochał ją. Kochał ich wszystkich.

Zdziwiłem się, dlaczego uczucia Philipa do własnych dzieci należą już do przeszłości. Niania, widząc moją zaskoczoną minę, pospieszyła z wyjaśnieniami.

- Kiedy powiedziałam „pan”, myślałam o starszym panu.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, gwałtownie otworzyły się drzwi i do kuchni weszła Sophia.

- Och, Charles - zawołała, a potem szybko dodała:

- Nianiu, tak się cieszę, że przyjechał.

- Wiem, że się cieszysz, kochanie.

Niania zebrała naczynia i wyszła z nimi do zmywalni, zamykając za sobą drzwi.

Podszedłem do Sophii, objąłem ją i przytuliłem do siebie.

- Najmilsza - powiedziałem. - Cała drżysz. Co się stało?

- Boję się, Charles, boję się.

- Kocham cię. Gdybym mógł cię stąd zabrać... Odsunęła się i potrząsnęła głową.

- Niemożliwe. Musimy przez to przejść. Nie podoba mi się to, Charles. To okropne uczucie, że ktoś w tym domu, ktoś, kogo codziennie widuję i z kim rozmawiam, jest wyrachowanym trucicielem.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Sophia nie przyjęłaby pociechy bez pokrycia.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli... - szepnęła.

- To musi być najgorsze ze wszystkiego - zgodziłem się.

- Wiesz, czego najbardziej się boję? Że możemy nigdy się tego nie dowiedzieć...

Łatwo wyobraziłem sobie, jakim byłoby to koszmarem. A wydawało mi się bardzo możliwe, że nigdy nie będziemy wiedzieć, kto zabił starego Leonidesa.

Przypomniałem sobie, o co chciałem zapytać Sophię.

- Powiedz mi, ile osób w tym domu wiedziało o kroplach, to znaczy: a) że dziadek je miał; b) że są trujące; c) jaka jest śmiertelna dawka.

- Widzę, do czego zmierzasz, Charles. Ale to nic nie da. Wszyscy o tym wiedzieliśmy.

- Oczywiście, mniej więcej wiedzieliście, ale dokładnie...

- Wiedzieliśmy dokładnie. Któregoś dnia byliśmy u dziadka na poobiedniej kawie. Lubił gromadzić koło siebie rodzinę. Miał wtedy kłopoty z oczami i Brenda mu je zakropiła. Josephine, która zawsze o wszystko pyta, zapytała: „Dlaczego na etykiecie jest napisane «Krople do oczu - nie do stosowania wewnętrznego»„? Dziadek uśmiechnął się i rzekł: „Gdyby któregoś dnia Brenda pomyliła się i wstrzyknęła mi te krople zamiast insuliny, to bym zsiniał na twarzy, stracił oddech i

zaraz bym umarł, bo mam słabe serce. Więc widzicie, że musimy uważać, żeby Brenda nie podała mi kropli do oczu zamiast insuliny”. Teraz pojmujesz? Wszyscy słuchaliśmy!

Dawniej wydawało mi się, że do popełnienia zbrodni potrzeba byłoby choć trochę specjalistycznej wiedzy na ten temat, ale okazało się to niekonieczne. Stary Leonides osobiście wymyślił scenariusz własnej śmierci. Morderca nie musiał zaprzętać sobie głowy obmyślaniami metody - otrzymał ją na talerzu od samej ofiary.

Westchnąłem głęboko. Sophia, odczytując moje myśli, rzekła:

- Dość okropne, prawda?

- Wiesz, Sophio - powiedziałem powoli - uderza mnie jedna rzecz.

- Tak?

- Że masz rację - to nie mogła być Brenda. Nie mogła zrobić tego w ten właśnie sposób, skoro wszyscy słyszeliście i pamiętaliście słowa dziadka.

- Nie jestem pewna. Pod pewnymi względami ona jest raczej ograniczona.

- Nie aż tak. Nie, to nie mogła być Brenda. Sophia odsunęła się ode mnie.

- Nie chcesz, żeby to była Brenda, prawda? - spytała.

Czyż mogłem na to odpowiedzieć: „Wręcz przeciwnie, mam nadzieję, że to ona”?

Dlaczego nie mogłem tak powiedzieć? Może dlatego, że Brenda była sama, a przeciwko niej skierowana była wrogość całej rodziny? Czy odezwała się we mnie rycerskość? Współczucie dla słabszego i bezbronnego? Widziałem ją, jak siedzi na sofie, w drogiej czarnej sukni - i pamiętałem beznadziejność w jej głosie i strach w oczach.

Ze zmywalni wróciła niania - jak najbardziej w porę. Nie wiem, czy wyczuła napięcie między nami, ale powiedziała:

- Nic tylko morderstwa i morderstwa. Przestańcie o tym myśleć. Lepiej zostawić to policji. Niech oni się tym martwią, nie wy.

- Nianiu, czy nie zdajesz sobie sprawy, że ktoś w tym domu jest mordercą?

- Bzdura, panienko. Nie mam już do was cierpliwości. Czy drzwi wejściowe nie są cały czas otwarte? Wszystkie drzwi są otwarte! Gratka dla złodzieja.

- Ale to nie mógł być złodziej. Nic nie zginęło. Zresztą dlaczego złodziej miałby kogoś truć?

- Nie powiedziałam, że to był złodziej, panienko. Powiedziałam tylko, że wszystkie drzwi są otwarte.

Każdy mógł wejść. Jeśli chcecie wiedzieć, to myślę, że to komuniści.

Niania z przekonaniem kiwnęła głową.

- A po cóż komuniści mieliby mordować biednego dziadka?

- Hm. Wszyscy mówią, że oni stoją za tym, co się dzieje. Ale jeśli nie komuniści, to na pewno katolicy. Wszetecznicza babilońska - to oni.

Z miną kogoś, kto powiedział ostatnie słowo, niania zniknęła w zmywalni.

Sophia i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

- Stara dobra protestantka - rzekłem.

- A jak ty myślałeś! Chodź, Charles, do salonu na naradę rodzinną. Było to zaplanowane na wieczór, ale zaczęło się wcześniej.

- Nie chcę się wtrącać.

- Jeśli chcesz wejść do rodziny, to lepiej zobacz, jacy naprawdę jesteśmy.

- A o co chodzi?

- O interesy Rogera. Już i tak jesteś w to wplątany. Ale nie masz racji, sądząc, że to Roger mógł zabić dziadka. Uwielbiał go.

- Nigdy nie myślałem, że zabił go Roger. Raczej typowałem Clemency.

- Tylko dlatego, że ci to zasugerowałam. Ale tu też się mylisz. Myślę, że Clemency nie zmartwiłaby się, gdyby Roger stracił wszystkie pieniądze. Może nawet by ją to ucieszyło. Jej raczej zależy na tym, żeby nic nie posiadać. No, chodź.

Kiedy weszliśmy z Sophia do salonu, nagle zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na nas.

Nikogo nie brakowało. Philip siedział w dużym fotelu obitym karmazynowym brokatem, ustawionym pomiędzy oknami. Jego piękna twarz była zimna i surowa. Wyglądał jak sędzia przed wydaniem wyroku. Roger siedział okrakiem na pufie przy kominku. Potargał sobie włosy, które teraz sterczały we wszystkie strony. Lewa nogawka spodni podsunęła mu się do góry, a krawat przekrzywił się. Miał zaczerwienioną twarz i wyglądał, jakby go wyrwano z ożywionej dyskusji. Za nim, niemal ginąc w ogromnym fotelu, siedziała Clemency. Nie patrzyła na nikogo z rodziny, tylko obojętnie studiowała płyciny na ścianie. Edith, z zaciśniętymi ustami, sztywno wyprostowana w fotelu, energicznie robiła na drutach. Najpiękniejszą grupę tworzyli Magda i Eustace. Wyglądali jak żywcem wyjęci z portretu Gainsborougha. Siedzieli razem na sofie: ciemny, ładny chłopiec z naburmuszoną miną, a koło niego, z jedną ręką spoczywającą na oparciu sofy - Magda, księżna Trzech Szczytów, w sukni z tafty, spod której wystawała mała stopka w brokatowym pantoflu. Philip zmarszczył brwi.

- Sophio - rzekł - bardzo mi przykro, ale dyskutujemy o poufnych sprawach rodzinnych.

Panna de Haviland zaklekotała drutami. Już otworzyłem usta, by przeprosić i wycofać się, ale Sophia mnie uprzedziła.

- Charles i ja mamy nadzieję się pobrać - powiedziała zdecydowanie. - Chcę, żeby Charles został.

- Dlaczego nie? - wykrzyknął Roger, zrywając się z pufa. - Cały czas ci powtarzam, Philipie, że w tym nie ma nic poufnego! Jutro lub pojutrze cały świat się dowie. W każdym razie, drogi chłopcze - powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu - ty i tak o wszystkim wiesz. Byłeś tam dziś rano.

- Proszę, niech mi pan powie - zawołała Magda, pochylając się do przodu - jak jest w Scotland Yardzie? Zawsze mnie to interesowało. Co tam jest? Stół? Biurko? Krzesła? Jakie zasłony? Chyba nie ma kwiatów? A dyktafon?

- Ciszej, mamó - rzekła Sophia. - A w ogóle to przecież powiedziałaś Jonesowi, żeby usunął tę scenę ze Scotland Yardem. Mówiłaś, że to jest antyklimaks.

- Za bardzo przypomina kryminał - przyznała Magda. - Edith Thompson to zdecydowanie dramat psychologiczny... albo thriller psychologiczny - jak myślisz, co brzmi lepiej?

- Był pan tam dziś rano? - spytał ostro Philip. - Dlaczego? Och, naturalnie, pański ojciec...

Znowu zmarszczył brwi. Bardziej niż kiedykolwiek zdałem sobie sprawę, że moja obecność jest niepożądana, ale Sophia mocno trzymała mnie za ramię.

Clemency podsunęła mi krzesło.

- Proszę usiąść - zachęciła.

Rzuciłem jej wdzięczne spojrzenie i usiadłem.

- Możesz mówić, co chcesz - powiedziała panna de Haviland, najwyraźniej kontynuując wątek przerwany naszym wejściem - ale uważam, że powinniśmy respektować życzenia Arystydesa. Kiedy sprawa się wyjaśni, Rogerze, cały mój zapis będzie do twojej dyspozycji.

Roger w szale wsadził ręce we włosy i zaczął je burzyć.

- Nie, ciociu Edith! - krzyknął. - Absolutnie nie!

- Chciałbym powiedzieć to samo - rzekł Philip - ale trzeba wziąć wszystko pod uwagę.

- Drogi bracie, nie rozumiesz? Od nikogo nie przyjmę ani grosza.

- Oczywiście, że nie! - poparła męża Clemency.

- Ależ. Edith - wtrąciła Magda - kiedy wyjaśni się sprawa testamentu, to przecież Roger będzie miał własne pieniądze.

- Ale nie wyjaśni się na tyle szybko, żeby to coś pomogło, prawda? - zapytał Eustace.

- Co ty możesz o tym wiedzieć - rzekł Philip.

- Ależ chłopak ma rację - zawołał Roger. - Właśnie o to chodzi. Nic nie odwróci klęski. Nic.

W Jego słowach dało się wyczuć pewną ulgę.

- Nie ma o czym dyskutować - ucięła Clemency.

- A w ogóle - dodał Roger - to i tak nie ma znaczenia.

- Wydawało mi się, że to ma ogromne znaczenie - powiedział Philip, zaciskając wargi.

- Nie! Nieprawda! Jakie to może mieć znaczenie W porównaniu ze śmiercią ojca? Ojciec nie żyje, a my dyskutujemy o pieniądzach!

Blade policzki Philipa lekko się zaróżowiły.

- Chcemy ci tylko pomóc - wyjaśnił.

- Wiem, Phil, stary chłopie, wiem o tym. Ale nikt mi nie może pomóc. Skończmy z tym.

- Sądzę - rzekł Philip - że mógłbym zdobyć trochę pieniędzy. Papiery wartościowe spadły w cenie i duża część kapitału jest zamrożona, tak że nie mogę go ruszyć: to, co Magda dostała w intercyzie i tak dalej, ale...

- Oczywiście, że nie możesz ruszyć tych pieniędzy, kochanie - wtrąciła szybko Magda. - To byłoby absurdalne i nie w porządku wobec dzieci.

- Mówię wam, że nie chcę nic od nikogo! - wrzasnął Roger. - Ochryplem od powtarzania tego w kółko. Uważam, że sprawy powinny potoczyć się swoim torem.

- Chodzi o dobre imię. Ojca i nasze - zaproponował Philip.

- To nie było przedsiębiorstwo rodzinne, tylko moje własne.

- Owszem, tylko twoje - przyznał Philip, patrząc na brata.

Edith de Haviland wstała z fotela.

- Uważam, że dostatecznie to przedyskutowaliśmy - powiedziała autorytatywnym tonem, zawsze przynoszącym efekt.

Philip i Magda wstali. Eustace wyszedł z pokoju - wtedy zauważyłem, jak sztywno chodzi. Nie

kulał, ale trochę powłóczył nogą.

Roger wziął Philipa pod ramię i rzekł:

- Jesteś swój chłop, bracie, że chciałeś mi pomóc. Wyszli razem.

- Ale zamieszanie - mruknęła Magda, idąc za nimi. Sophia powiedziała, że musi przygotować mi pokój, i też wyszła.

Edith de Haviland, zwijając robótkę, popatrzyła na mnie w taki sposób, że myślałem, iż chce mi coś powiedzieć. Jej spojrzenie było niemal proszące. W końcu jednak rozmyśliła się i wyszła za innymi.

Clemency stała przy oknie i patrzyła na ogród. Podeszedłem do niej. Odwróciła głowę w moim kierunku i rzekła:

- Dzięki Bogu, skończyło się. I dodała z niesmakiem:

- Co za absurdalny pokój!

- Nie podoba się pani?

- Duszę się w nim. Tu zawsze unosi się zapach wędnących kwiatów i kurzu.

Pomyślałem, że jest niesprawiedliwa, ale wiedziałem, co ma na myśli. Wnętrze wyglądało imponująco. Zdecydowanie czuło się w nim kobiecą rękę. Pokój był przytulny, z nutką egzotyki, miał odgradzać od zimnych podmuchów wiatru i pogody za oknem. Mężczyzna nie wytrzymałby długo w takim wnętrzu. Nie był to pokój, w którym można by było odpocząć i z nogami na stole czytać gazetę czy palić fajkę. Mimo wszystko wolałem go od lodowatej atmosfery mieszkania Clemency. Zawsze wolałem buduar od sali operacyjnej. Rozejrzała się wokoło i powiedziała:

- To scena, na której Magda może odgrywać swoje etiudy.

Spojrzała na mnie.

- Pan wie, co tu się działo, prawda? Akt drugi zebrania rodzinnego. Magda je zaaranżowała. Naturalnie, nie miało sensu. Nie było po co rozmawiać. Niczego to nie zmieni.

W jej głosie nie wyczułem smutku, raczej satysfakcję. Zauważyła moje niedowierzające spojrzenie.

- Pan nie rozumie? Nareszcie jesteśmy wolni! Nie rozumie pan, że Roger był nieszczęśliwy, przez całe lata był nieszczęśliwy? Nigdy nie interesował go biznes. Lubi konie, krowy i wiejskie życie. Ale uwielbiał ojca, jak oni wszyscy. To właśnie było przyczyną nieszczęścia - zbyt dużo rodziny. Nie chcę powiedzieć, że teść był tyranem czy że się nad nimi pastwił, bo tak nie było. Dał im pieniądze i wolność. Był im oddany, a oni byli oddani jemu.

- Co w tym złego?

- A jednak. Myślę, że kiedy dzieci dorosną, powinno się z nimi zerwać, odgrodzić się od nich, zmusić je, żeby zapomniały o rodzicach.

- Zmusić? To dosyć drastyczne posunięcie. Czy przymus nie jest równie zły w jednym, jak i w drugim wypadku?

- Gdyby nie zrobił z siebie takiej indywidualności...

- Nie można samemu zrobić z siebie indywidualności - powiedziałem. - A on naprawdę był kimś.

- Był zbyt wielki jak dla Rogera. Roger go czcił. Robił wszystko, co chciał ojciec, pragnął być takim synem, jakiego ojciec sobie wymarzył. Ale nie potrafił.

Ojciec przekazał mu firmę, która była jego oczkiem w głowie. Roger bardzo starał się naśladować ojca, ale brakowało mu jego umiejętności. W interesach Roger był - powiedzmy to otwarcie - głupcem. O mało mu to nie złamało serca. Przez całe lata był nieszczęśliwy, walczył, patrzył, jak firma marnieje, wymyślał „cudowne” posunięcia, które zawsze kończyły się fiaskiem i jeszcze pogarszały, sytuację. To straszne żyć rok po roku ze świadomością, że się zawodzi nadzieje. Pan nie wie, jaki on był nieszczęśliwy. Ja wiem. Clemency odwróciła się do mnie i rzekła:

- Pan myślał, więcej, zasugerował pan policji, że Roger mógł zabić ojca... dla pieniędzy! Nie wie pan, jakie to absurdalne.

- Teraz wiem - mruknąłem pokornie.

- Kiedy Roger zorientował się, że nie da się dłużej odsuwać klęski, poczuł ulgę. Naprawdę. Martwił się, że ojciec się o tym dowie - niczym więcej. Z nadzieją oczekiwał na nowe życie, które mieliśmy prowadzić - jej głos złagodniał.

- Dokąd chcieli państwo wyjechać?

- Na Barbados. Niedawno zmarł mój daleki kuzyn i zostawił mi w spadku posiadłość - całkiem niewielką. Ale zawsze jest gdzie pojechać. Bylibyśmy bardzo biedni, ale zarobiliśmy na życie. Niewiele trzeba, żeby przeżyć. Bylibyśmy razem, z dala od nich wszystkich i nie mielibyśmy kłopotów.

Westchnęła.

- Roger jest śmieszny. Martwił się o mnie, o to, że będę biedna. Podejrzewam, że odziedziczył stosunek Leonidesów do pieniędzy. Kiedy żył mój pierwszy mąż, byliśmy strasznie biedni - Roger uważa, że byłam bardzo dzielna. Nie rozumie, że byłam szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Nigdy potem nie byłam tak szczęśliwa. Choć nigdy nie kochałam Richarda tak bardzo, jak Kocham Rogera.

Patrząc na Clemency, stojącą naprzeciw mnie ze zmrużonymi oczyma, czułem, jak bardzo

przeżywa to, co mówi.

Otworzyła oczy, spojrzała prosto na mnie i rzekła:

- Widzi pan, nigdy nie zabiłabym nikogo dla pieniędzy. Nie lubię pieniędzy.

Byłem pewien, że mówi dokładnie to, co myśli. Należała do tych nielicznych ludzi, którzy nie pragną pieniędzy, nie lubią luksusu. Wolą prostotę i podejrzliwie odnoszą się do przedmiotów.

Choć wielu z tych, którzy nie pragną pieniędzy, kusi dawana przez nie władza.

- Mogła pani nie chcieć pieniędzy dla siebie. Mądrze zainwestowane, mogą zrobić dużo dobrego. Na przykład można zapisać je na badania.

Podejrzewałem Clemency o fanatyzm na punkcie nauki.

- Wątpię w wartość zapisów. Zazwyczaj wydaje się je nie na to, na co należałoby. Żeby stworzyć wartościowe rzeczy, trzeba mieć entuzjazm i przedsiębiorczość - i wizję. Drogi sprzęt, praktyka i eksperymenty nigdy nie spełniają naszych oczekiwań. Pieniądze na badania przeważnie trafiają w złe ręce.

- Nie będzie pani żał porzucać pracę, żeby wyjechać na Barbados? - spytałem. - Jak rozumiem, państwo nie zaniechali tego pomysłu?

- Naturalnie, wyjedziemy, jak tylko policja nam pozwoli. Nie będę żałowała pracy. Dlaczego miałabym żałować? Nie chciałabym nic nie robić, ale na Barbados będę miała pełne ręce roboty.

I dodała niecierpliwie:

- Żeby tylko szybko się to wszystko wyjaśniło i żebyśmy mogli wyjechać.

- Pani Clemency - powiedziałem - czy pani ma podejrzenia, kto to zrobił? Jeśli pani ani pan Roger nie maczaliście w tym palców (a nie widzę powodów, żebyście mieli to robić), to kto? Tak inteligentna osoba jak pani musi mieć jakieś podejrzenia.

Clemency rzuciła mi dziwne spojrzenie spod oka. Kiedy odezwała się, nie mówiła już z taką spontanicznością, jak poprzednio. W jej głosie czułem skrępowanie.

- Nie będę bawić się w zgadywanki, to nienaukowe. Jedyne, co można powiedzieć, to to, że oczywistymi podejrzanymi są Brenda i Laurence.

- Myśli pani, że to oni? Clemency wzruszyła ramionami.

Przez chwilę jakby czegoś nasłuchiwała, a potem wyszła z pokoju, mijając w drzwiach Edith de Haviland. Edith podeszła prosto do mnie.

- Chcę z panem porozmawiać - rzekła.

Nagle przypomniały mi się słowa ojca. Czy to... Ale nie. Edith de Haviland mówiła:

- Mam nadzieję, że nie dał się pan zwieść pozorom. Chodzi mi o Philipa. Jego trudno zrozumieć. Wydaje się zimny i obojętny, ale wcale taki nie jest. To tylko taka maniera. Nie potrafi inaczej.

- Naprawdę nie myślałem... - zacząłem.

- Chodzi o Rogera - przerwała mi. - Philip wcale nie jest skąpy. Nigdy taki nie był. To kochany chłopiec, ale potrzebuje zrozumienia.

Miałem nadzieję, iż moja mina mówi o tym, że jedyne, czego pragnę, to zrozumieć Philipa.

- To częściowo dlatego, że jest drugim, dzieckiem - ciągnęła Edith. - To częste u drugiego dziecka - wkracza w życie z gorszej pozycji. Widzi pan, on uwielbiał ojca. Oczywiście, wszystkie dzieci kochały Arystydesa i on je też kochał. Ale szczególnie drogi był mu Roger - pierwszy syn, najstarszy. Myślę, że Philip to odczuwał. Zamknął się w sobie. Zakopał się w książkach i w przeszłości - w tym, co nie miało związku z codziennym życiem. Sądzę, że cierpiał - dzieci często cierpią... Umilkła, a po chwili ciągnęła dalej:

- Chcę powiedzieć, iż wydaje mi się, że zawsze był zazdrosny o Rogera. Fakt, że Roger splajtował - och, to straszne, co chcę powiedzieć, i myślę, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy - ale wydaje mi się, że Philip nie martwi się tym tak bardzo, jak powinien.

- To znaczy, że Philip raczej cieszy się z tego, że Roger wyszedł na głupca?

- Tak. To właśnie miałam na myśli - powiedziała panna de Haviland i dodała: - Martwię się tym, że nie od razu pospieszył bratu na pomoc.

- Dlaczego miał to zrobić? W końcu Roger naprawdę wszystko spartaczył. Jest dorosły.' Nie ma dzieci, o które musiałby się martwić. Gdyby był chory lub naprawdę potrzebujący, to rodzina by mu pomogła, ale nie mam wątpliwości; że sam Roger wolałby zacząć na nowo, bez pomocy.

- Och, naturalnie. Jemu chodzi tylko o Clemency. A Clemency jest wyjątkowa. Naprawdę nie lubi wygod. Wolałaby mieć tylko jedną filizankę na dwie osoby. To bardzo współczesne, jak sądzę. Nie dba o przeszłość, nie czuje piękna.

Poczułem, jak Edith mierzy mnie bystrym spojrzeniem.

- To ciężkie doświadczenie dla Sophii - powiedziała. - Szkoda, żeby zepsuło jej to młodość. Widzi pan, kocham ich wszystkich. Rogera i Philipa, teraz Sophię, Eustace'a i Josephine. To są wszystko dzieci Marcii. Tak, bardzo je kocham - urwała, po czym dodała ostrzejszym tonem: - Ale zwróć pan uwagę, to uwielbienie tylko dla jednej strony.

Nagle odwróciła się i wyszła. Miałem wrażenie że nie bardzo rozumiałem, co znaczyła jej ostatnia uwaga.

## Rozdział piętnasty

- Twój pokój jest gotowy - powiedziała Sophia. Stała koło mnie, patrząc na ogród. Był teraz szary i smutny, bezlistne drzewa chwiały się szarpane wiatrem.

- Jaki opuszczony... - szepnęła, jakby odgadując moje myśli.

W pewnej chwili jakaś postać, a za nią druga, wyłoniła się z żywopłotu od strony ogrodu skalnego. W zapadającym zmierzchu obydwie były szare i bezcielesne.

Pierwsza szła Brenda Leonides, otulona w szare futro z szynszyli. Skrycie i zręcznie przemykała przez ogród.

Kiedy przechodziła koło okna, zobaczyłem jej twarz. Na ustach miała krzywy uśmiezek, który zauważyłem wcześniej, na górze. Kilka minut później przemknął Laurence Brown, szczupły i jakby skurczony. Tylko tak mogę opisać ich sposób poruszania się. Nie szli tak, jakby wybrali się na spacer. Ich ruchy były tajemnicze, skradające się, są oni sami bezcieleśni jak duchy.

Zaciekawiło mnie, czy gałązka pękła pod stopą Laurence'a, czy jej.

- Gdzie Josephine? - spytałem, wiedziony naturalnym skojarzeniem.

- Prawdopodobnie razem z Eustace'em w pokoju szkolnym - odparła. - Martwię się o Eustace'a, Charles.

- Dlaczego?

- Jest taki dziwny, ma zmienne nastroje. Od czasu polio bardzo się zmienił. Zupełnie go nie rozumiem. Czasami mam wrażenie, że nas wszystkich nienawidzi.

- Pewnie z tego wyrośnie.

- Mam nadzieję. Ale się martwię, Charles.

- Dlaczego, kochana?

- Chyba dlatego, że ojciec i matka się nie martwią. Nie zachowują się jak prawdziwi rodzice.

- Może to nie takie złe. Dzieci bardziej cierpią wskutek nadopiekuńczości niż odwrotnie.

- To prawda - Wiesz, przyszło mi to do głowy, dopiero kiedy wróciłam z zagranicy. To naprawdę dziwna para. Ojciec całkowicie pogrążony w świecie nikogo nie interesujących detali historycznych i matka uwielbiająca robienie scen. To głupie zebranie dzisiaj to naturalnie robota

matki. Wcale nie było potrzebne, ale ona chciała odegrać scenę zebrania rodzinnego. Widzisz, nudzi się tutaj i próbuje uteatralizować życie.

Przez chwilę miałem przed oczami fantastyczny obraz matki Sophii, beztriosko trującej teścia, aby popatrzeć z bliska na sztukę kryminalną, w której grałaby główną rolę.

Bzdurny pomysł! Wyrzuciłem go z głowy - ale czułem się lekko zaniepokojony.

- Na matkę trzeba uważać - powiedziała Sophia.

- Nigdy nie wiadomo, z czym wyskoczy.

- Przestań myśleć o rodzinie, Sophio - zażądałem.

- Chętnie bym to zrobiła, ale w tej chwili jest to nieco trudne. A w Kairze całkiem o nich zapomniałam i byłam taka szczęśliwa.

Przypomniałem sobie, że Sophia nigdy nie wspominała domu ani rodziny.

- Dlatego nigdy o nich nie mówiłaś? - spytałem.

- Bo chciałaś o nich zapomnieć?

- Tak mi się wydaje. Zawsze byliśmy za bardzo - zajęci sami sobą. Za bardzo się lubiliśmy. Nie tak, jak w niektórych rodzinach, gdzie wszyscy się nienawidzą. To musi być straszne, ale chyba jeszcze gorzej jest być wzajemnie połączonym siecią sprzecznych uczuć. I dodała - Chyba to właśnie miałam na myśli, kiedy powiedziałam, że mieszkamy wszyscy razem w krzywym dworku. Chyba chciałam powiedzieć, że nie byliśmy w stanie dorosnąć, zdobyć niezależności, wyprostować się, stanąć mocno na nogi. Potrzebujemy podpory, wokół której moglibyśmy się owinać. Jak powój.

Przypomniała mi się Edith de Haviland rozgniatająca chwast na ścieżce.

Nagle do pokoju wpadła Magda, wołając:

- Kochani, dlaczego nie zapalicie światła? Już ciemno.

Nacisnęła wyłącznik i na ścianach i stolikach zapłonęło światło. Razem z Sophią zaciągnęły ciężkie różowe kotary. Byliśmy razem, odcięci od świata w pokoju przesyconym zapachem kwiatów. Magda rzuciła się na sofę i zawołała:

- Co za okropna scena, prawda? Jaki Eustace był zły! Powiedział mi, że uważa to, co się działo, za nieprzyzwoite. Jacy chłopcy są dziwni!

Westchnęła.

- Roger jest kochany. Uwielbiam, kiedy rozburza sobie włosy i przewraca meble. Czy Edith nie była cudowna, darując mu cały swój spadek? Naprawdę chciała to zrobić, to nie był czczy gest. Z

drugiej strony zachowała się strasznie głupio. Philip mógł pomyśleć, że powinien pójść w jej ślady. Oczywiście, Edith dla rodziny zrobiłaby wszystko. Wzruszająca jest miłość starej panny do dzieci siostry. Któregoś dnia chciałabym zagrać rolę niezamężnej ciotki. Przywiązanej do rodziny, wścibskiej i upartej.

- Musiało jej być bardzo ciężko po śmierci siostry - powiedziałem, nie rozwijając tematu ról Magdy. - Jak słyszałem, bardzo nie lubiła Leonidesa.

- Nie lubiła go? - przerwała mi Magda. - Nonsens. Kochała się w nim!

- Mamo! - mitygowała ją córka.

- Nie próbuj zaprzeczać, Sophio. Naturalnie, w twoim wieku myśli się, że miłość to dwoje młodych zakochanych w świetle księżycy.

- Powiedziała mi - wtrąciłem - że nigdy go nie lubiła.

- Może zaraz po przyjeździe. Była zła na siostrę, że wyszła za niego za męż. Powiedziałabym, że często się nie zgadzali - ale ona się w nim kochała. Drogie dziecko, wiem, co mówię. Oczywiście, nie mógł się z nią ożenić, bo była siostrą zmarłej żony i w ogóle, a pewnie nawet nie przyszło mu to na myśl - możliwe, że jej też nie. Była szczęśliwa, zastępując dzieciom matkę i kłócąc się z Leonidesem. Ale jak się ożenił z Brendą, wcale jej się to nie podobało. Wcale a wcale.

- Tobie ani ojcu również się to nie podobało.

- Naturalnie, byliśmy wściekli. Ale Edith była najbardziej przeciwna. Kochanie, widziałam, jak patrzy na Brendę!

- Ależ, mamo!

Magda, z miną winowajcy, spojrzała na córkę jak rozpuszczone, psotne dziecko.

- Zdecydowałam, że Josephine pójdzie do szkoły - ciągnęła, nieświadomie zmieniając temat.

- Josephine? do szkoły?

- Tak. W Szwajcarii. Jutro się tym zajmę. Uważam, że natychmiast powinna wyjechać. Nie powinna być w ogóle wmieszana w tę okropną sprawę. Niezdrowo się tym pasjonuje. Potrzebuje towarzystwa dzieci w jej wieku. Zawsze tak myślałam.

- Dziadek nie chciał, żeby szła do szkoły - powiedziała wolno Sophia. - Był temu przeciwny.

- Kochany staruszek lubił mieć nas wszystkich na oku. Starzy ludzie często są pod tym względem samolubni. Dziecko powinno być wśród innych dzieci. A Szwajcaria jest taka zdrowa - pomyśl, sporty zimowe, powietrze i lepsza żywność niż u nas.

- Trudno będzie załatwić jej wyjazd do Szwajcarii ze względu na przepisy walutowe, prawda?

- Bzdura, Charles. Jest jakiś projekt edukacyjny, a jak nie, to można załatwić wymianę dzieci z jakąś szwajcarską rodziną. Są różne sposoby. W Lozannie mieszka Rudolph Alstir. Jutro do niego napiszę i poproszę, żeby wszystko załatwił. Możemy wyprawić Josephine do szkoły jeszcze w tym tygodniu.

Magda uderzyła pięścią poduszkę, uśmiechnęła się do nas, podeszła do drzwi i stanęła w nich w uroczej pozie.

- Liczą się tylko młodzi - odpowiedziała. - Oni mają pierwszeństwo. Kochani, pomyślcie tylko o kwiatach, błękitne goryczki, narcyzy...

- W październiku? - spytała Sophia z powątpiewaniem, ale Magdy już nie było.

Sophia westchnęła.

- Naprawdę, matka bywa irytująca. Wpada na najdziwsze pomysły, wysyła setki telegramów i chce, żeby wszystko było natychmiast gotowe. Dlaczego musimy wysyłać Josephine do Szwajcarii w takim pośpiechu?

- Pomysł ze szkołą nie jest taki zły. Myślę, że Josephine wyszłoby to na dobre, gdyby była wśród dzieci w jej wieku.

- Dziadek tak nie uważał - powtórzyła uparcie Sophia.

Trochę się zdenerwowałem.

- Moja droga, naprawdę uważasz, że mężczyzna po osiemdziesiątce jest najlepszym sędzią w sprawie tego, co potrzeba dziecku?

- W tym domu był najlepszym sędzią we wszystkich sprawach.

- Lepszym niż ciotka Edith?

- Nie, może nie. Ona rzeczywiście była za szkołą. Przyznaję, że Josephine stała się trudna - nabrała okropnego zwyczaju wtykania nosa w nie swoje sprawy. Ale to dlatego, że bawi się w detektywa.

Ciekawiło mnie, czy rzeczywiście troska o Josephine była jedynym powodem decyzji Magdy. Josephine doskonale wiedziała o wielu rzeczach, które zdarzyły się tuż przed morderstwem i o których z pewnością nie powinna była wiedzieć. Znacznie zdrowsza byłaby dla niej dyscyplina szkolna i zabawy z dziećmi. Dziwiłem się jednak nagłości decyzji Magdy - Szwajcaria jest dosyć daleko.

## Rozdział szesnasty

Ojciec powiedział:

„Rozmawiaj z nimi, Charles”.

Goląc się rano, zastanawiałem się, ile mi dała ta taktyka. Rozmawiałem z Edith de Haviland - sama się o to postarała. Rozmawiała ze mną Clemency (czy ja też z nią rozmawiałem?). W pewien sposób również Magda - to znaczy byłem jednym ze słuchaczy jej monologów. Naturalnie, rozmawiałem z Sophią, a nawet z nianią. Czy to mi coś dało? Czy uderzyło mnie jakieś ważne słowo czy też zwrot? Czy trafiłem na ślad niezwykłej próżności, o której mówił ojciec? Nic takiego nie zauważyłem.

Jedyną osobą, która nie wykazywała najmniejszej ochoty do rozmowy na jakikolwiek temat, był Philip. Czy to było normalne? Przecież do tej pory już na pewno wiedział, że chcę ożenić się z jego córką, a zachowywał się tak, jakby mnie nie zauważał. Może nie życzył sobie mojej obecności w domu. Edith de Haviland przepraszała mnie za jego zachowanie. Powiedziała, że ma taką „manierę”. Wyraźnie pokazała, że martwi się o Philipa. Dlaczego?

Przez chwilę rozważałem charakter ojca Sophii. Był skryty. Jako dziecko cierpiał z zazdrości. Zamknął się w sobie. Uciekł w świat książek - w historię. Maską chłodu i rezerwy mogła skrywać emocjonalną naturę. W jego wypadku zysk pieniężny stanowił nieprzekonujący motyw zbrodni - nawet przez chwilę nie wierzyłem, że Philip Leonides mógłby zabić ojca, ponieważ miał mniej pieniędzy, niżby pragnął. Mogło natomiast istnieć jakieś psychologicznie umotywowane pragnienie jego śmierci. Philip zamieszkał w domu rodzinnym, a potem, po zbombardowaniu jego domu, wprowadził się tam również Roger - i każdego dnia Philip przekonywał się na nowo, że Roger jest ulubieńcem ojca. Czy to możliwe, że w pewnej chwili jedyną ulgę dla jego umęczonego umysłu stanowiła śmierć ojca? A gdyby jeszcze odpowiedzialność za nią spadła na starszego brata? Roger był w kłopotach finansowych, na krawędzi bankructwa. Nie wiedząc nic o ostatniej rozmowie brata z ojcem i jego decyzji pomocy, mógł wierzyć, że motyw będzie wydawał się na tyle silny, by podejrzenia natychmiast padły na Rogera. Czy równowaga umysłowa Philipa była na tyle zachwiana, by doprowadzić go do morderstwa?

Zaciąłem się brzytwą i zakląłem. Czego ja, do diabła, chciałem? Zrobić podejrzanego z ojca Sophii? Ładne rzeczy! Nie po to Sophia prosiła mnie o przyjazd.

A może po to? Za prośbą Sophii coś się kryło. Jeśli żywiła podejrzenia, że mordercą jest jej ojciec, to gdyby się potwierdziły, nigdy nie zgodziłaby się za mnie wyjść. A Sophia była odważna, pragnęła prawdy; niepewność zawsze stanowiłaby barierę między nami. Czy swoim zachowaniem nie mówiła: „Dowiedź, że ta okropna rzecz, którą sobie wyobrażam, nie jest prawdą, ale jeśli jest prawdą - udowodnij ją, chcę znać najgorsze”.

Czy Edith de Haviland wiedziała, czy też przypuszczała, że Philip jest winien? Co miała na myśli, mówiąc „uwielbiam tylko tę stronę”?

A o czym myślała Clemency, patrząc na mnie tak dziwnie, kiedy zapytałem, kogo podejrzewa, i

kiedy odpowiedziała: „Oczywistymi podejrzаныmi są Brenda ‘i Laurence’”?

Wszyscy w rodzinie pragnęli, żeby byli to Brenda i Laurence, mieli nadzieję, że to Brenda i Laurence, ale naprawdę w to nie wierzyli...

Oczywiście, rodzina mogła się mylić, Brenda i Laurence naprawdę mogli okazać się winni.

Ewentualnie sam Laurence, bez Brendy... To byłoby znacznie lepsze rozwiązanie.

Skończyłem tamowanie krwi z rozciętej brody i zszedłem na śniadanie z niezłomnym zamiarem jak najszybszego porozmawiania z Laurence'em.

Dopiero kiedy piłem drugą filiżankę kawy, dotarło do mnie, że Krzywy Dworek zaczął wywierać na mnie wpływ. Ja również pragnąłem znaleźć rozwiązanie nie tyle prawdziwe, ile takie, które najbardziej by mi odpowiadało.

Po śniadaniu poszedłem na górę. Sophia powiedziała mi, że Laurence jest w pokoju szkolnym z Eustace'em i Josephine'.

Przed drzwiami Brendy zawahałem się. Czy mam zapukać przed wejściem, czy nie? Postanowiłem traktować cały dom jako jeden, a nie podzielony na poszczególne prywatne części.

Za drzwiami panowała cisza, nikogo nie było widać. Drzwi po lewej, prowadzące do salonu, były zamknięte. Po prawej otwarte drzwi ukazywały sypialnię i łazienkę. Wiedziałem, że to ta łazienka, tuż przy sypialni Arystydesa Leonidesa, w której trzymano ezerynę i insulinę.

Policja już ją dawno przeszukała. Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Zdałem sobie sprawę, jak łatwo byłoby komuś z tego domu (a nawet obcemu) zakraść się niezauważenie do łazienki.

Rozejrzałem się wokół. Pomieszczenie było eleganckie, z błyszczącymi kafelkami i wanną w podłodze. Po jednej stronie zgromadzono różne urządzenia elektryczne: gorący talerz z podgrzewaczem, czajnik elektryczny, mały elektryczny rondel, opiekacz do pieczywa - wszystko, czego może potrzebować lokaj starszego mężczyzny. Na ścianie wisiała lakierowana na biało szafka. Otworzyłem ją. W środku znajdowały się różne przyrządy medyczne, dwie szklaneczki, płyn do przemywania oczu, kroplomierz i kilka buteleczek z etykietkami. Aspiryna, kwas borny, jodyna. Elastyczne bandaże itd. Na drugiej półce umieszczono zapas insuliny, dwie igły do strzykawki i buteleczkę spirytusu salicylowego. Na trzeciej półce stała butelka z napisem: „Tabletki - dwie lub trzy na noc, według zaleceń lekarza”. Tu też niewątpliwie stały krople do oczu. Wszystko było uporządkowane, aby każdy, kto szuka lekarstwa, łatwo mógł je znaleźć - morderca również łatwo znalazł to, czego potrzebował.

Bez kłopotu mogłem zrobić z buteleczkami, co tylko chciałem, a potem zejść na dół i nikt nawet by się nie zorientował. Oczywiście, o tym wszystkim wiedziałem, ale teraz sobie uświadomiłem, jak trudne zadanie ma policja.

Właściwie tylko winny (lub winni) mógł zdradzić prawdę.

„Musimy ich postraszyć - mówił Taverner. - Niech się boją, niech myślą, że coś wiemy. Nie schodźmy im z oczu. Wcześniej czy później naszego mordercę zawiodą nerwy i postanowi nas przechytrzyć. Wtedy wpadnie nam w ręce”.

No cóż. Do tej pory morderca nie dał się sprowokować.

Wyszedłem z łazienki. Nikogo. Minąłem jadalnię po lewej, sypialnię i łazienkę Brendy po prawej. W łazience akurat sprzątała pokojówka. Drzwi do jadalni były zamknięte. Z następnego pokoju dobiegał mnie głos Edith de Haviland, która rozmawiała telefonicznie ze sprzedawcą ze sklepu rybnego. Kręcone schody prowadziły na następne piętro.

Wszedłem na górę. Wiedziałem, że tu właśnie mieszczą się sypialnia i salonik Edith, dwie łazienki i pokój Laurence'a. Za nim znajdowało się parę schodków do dużego pomieszczenia nad pokojami służby, przeznaczonego na klasę.

Zatrzymałem się za drzwiami. Słyszałem dobiegający ze środka lekko podniesiony głos Laurence'a. Musiałem zarazić się od Josephine zwyczajem podsłuchiwania, bo bezwstydnie oparłem się o drzwi i słuchałem.

Laurence prowadził właśnie lekcję historii. Omawiał okres Dyktatoratu we Francji. Słuchając jego słów, nie posiadałem się ze zdumienia. Laurence był doskonałym nauczycielem.

Nie wiem, dlaczego tak mnie to zaskoczyło. W końcu Arystydes Leonides miał dobrą rękę. Mimo marnego wyglądu Laurence potrafił pobudzić wyobraźnię uczniów. Tragedia Thermidora, dekret wyjęcia spod prawa popleczników Robespierre'a, wspaniałość Barrasa, spryt Fouchego, Napoleon jako na wpół zagłodzony porucznik artylerii - stanęli przed oczami jak żywi.

Nagle Laurence przerwał, zapytał o coś Eustace'a i Josephine, kazał im się wcielić w jakieś postacie z omawianego okresu. Josephine nie miała ochoty do współpracy - jej głos brzmiał tak, jakby była przeziębiona - ale Eustace był zupełnie inny niż zazwyczaj. Wykazywał dużą inteligencję i zmysł historyczny, który niewątpliwie odziedziczył po ojcu.

W końcu usłyszałem przesuwanie krzeseł, więc wycofałem się na schody, udając - kiedy otworzyły się drzwi - że dopiero nadchodzę.

Z pokoju wyszli Eustace i Josephine.

- Cześć - powiedziałem im.

Eustace wyglądał na zaskoczonego.

- Czy pan czegoś szuka? - spytał uprzejmie.

Josephine minęła mnie, zupełnie się mną nie interesując.

- Chciałem zobaczyć pokój szkolny - wyjaśniłem niepewnym tonem.

- Przecież już go pan widział, nieprawdaż? Dawniej to był pokój dziecienny. Nadal jest tu mnóstwo zabawek.

Otworzył przede mną drzwi i wszedłem do środka.

Laurence Brown stał przy stole. Spojrzał na mnie, zarumieniony, coś mruknął w odpowiedzi na moje powitanie i pospiesznie wyszedł.

- Wystraszył go pan - powiedział Eustace. - Jego łatwo wystraszyć.

- Lubisz go, Eustace?

- Jest w porządku. Choć okropny z niego osioł.

- Ale nie jest złym nauczycielem?

- Nie, nawet interesująco uczy. Okropnie dużo wie. Potrafi pokazać sprawy z innego punktu widzenia. Nigdy nie wiedziałem, że Henryk VIII pisał wiersze dla Anny Boleyn - i to całkiem niezłe.

Przez chwilę rozmawialiśmy na temat Rymów o sędziwym marynarzu, Chaucera, politycznego tła wypraw krzyżowych, średniowiecznego sposobu życia i zaskakującego dla Eustace'a faktu, że Oliver Cromwell zabronił świętowania Bożego Narodzenia. Pomyślałem, że za pogardliwą i kłótniową fasadą kryje się inteligencja i dociekliwy umysł.

Wkrótce zrozumiałem, skąd się bierze zły humor Eustace'a. Jego choroba była nie tylko ciężkim doświadczeniem, ale również źródłem frustracji i poczucia klęski, i to w momencie, kiedy miał przed sobą radosne plany.

- W następnym semestrze miałem być w jedenastej klasie i już mogłem nosić barwy szkoły! To straszne zostać w domu i uczyć się razem z takim dzieciakiem jak Josephine. Ona ma dopiero dwanaście lat!

- Ale przecież nie uczycie się tego samego, prawda?

- Oczywiście, ona ma łatwiejszą matematykę i nie uczy się łaciny, ale to wstyd mieć tego samego nauczyciela co dziewczyna!

Próbowałem ukoić zranioną męską dumę uwagą, że Josephine jest wyjątkowo inteligentna jak na swój wiek.

- Naprawdę tak pan myśli? Ja uważam, że jest strasznie dziecinna. Nic, tylko bawi się w detektywa. Wszędzie wsadza swój nos, zapisuje obserwacje w czarnym notesie i udaje, że mnóstwo wykryła. To jeszcze głupie dziecko - podsumował siostrę z wyższością.

- Poza tym - dodał - dziewczyny nie mogą być detektywami. Powiedziałem jej to, naturalnie. Uważam, że mama ma rację, im wcześniej Josephine wyjedzie do Szwajcarii, tym lepiej.

- Nie będzie ci jej brakować?

- Miałoby mi brakować takiego dzieciaka? Pewnie, że nie. Mój Boże, i bez niej w tym domu nie da się wytrzymać. Matka, która ciągle kursuje do Londynu i z powrotem i szykanuje bardziej uległych dramatopisarzy, żeby przerabiali dla niej sztuki, i z lada powodu robi zamieszanie. Ojciec, pogrążony w książkach tak, że czasem nie słyszy, co się do niego mówi. Dlaczego pokarało mnie takimi dziwnymi rodzicami? A wuj Roger? Taki serdeczny, że czasem aż skręca! Ciotka Clemency jest w porządku, nie czepia się, ale czasem mam wrażenie, że ma nierówno pod sufitem. Ciotka Edith nie jest taka zła, ale jest stara. Odkąd wróciła Sophia, zrobiło się trochę weselej - chociaż ona czasem potrafi być ostra jak brzytwa. Dziwny dom, nieprawdaż? Do tego jeszcze żona dziadka, która mogłaby być ciotką albo starszą siostrą. Z taką rodziną człowiek czuje się strasznie głupio.

Rozumiałem go. Pamiętam, że w wieku Eustace'a również byłem przewrażliwiony. Przerazało mnie to, że ja lub ktoś z moich bliskich może w jakikolwiek sposób odstawać od innych.

- A dziadek? - spytałem. - Lubileś go?

Eustace zrobił dziwną minę.

- Dziadek był zdecydowanie antyspołeczny.

- Jak to?

- Myślał wyłącznie o zyskach. Laurence mówi, że to niewłaściwy stosunek do życia. I był indywidualistą. We współczesnym świecie powinniśmy to wyeliminować, prawda?

- Toteż dziadek został wyeliminowany - odparłem dosyć brutalnie.

- No i dobrze. Nie chcę wydawać się nieczuły, ale w jego wieku nie można przecież cieszyć się życiem!

- Uważasz, że on się nie cieszył?

- To niemożliwe. Poza tym naprawdę był najwyższy czas, żeby umarł...

Laurence Brown wszedł do klasy i Eustace przerwał. Nauczyciel zaczął przerzucać jakieś książki, ale miałem wrażenie, że cały czas obserwuje mnie kątem oka. Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Eustach, proszę być tu punktualnie o jedenastej. W ostatnich dniach zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu.

- W porządku.

Eustace wyszedł, gwizdząc.

Laurence rzucił mi uważne spojrzenie. Zwilżył językiem usta. Byłem przekonany, że wrócił

tylko po to, żeby ze mną porozmawiać.

Chwilę bez celu składał i rozkładał książki, udając, że czegoś szuka, po czym spytał:

- Eee... jak im idzie?

- Komu?

- Policji.

Nerwowo drgnął mu nos. Mysz w pułapce - pomyślałem.

- Nie wtajemniczają mnie w swoje odkrycia - odparłem.

- Och, myślałem, że pański ojciec jest zastępcą komisarza.

- Owszem, ale nie zdradza tajemnic zawodowych. Powiedziałem to bardzo pompatycznie.

- Zatem pan nie wie, jak... co... czy... - jękał się. - Nie zamierzają nikogo aresztować, prawda?

- O ile wiem, nie. Ale, jak mówiłem, mogę o tym nie wiedzieć.

„Musimy ich postraszyć” - powiedział Taverner - „niech się boją”. Laurence Brown bał się, jak najbardziej.

- Nie wie pan, jak to jest... To napięcie... Nieświadomość, czego chcą... to znaczy, chciałem powiedzieć, przychodzą i odchodzą - mówił szybko i nerwowo Laurence. - Zadają pytania, które nie mają żadnego związku ze sprawą...

Urwał. Milczałem. Chciał mówić... to niech mówi.

- Pan był obecny, kiedy nadinspektor zrobił tę okropną uwagę dotyczącą pani Leonides i mnie? To było potworne! Człowiek czuje się taki bezradny. Nie można ludziom powiedzieć: nie możecie tak myśleć. Poza tym to nieprawda. Tylko dlatego, że ona jest... była tyle lat młodsza od męża. Ludzie są okropni, po prostu okropni. Czuję... wydaje mi się, że to spisek!

- Spisek? To ciekawe.

Rzeczywiście ciekawe, choć ja miałem na myśli co innego, niż sądził Laurence Brown.

- Widzi pan, rodzina, Leonidesowie nigdy mnie nie lubili. Zawsze traktowali mnie z góry. Zawsze czułem, że mną pogardzają.

Zaczęły mu się trząść ręce.

- To dlatego, że zawsze byli bogaci i silni. Patrzyli na mnie z góry. Kim dla nich jestem? Tylko nauczycielem, który nie chce iść na wojnę i zasłania się względami religijnymi. A ja naprawdę mam

obiekcje natury religijnej. Naprawdę!

Nic nie powiedziałem.

- W porządku! - wybuchnął. - A gdybym się... bał? To co z tego? Gdybym się bał, że sobie nie poradzę? Że jak przyjdzie przycisnąć spust, nie będę potrafił się zmusić? Skąd wiadomo, że się strzela do nazisty? To może być jakiś porządny chłopak, wychowany na wsi, nie interesujący się polityką, powołany do wojska dla obrony kraju? Uważam, że wojna jest złem, rozumie pan? Wierzę, że jest złem.

Nadal nic nie mówiłem. Wydaje mi się, że dzięki milczeniu dowiadywałem się więcej, niż mógłbym wydobyć potakiwaniem lub przeczeniem. Laurence Brown przekonywał samego siebie, a to wiele o nim mówiło.

- Wszyscy zawsze się ze mnie wyśmiewali - powiedział drżącym głosem. - Mam specjalny talent do ośmieszania się. Nie chodzi o to, że brakuje mi odwagi, tylko zawsze zrobię coś złe. Raz wszedłem do płonącego domu, bo ktoś mówił, że w środku jest zamknięta kobieta. Od razu się zgubiłem, w tym dymie straciłem przytomność i strażacy mieli mnóstwo roboty z szukaniem mnie. Słyszałem, jak mówią: „Dlaczego ten głupek nie mógł nam tego zostawić?” Nigdy nic mi nie wychodzi, wszyscy są przeciwko mnie. Ten, kto zabił pana Leonidesa, zorganizował to tak, żeby podejrzenia padły na mnie. Ktoś go zabił po to, żeby mnie zniszczyć.

- A co powie pan o pani Leonides?

- To anioł. Była taka słodka, taka dobra dla swego męża. Kojarzenie jej z trucizną jest absolutnie bzdurne. A ten tępy inspektor nie chce tego widzieć!

- Jest uprzedzony - powiedziałem - ze względu na liczbę przypadków, w których starsi mężowie zostali otruci przez słodkie młode żony.

- Bezprzykładny głupiec - podsumował go ze złością Laurence Brown.

Podszedłem do biblioteczki w rogu i zacząłem przeglądać książki. Nie sądziłem, że uda mi się coś więcej z niego wydobyć. Po chwili wyszedłem z klasy.

Byłem na korytarzu, gdy drzwi po lewej otworzyły się i o mało nie wylądowała mi na głowie Josephine. Wypadła nagle jak diabeł w pantomimie.

Jej twarz i ręce były czarne, a z ucha zwieszała się duża pajęczyna.

- Gdzie byłaś? - spytałem.

Zerknąłem przez półuchylone drzwi. Zobaczyłem kilka stopni prowadzących w górę do przypominającego strych pomieszczenia, w którym majaczyło kilka dużych zbiorników.

- W pomieszczeniu z bojlerami.

- Co tam robiłaś?
- Szukałam śladów - odparła poważnie.
- Jakich śladów można szukać między bojlerami?
- Muszę się umyć.
- Zdecydowanie.

Josephine zniknęła za drzwiami najbliższej łazienki. Po chwili wysunęła głowę i rzekła:

- Wydaje mi się, że czas na następne morderstwo, prawda?

- Jak to, następne morderstwo?

- W książkach zawsze w takiej chwili jest następne morderstwo. Jak ktoś coś wie, to ginie, żeby nie mógł zdradzić tego, co wie.

- Czytasz zbyt dużo kryminałów, Josephine. W życiu jest inaczej. A jeśli ktoś w tym domu coś wie, to na pewno nie jest skłonny tego zdradzić.

- Czasem ta osoba wie coś, o czym sama nie wie, że wie - odpowiedź Josephine częściowo zagłuszał plusk wody.

Zastanowiło mnie to. Zostawiając Josephine w łazience, zszedłem piętro niżej.

Akurat kiedy wychodziłem na klatkę schodową, z salonu wypadła Brenda. Podbiegła do mnie, położyła mi dłoń na ramieniu i spojrzała prosto w oczy.

- I co? - spytała.

To samo pytanie o informację, które zadał mi Laurence, tylko inaczej sformułowane. Pokręciłem głową.

- Nic. Westchnęła.

- Tak się boję - powiedziała. - Charles, tak się boję...

Jej strach był widoczny. Uświadomiłem go sobie, stojąc blisko niej w wąskich drzwiach. Chciałem ją podnieść na duchu, pomóc jej. Znowu poczułem, jak bardzo jest samotna we wrogim otoczeniu. Mogłaby zapytać: „Kto jest po mojej stronie?”

Jaką otrzymałaby odpowiedź? Laurence Brown? A kim był Laurence Brown? Bynajmniej nie twierdzą spokoju w otchłani kłopotów. Raczej słabeuszem. Przypomniałem sobie, jak wczoraj wieczorem potajemnie wracali z ogrodu.

Chciałem jej pomóc, i to bardzo, ale cóż jej mogłem powiedzieć? A na dnie serca miałem lekkie poczucie winy, jakby patrzyły na mnie pogardliwe oczy Sophii i jakbym słyszał jej głos: „Przekabaciła cię”.

Sophia nie patrzyła, nie chciała patrzeć na sprawę z punktu widzenia Brendy. Sama, podejrzana o morderstwo, bez jednej życzliwej duszy.

- Jutro jest rozprawa - powiedziała Brenda. - Wie pan, co będzie?

Co do tego mogłem ją pocieszyć.

- Nic. Nie musi się pani martwić. Zostanie odroczone, żeby policja mogła dokończyć dochodzenie. Choć prawdopodobnie zaczną się artykuły w prasie. Do tej pory w gazetach nie było nawet wzmianki, że śmierć nie nastąpiła z powodów naturalnych. Leonidesowie mają duże wpływy. Ale jak rozprawa zostanie odroczone to zacznie się zabawa.

Jakie człowiek niesłychane bzdury opowiada! Zabawa! Dlaczego akurat wybrałem to słowo?

- Czy... czy to będzie okropne?

- Na pani miejscu nie udzielałbym żadnych wywiadów. Pani Brendo, powinna pani mieć prawnika.

Wzdrygnęła się z grozy.

- Nie, nie o to chodzi. Potrzebuje pani kogoś, kto by dbał o pani interesy, doradzał pani, co mówić i robić, a czego nie.

- Widzi pani - dodałem. - Jest pani sama.

- Tak - przyznała, ściskając moje ramię. - Pan to rozumie. Charles, pan mi bardzo pomógł, naprawdę...

Zszedłem na dół z uczuciem satysfakcji... i ujrzałem Sophię stojącą przy frontowych drzwiach. Powitała mnie chłodno i oschle.

- Ileż czasu ci to zabrało - powiedziała. - Był do ciebie telefon z Londynu. Ojciec chciał, żebyś wrócił.

- Dzwonił z Yardu?

- Tak.

- Ciekawe, o co chodzi. Nie powiedział?

Sophia pokręciła głową. Patrzyła na mnie z niepokojem. Przygarnąłem ją do siebie.

- Nie martw się, kochanie - powiedziałem. - Wkrótce wrócę.

## Rozdział siedemnasty

W pokoju ojca atmosfera była dosyć napięta. Staruszek siedział za biurkiem, nadinspektor Taverner stał oparty o okno. Na krześle dla gości spoczywał wzburzony pan Gaitskill.

- ...niesłychany brak zaufania - mówił lodowatym tonem.

- Naturalnie, ma pan rację - pocieszał go ojciec. - Ach, jesteś, Charles. Szybko ci się udało przyjechać. Zdarzyła się zaskakująca niespodzianka.

- Bezprecedensowa - wtrącił Gaitskill.

Coś niewątpliwie wzburzyło go do głębi. Stojący za nim nadinspektor uśmiechnął się szeroko.

- Mogę podsumować? - spytał ojciec. - Dziś rano pan Gaitskill otrzymał dość zaskakującą wiadomość od pana Agrodopolousa, właściciela restauracji „Delphos”. To Grek z pochodzenia. Jest już bardzo stary, ale kiedyś, kiedy był młody, Arystydes Leonides pomógł mu i zaprzyjaźnili się. Pan Agrodopolous zachował głęboką wdzięczność dla swego przyjaciela i dobroczyńcy i wydaje się, że Arystydes Leonides wierzył mu i bardzo na nim polegał.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że Leonides miał tak podejrzliwą naturę - rzekł Gaitskill. - Oczywiście, był stary, można powiedzieć - dzieciństwa.

Ojciec okazał większą wyrozumiałość”.

- Swój ciągnie do swego - powiedział. - Widzi pan, kiedy jest się starym, powraca się myślą do swej ‘młodości i dawnych przyjaciół.

- Ale ja prowadziłem jego sprawy przez ponad czterdzieści lat. Dokładnie, czterdzieści trzy lata i sześć miesięcy.

Taverner znowu radośnie wyszczerzył zęby.

- Co się stało? - spytałem.

Pan Gaitskill otworzył już usta, ale ojciec go ubiegł.

- W swoim liście pan Agrodopolous napisał, że działa na polecenie swego przyjaciela, Arystydesa Leonidesa. Krótco mówiąc, jakiś rok temu pan Leonides powierzył mu zaklejoną kopertę, którą pan Agrodopolous miał przekazać panu Gaitskillowi natychmiast po śmierci przyjaciela. Gdyby zaś sam zmarł wcześniej, prośbę miał wypełnić jego syn, a chrześniak pana Leonidesa. Pan

Agrodopolous przeprosił za zwłokę, tłumacząc się tym, że właśnie przechodził zapalenie płuc i dopiero wczoraj po południu dowiedział się o śmierci przyjaciela.

- Kompletny brak profesjonalizmu - podsumował sprawę prawnik.

- Kiedy pan Gaitskill otworzył zaklejoną kopertę i zapoznał się z jej zawartością, doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest...

- W tych okolicznościach - dodał Gaitskill.

- ...zapoznać nas z zawartością. W kopercie znajdował się podpisany testament i list.

- Tak więc testament nareszcie się znalazł?- spytałem.

Gaitskill zrobił się purpurowy na twarzy.

- To nie ten testament! - warknął. - To nie jest dokument, który napisałem na prośbę pana Leonidesa! Tę ostatnią wolę napisał sam, odręcznie - bardzo niebezpieczna rzecz dla laika. Wydaje się, że pan Leonides miał zamiar zrobić ze mnie kompletnego głupka.

Nadinspektor Taverner próbował uspokoić prawnika.

- Był bardzo stary - powiedział. - Ludzie w tym wieku często mają hysia. To nie wariaci, ale trochę ekscentryczni.

Gaitskill prychnął pogardliwie.

- Pan Gaitskill zadzwonił do nas - ciągnął ojciec - i poinformował nas o treści testamentu. Poprosiłem, żeby przyszedł i przyniósł obydwie dokumenty. A potem zadzwoniłem po ciebie, Charles.

Nadal nie rozumiałem, dlaczego byłem potrzebny. Wydawało mi się to wyjątkowo dziwnym posunięciem ze strony ojca i Tavernera. O testamencie dowiedziałbym się w swoim czasie, a w końcu nie obchodziło mnie, ile komu stary Leonides zapisał pieniędzy.

- Mówicie, że to inny testament? - spytałem. - To znaczy, że inaczej rozporządził majątkiem?

- Niewątpliwie inaczej - potwierdził Gaitskill.

Ojciec patrzył na mnie. Nadinspektor Taverner bardzo starał się na mnie nie patrzeć. Poczulem się trochę niepewnie...

Nie miałem pojęcia, o czym myślą. Spojrzałem pytająco na Gaitskilla.

- To nie mój interes - powiedziałem ale...

- Postanowienia testamentu nie są tajemnicą - odparł. - Uważałem za swój obowiązek

zaznajomić policję z faktami i podjąć dalsze działania zgodnie z jej wskazówkami. Jak rozumiem - zawiesił na chwilę głos - pan jest zainteresowany panną Sophią Leonides?

- Mam nadzieję, że ją poślubię - odparłem. - W obecnych okolicznościach ona nie zgadza się na zaręczyny.

- Bardzo słusznie - pochwalił Gaitskill.

Nie zgadzałem się z nim, ale nie był to czas na dyskusje.

- Tym testamentem - mówił Gaitskill - datowanym dwudziestego dziewiątego listopada zeszłego roku, pan Leonides, przeznaczywszy sto tysięcy funtów dla swej żony, całą resztę majątku, ruchomego i nieruchomego, zapisuje bez żadnych zastrzeżeń swej wnuczce, Sophii Katherine Leonides.

Zdębiałem. Zupełnie tego nie oczekiwałem.

- Zostawił ten cały kram Sophii! To niewiarygodne! Dlaczego?

- Powody bardzo dokładnie wyłuszczył w liście - odparł ojciec. Wziął do ręki kartkę papieru leżącą przed nim na biurku. - Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby Charles przeczytał list?

- Pan o tym decyduje - odparł oziębłe Gaitskill. - List miał być wyjaśnieniem i być może (choć w to wątpię) przeproszeniem za niezwykle postępek pana Leonidesa.

Staruszek wręczył mi list. Napisany był odręcznie, drobnym, niewyraźnym pismem, którego charakter świadczył o indywidualności piszącego. Leonides nie przykładął wagi do czytelnego formowania liter, typowego dla dawnych czasów, gdy umiejętność pisania nabywano z trudem i odpowiednio ceniono.

Szanowny Panie!

Zapewne zdziwi Pana ta przesyłka i prawdopodobnie poczuje się Pan urażony. Ja jednak miałem swoje powody, by postąpić w sposób, który może się wydać niepotrzebnie tajemniczy. Od dawna wierzę w jednostkę. W każdej rodzinie (zauważyłem to już jako dziecko i nigdy nie zapomniałem) zawsze jest jedna silna osobowość i jej właśnie przypada zadanie troszczenia się o resztę rodziny. W mojej rodzinie ja byłem taką osobą. Przyjechałem do Londynu, urządziłem się tu, utrzymywałem matkę i starych dziadków w Smyrnie, wyrwałem jednego z braci ze szponów prawa, wyzwoliłem siostrę z nieszczęśliwego małżeństwa i tak dalej. Bóg dał mi długie życie i mogłem opiekować się swoimi dziećmi i wnukami. Niejedno z nich zabrała śmierć, pozostali - co stwierdzam z radością - są pod moim dachem. Gdy umrę, ciężar, który niosłem, musi spaść na barki kogoś innego. Zastanawiałem się, czy mam podzielić swój majątek na równe części między najbliższych - ale takie rozwiązanie nie zapewniłoby wcale równości. Ludzie nie rodzą się równi. Aby naprawić naturalny brak równości, należy w inny sposób przywrócić równowagę. Innymi słowy, ktoś musi być moim następcą, musi przyjąć na siebie ciężar odpowiedzialności za całą rodzinę. Na podstawie

uważnej obserwacji żadnego z synów nie uważam za zdatnego do przyjęcia tej odpowiedzialności. Mój ukochany syn Roger nie ma smykałki do interesów i - choć bardzo serdeczny - jest zbyt pochopny w sądach. Z kolei Philip ma za mało pewności siebie - odsuwa się od ludzi. Eustace, mój wnuk, jest bardzo młody i nie sądzę, by miał odpowiedni rozsądek i celność sądu. Jest leniwy i łatwo przejmuje poglądy od ludzi, w których towarzystwie się obraca. Wydaje się, że tylko Sophia posiada odpowiednie zalety: Można polegać na jej sądach, jest mądra, odważna, bezstronna i - jak sądzę - wielkoduszna. Jej powierzam dobro rodziny i dobro mojej szwagierki, Edith de Haviland, której jestem głęboko wdzięczny za długoletnie poświęcenie dla rodziny.

To tytułem wyjaśnienia załączonego dokumentu. Trudniej będzie wytłumaczyć przed Tobą, Drogi Przyjacielu, oszustwo, do którego się uciekłem. Nie chciałem wzbudzać domysłów co do sposobu, w jaki zadysponowałem majątkiem, a nie mam zamiaru informować rodziny o tym, że dziedziczy po mnie Sophia. Ponieważ moi synowie otrzymali już dużą część majątku, nie sądzę, by testament stawiał ich w poniżającej sytuacji.

Aby zaspokoić ciekawość i nie dawać pola do domysłów, poprosiłem, abys przygotował dla mnie testament. Ten właśnie dokument przeczytałem rodzinie. Położyłem go na biurku, przykryłem bibułą i wezwałem dwoje służących. Kiedy przyszli, lekko podsunąłem bibułę do góry, odsłaniając dół dokumentu, złożyłem na nim swój podpis i kazałem im się podpisać. Nie muszę mówić, że wszyscy podpisaliśmy załączony testament, a nie ten, który dla mnie przygotowałeś i który odczytałem.

Nie liczę na to, że zrozumiesz, co mną powodowało, iż uciekłem się do tej sztuczki. Proszę tylko o wybaczenie, że trzymałem całą sprawę w tajemnicy przed Tobą. Stary człowiek lubi mieć własne tajemnice.

Dziękuję, Drogi Przyjacielu, za wytrwałość, z jaką zawsze zajmowałeś się moimi sprawami. Pozdrów ode mnie. Sophię. Poproś ją, by troszczyła się o rodzinę i broniła' ich wszystkich od złego.

Twój

Arystydes Leonides

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem ten wyjątkowy dokument.

- Niebywałe - rzekłem.

- Bardzo wyjątkowe - zgodził się Gaitskill, podnosząc się z miejsca. - Jeszcze raz powtarzam, że taki stary przyjaciel jak pan Leonides mógł mi zaufać.

- Nie mógł - sprzeciwił się ojciec. - Zawsze chodził krętymi ścieżkami. Nie lubił załatwiać spraw w sposób prosty.

- To prawda - poparł go gorąco nadinspektor Taverner. - Nie znam nikogo, kto miałby bardziej

pokrętny umysł.

Urażony Gaitskill z godnością wyszedł z gabinetu. Postępek Leonidesa zranił go do głębi.

- Bardzo się przejął - rzekł Taverner. - To bardzo szacowna firma, Gaitskill, Callum i Gaitskill. I uczciwa. Kiedy Leonides przeprowadzał niezbyt czyste transakcje, nigdy nie wybierał Gaitskilla i spółki. Miał z pół tuzina innych firm. To był kombinator!

- Co wyraźnie widać w sprawie testamentu - dodał ojciec.

- Byliśmy głupi - powiedział Taverner. - Jak się nad tym dobrze zastanowić, od razu widać, że tylko on mógł podmienić testamenty. Tylko że nam nie przyszło to do głowy.

Przypomniałem sobie uśmiech wyższości Josephine, gdy mówiła, że policja jest głupia.

Ale Josephine nie była obecna przy czytaniu testamentu. A jeśli nawet podsłuchiwała pod drzwiami (a jestem pewien, że tak było), nie mogła zgadnąć, co robi dziadek. Skąd zatem ta wyższość? Co takiego wiedziała, że uważała policję za głupią? A może tylko się popisywała?

Zaniepokoiła mnie nagła cisza. Podniosłem głowę. Ojciec i Taverner patrzyli na mnie uważnie. Pod wpływem ich wzroku wyrzuciłem z siebie wyzywająco:

- Sophia nic o tym nie wiedziała! Absolutnie nic!

- Nie? - powiedział ojciec.

Nie byłem pewien, czy to ma być potwierdzenie, czy pytanie.

- Bardzo się zdziwi!

- Tak?

- Zdziwi się, mówię!

Nastąpiła cisza. Nagle przerwał ją dzwonek telefonu stojącego na biurku. Odebrał ojciec.

- Słucham? - rzekł do aparatu. A po chwili: - Przełączcie ją tutaj.

Spojrzał na mnie.

- To twoja dziewczyna - rzekł. - Ma coś pilnego do powiedzenia.

Wziąłem słuchawkę.

- Sophia?

- Charles, to ty? Chodzi o... Josephine. - Jej głos lekko się załamał.

- Co z nią?

- Dostała w głowę. Ma wstrząs mózgu. Jest w złym stanie... Może z tego nie wyjść...

Odwróciłem się do ojca i Tavernera.

- Zaatakowano Josephine. Ojciec zabrał mi słuchawkę.

- Mówiłem ci, żeby uważać na dziecko - powiedział ostro.

## Rozdział osiemnasty

Nie tracąc czasu, wskoczyliśmy z Tavernerem do samochodu policyjnego i ruszyliśmy do Swinly Dean.

Pamiętałem, jak Josephine, wylaniając się spomiędzy bojlerów, zauważyła, że czas na drugie morderstwo. Biedne dziecko, nie wiedziała, że ona ma paść jego ofiarą.

Przyjąłem na siebie winę za zaniedbanie, o które oskarżył mnie ojciec. Naturalnie, że powinienem był uważać na Josephine. Choć ani Taverner, ani ja nie mieliśmy żadnych dowodów wskazujących osobę truciciela, było bardzo możliwe, że Josephine je miała. To, co brałem za dziecinne popisywanie się, mogło być prawdą. Oddając się ulubionym zajęciom: podsłuchiowaniu i śledzeniu domowników, mogła natrafić na informacje, których wartości nie potrafiła właściwie ocenić.

Przypomniałem sobie gałązkę, która pękła pod czyjąś stopą.

Miałem wtedy przecucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Zadziałałem pod wpływem chwili, a potem wydawało mi się, że zachowałem się melodramatycznie, a moje podejrzania były nieuzasadnione. Tymczasem powinienem był pomyśleć, że przecież zdarzyło się już jedno morderstwo. Morderca, zabijając, nadstawił głowę i nie zawaha się zabić jeszcze raz, by wyeliminować zagrożenie.

Być może Magda, powodowana tajemniczym instynktem macierzyńskim, odgadła, że Josephine grozi niebezpieczeństwo, i dlatego tak gorączkowo starała się wysłać ją za granicę.

Sophia wyszła nam na spotkanie przed dom. Powiedziała, że karetka zabrała Josephine do szpitala w Market Basing. Doktor Gray przyrzekł od razu powiadomić o wynikach prześwietlenia czaszki.

- Jak to się stało? - spytał Taverner.

Sophia poprowadziła nas na tyły domu. Otworzyliśmy furtkę prowadzącą na małe podwórko.

W jego jednym rogu zobaczyliśmy uchylone drzwi.

- To dawna pralnia - wyjaśniła Sophia. - U dołu drzwi jest otwór dla kota. Josephine często stawała tam i huśtała się na drzwiach.

Przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie sam huśtałem się na drzwiach.

Pralnia była mała i dosyć ciemna. Znajdowały się w niej drewniane skrzynie, stary wąż, kilka zniszczonych narzędzi ogrodniczych i zdezelowanych mebli. Wewnątrz, tuż przy wejściu, leżał marmurowy lew.

- To jest podpórka do drzwi wejściowych - wyjaśniła Sophia. - Musiał ją ktoś umieścić na tych drzwiach u góry.

Taverner przeciągnął dłonią po górnej krawędzi drzwi. Były one niskie, przewyższały Tavernera zaledwie o trzydzieści centymetrów.

- Pułapka - orzekł.

Kilka razy otwierał i zamykał drzwi. Potem nachylił się nad podpórką, ale jej nie ruszył.

- Czy ktoś tego dotykał? - spytał.

- Nie - odparła Sophia. - Nikomu nie pozwoliłam.

- Bardzo dobrze. Kto znalazł dziewczynkę?

- Ja. Nie przyszła na obiad o pierwszej. Niania ją wołała. Jakiś kwadrans wcześniej wyszła przez kuchnię na podwórko gospodarcze. Niania rzekła: „Pewnie bawi się piłką albo znowu się huśta na drzwiach”. Powiedziałam, że ją zawołam.

- Mówiła pani, że siostra często się tak bawiła? Kto o „tym” wiedział?

Sophia wzruszyła ramionami.

- Chyba wszyscy w tym domu.

- Kto jeszcze używał tej szopy? Ogrodnicy?

Sophia pokręciła głową.

- Prawie nikt do niej nie wchodził.

- A tego małego podwórka nie widać z domu?

Taverner podsumował: Każdy mógł się wydostać wyjściem kuchennym albo okrążyć dom i zmontować tę pułapkę. Ale to trochę ryzykowne...

Przerwał, patrząc na drzwi i kołysząc je łagodnie tam i z powrotem.

- Nic pewnego. Uda się albo się nie uda. Bardziej prawdopodobne, że się nie uda. Tyle że się udało.

Sophia zadrżała.

Nadinspektor pochylił się i pilnie oglądał podłogę. Widać w niej było różne szczyrby.

- Wygląda na to, że ktoś najpierw próbował... żeby przekonać się, gdzie upadnie. W domu nie byłoby tego słychać.

- Nic nie słyszeliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, że coś się stało, dopóki nie znalazłam jej nieprzytomnej na ziemi - głos Sophii lekko zadrżał. - Na włosach była krew.

- To jej szalik? - Taverner pokazywał palcem wełniany szalik w kratkę leżący na podłodze.

- Tak.

Z uwagą podniósł marmurową podpórkę, biorąc ją przez szalik.

- Może będą odciski palców - powiedział, ale bez przekonania. - Choć raczej sądzę, że ten, kto to zrobił, zachował ostrożność. Czemu się przyglądasz? - spytał mnie.

Akurat oglądałem kuchenne krzesło ze złamanym oparciem, stojące wśród wyrzuconych sprzętów. Na siedzeniu było kilka grudek ziemi.

- Dziwne - rzekł Taverner. - Ktoś stawał na nie ubłoconymi butami. Po co?

Potrząsnął głową.

- O której godzinie pani znalazła siostrę, panno Leonides?

- Musiało być pięć po pierwszej.

- A niania widziała, jak wychodzi, jakieś dwadzieścia minut wcześniej. Kto ostatni chodził do pralni?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie sama Josephine. Huśtała się na tych drzwiach dziś po śniadaniu.

Taverner skinął głową.

- Zatem między tą porą a godziną za kwadrans pierwsza ktoś zastawił pułapkę. Mówi pani, że ten kawałek marmuru przytrzymuje frontowe drzwi? Nie wie pani, kiedy zniknął?

Sophia potrząsnęła głową.

- Dziś drzwi wcale nie były otwarte. Za zimno.

- Wie pani, co robili rano domownicy?

- Ja wychodziłam na spacer. Eustace i Josephine mieli lekcje do wpół do pierwszej, z przerwą o wpół do jedenastej. Wydaje mi się, że ojciec był cały ranek w bibliotece.

- A matka?

- Jak wracałam ze spaceru, dopiero wyłaniała się z sypialni. Było około kwadrans po dwunastej. Mama nie lubi wstawać wcześnie.

Wróciliśmy do domu. Poszedłem za Sophia do biblioteki. Philip, blady i zmizerowany, siedział w ulubionym fotelu. Magda, z głową na jego kolanach, cicho płakała.

- Dzwonili ze szpitala? - spytała Sophia.

Philip zaprzeczył. Magda zaszlochała.

- Dlaczego nie chcą mi pozwolić być z nią? Moje dziecko, moja kochana mała brzydula! Mówiłam jej, że jest dzieckiem zamienionym przez wróżki w kołysce, a ona tak się denerwowała! Jak mogłam być tak okrutna! Teraz umrze. Wiem, że umrze.

- Cicho, kochanie, cicho - uspokajał żonę Philip. Poczulem, że nie ma tu dla mnie miejsca. Szybko wycofałem się z pokoju i poszedłem szukać niani. Siedziała w kuchni i popłakiwała.

- To kara dla mnie, paniczku, za niedobre rzeczy, które sobie myślałam. To kara.

Nawet nie próbowałem zgadnąć, co ma na myśli.

- W tym domu jest zło. Nie chciałam go widzieć ani w nie wierzyć. Ale zobaczyć znaczy uwierzyć. Ktoś zabił pana i teraz ta sama osoba próbowała zabić Josephine.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć ją zabić?

Niania opuściła róg chusteczki zasłaniającej oczy i rzuciła mi przenikliwe spojrzenie.

- Pan dobrze wie, jaka ona była. Lubiła wszystko wiedzieć. Zawsze taka była, nawet jako małe dziecko. Chowala się pod stół i podsłuchiwała, o czym mówią pokojówki, a potem je straszyla, że wszystko powie. Dzięki temu czula się ważna. Widzi pan, pani nie zwracała na nią uwagi. Nie była ładna jak dwoje starszych dzieci. Zawsze była brzydka. Pani mówiła, że ją wróżki zamieniły. Nie powinna była tak mówić, dziecko przez to zgorzkniało. Wynagradzała to sobie, dowiadując się różnych rzeczy o ludziach i mówiąc im, że wszystko wie. Ale to bardzo niebezpieczne, jeśli w domu jest truciciel!

Rzeczywiście, niebezpieczne. Ale coś mi to przypomniało. Spytałem nianię:

- Czy pani wie, gdzie trzymała mały czarny notes, w którym wszystko zapisywała?

- Wiem, o czym pan mówi, paniczu. To była wielka tajemnica. Widziałam, jak ssie ołówek, a potem pisze w notesie, potem znowu ssie i znowu pisze. „Nie rób tak - mówiłam jej - bo zatrujesz się ołowiem”. „Nie zatruję się - ona mi odpowiedziała - bo w ołówku nie ma ołowiu, tylko węgiel”. Nie wierzę w to.

- A jednak Josephine miała rację. („Jak zwykle” - dodałem w myślach). - Co z tym notesem? Wie pani, gdzie go trzymała?

- Nie mam pojęcia. Nie zdradzała tego.

- Nie miała go przy sobie, jak ją znaleziono?

- Nie, paniczu, nie miała.

Czy ktoś go zabrał? A może ukryła notes w swoim pokoju? Postanowiłem go poszukać. Nie byłem pewien, który jest jej pokój, ale sprawa rozwiązała się sama. Gdy stałem niezdecydowanie w korytarzu, Taverner zawołał:

- Niech pan tu przyjdzie. Jestem w jej pokoju. Czy kiedykolwiek widział pan coś podobnego?

Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Szuflady komody były wyciągnięte, a ich zawartość rozrzucona po podłodze. Z małego łóżka ściągnięto pościel i materac. Koce zrzucano na kupę. Krzesła przewrócono do góry nogami, ze ścian zdjęto obrazy, wyciągnięto fotografie z ramek.

- Mój Boże! - zawołałem. - Co się tu działo?

- A jak myślisz?

- Ktoś czegoś szukał.

- Właśnie.

Rozejrzałem się wkoło i gwizdnąłem.

- Ale kto... nie dało się tego zrobić tak, żeby nikt nic nie słyszał... ani nie widział!

- Dlaczego? Pani Leonides spędza poranek w sypialni, piłując paznokcie, dzwoniąc do przyjaciółek i przymierzając stroje. Philip siedzi w bibliotece zagłębiony w lekturze. Niania w kuchni obiera ziemniaki i łuska fasolę. W rodzinie, kiedy zna się nawzajem swoje nawyki, jest to dosyć łatwe. I powiem panu jeszcze, że w tym domu każdy mógł to zrobić - to znaczy zastawić pułapkę i przeszukać pokój. Ale ten ktoś spieszył się, nie miał czasu na spokojną rewizję.

- Pan powiedział: każdy?

- Tak. Już sprawdziłem. Nikt nie potrafi dokładnie wyliczyć się z czasu. Philip, Magda, niania, twoja dziewczyna. To samo na górze. Brenda spędziła większą część czasu sama. Laurence i Eustace mieli pół godziny przerwy, od wpół do jedenastej do jedenastej. Pan był z nimi przez jakiś czas, ale nie stale. Panna Haviland była sama w ogrodzie. Roger siedział w swoim pokoju.

- Tylko Clemency była w pracy w Londynie.

- Och nie, jej też nie da się wykluczyć. Dziś została w domu, bo bolała ją głowa. Leczyła się w swoim pokoju, samotnie. Każdy z nich wchodzi w grę! A ja nie wiem, kto! Nie mam najmniejszego pojęcia. Gdybym wiedział, czego tu szukali... - rozglądał się po pokoju... - i gdybym wiedział, czy to znaleźli...

Coś mi się przypomniało, ale nie wiedziałem dokładnie, co. Pomógł mi Taverner, pytając:

- Co mała robiła, kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- Przepraszam na chwilę - odparłem. Wybiegłem z pokoju i popędziłem na samą górę.

Otworzyłem - drzwi pomieszczenia z bojlerami, wszedłem po dwóch schodkach i zniżając głowę rozejrzałem się wokół.

Kiedy ją zapytałem, co robi, Josephine odparła, że szuka śladów.

Nie wiedziałem, co można znaleźć między bojlerami, na strychu pełnym pajęczyn. Ale przecież taki strych to doskonała kryjówka. Pomyślałem, że być może Josephine coś tu ukryła, coś, co nie należało do niej. Jeśli tak, znalezienie tego nie powinno zająć mi dużo czasu.

Zajęło dokładnie trzy minuty. Za największy bojler, którego nieustanne syczenie przyczyniało się do wytworzenia niesamowitej atmosfery, wetknięto paczkę listów owiniętą w rozerwany szary papier.

Przeczytałem pierwszy list.

Och, Laurence, mój ukochany, mój najdroższy... to było cudowne, kiedy wczoraj wieczór przeczytałeś ten fragment wiersza. Wiedziałałam, że mówisz o mnie, choć na mnie nie patrzyłeś. Arystydes powiedział: „Dobrze pan czyta poezję”. Nie zgadł, co obydwójce czuliśmy. Mój drogi, jestem przekonana, że wkrótce wszystko będzie dobrze. Będziemy zadowoleni, że o niczym nie wiedział, że umarł szczęśliwy. Był dla mnie dobry. Nie chcę, by cierpiał. Choć naprawdę nie sądzę, że po osiemdziesiątce można mieć jeszcze jakąś przyjemność z życia. Ja bym tego nie chciała! Wkrótce na zawsze będziemy razem. Tęsknię za chwilą, kiedy będę mogła o Tobie powiedzieć: „mój kochany mąż...” Ukochany, jesteśmy dla siebie stworzeni. Kocham Cię, kocham Cię, kocham Cię... Naszej miłości nie będzie końca.

List ciągnął się dalej, ale nie miałem ochoty więcej czytać.

W ponurym nastroju zszedłem na dół i wręczyłem pakiet Tavernerowi.

- Możliwe - rzekłem - że właśnie tego szukał nasz nieznany przyjaciel.

Taverner przeczytał kilka akapitów, gwizdnął i pobieżnie przejrzał listy.

Gdy podniósł głowę, miał minę kota, który dobrał się do najlepszej śmietanki.

- No cóż - powiedział cicho - to nieźle wkopało panią Brendę Leonides. I pana Laurence'a Browna. Zatem to oni...

## Rozdział dziewiętnasty

Zdziwiłem się, jak szybko ulotniło się ze mnie współczucie i sympatia dla Brendy po odkryciu jej listów do Laurence'a Browna. Czy przez próżność poczułem się urażony, iż darzyła Laurence'a miłością przesłodzoną, pozbawioną rozsądku i że mnie okłamała? Nie wiem. Nie jestem psychologiem. Wolę wierzyć, iż moja sympatia skończyła się na myśl o Josephine, biednym dziecku, które próbowano zabić w samoobronie.

- Myślę, że to Brown zastawił pułapkę - powiedział Taverner. - I przestaję się dziwić.

- A co pana dziwiło?

- Brak logiki w działaniu. Niech pan tylko pomyśli. Dzieciak zdobywa te listy - listy, które są tak obciążające! Pierwsza rzecz, którą należałoby uczynić, to je odzyskać (w końcu jeśli dziewczynka nie ma ich na poparcie swojej historyjki, to można podejrzewać, że wszystko zmyśliła), ale nie możesz ich odzyskać, bo nie potrafisz ich znaleźć. Zatem jedynym wyjściem z sytuacji jest pozbycie się dzieciaka na dobre. Popełniłeś już jedno morderstwo i nie cofniesz się przed następnym. Wiesz, że mała lubi huśtać się na drzwiach. Najlepiej byłoby ukryć się za drzwiami i gdy przyjdzie, przyłożyć jej pogrzebaczem czy żelazną sztabą. Wszystko jest na miejscu. Po co taszczyć marmurowego lwa i ustawiać go na szczycie drzwi, skoro ten sposób jest bardzo niepewny! Równie dobrze może na nią spaść, jak i nie spaść, a jeśli spadnie, to niekoniecznie musi ją zabić (co też się stało). Po co, pytam?

- I jaka jest odpowiedź?

- Jedyne wyjaśnienie, które mi przychodziło na myśl, to to, że w ten sposób ktoś chce sobie zapewnić alibi na czas, kiedy Josephine będzie miała wypadek. Ale nie miałem racji, bo okazało się, że nikt nie ma alibi, a poza tym ktoś i tak poszedłby zawołać dziecko na obiad i znalazłby marmurowego lwa, i pułapka objawiłaby się w całej okazałości. Oczywiście, gdyby morderca usunął kamień, zanim znaleziono dziecko, mielibyśmy zagadkę. A tak ta cała rzecz po prostu nie ma sensu.

Rozłożył ręce.

- A jakie jest obecne wytłumaczenie?

- Charakter Laurence'a Browna. Nie cierpi przemocy, nie potrafi zmusić się do tego, by własnoręcznie zrobić komuś krzywdę. Nie mógłby ustawić się za drzwiami i uderzyć dziecka po głowie. Jest jednak w stanie zmontować pułapkę, pójść sobie i nie widzieć samego wypadku.

- Rozumiem - powiedziałem powoli. - Innymi słowy, znowu ezeryna w butelce po insulynie.

- Właśnie.

- Czy pan myśli, że Brenda o niczym nie wiedziała?

- To by wyjaśniało, dlaczego nie wyrzuciła buteleczki po insulynie. Oczywiście, możliwe, że tkwią w tym razem albo że ona sama wymyśliła ten miły sposób pozbycia się starego i zmęczonego życiem męża - wszystko dobrze się kończy na tym najlepszym ze światów. Założę się jednak, że to nie ona zastawiła pułapkę. Kobiety nigdy nie wierzą w prawidłowe działanie przyrządów mechanicznych. I mają rację. Osobiście jestem przekonany, że pomysł z ezeryna był jej, ale zamianę przeprowadził jej ogłupiony miłością niewolnik. Ona należy do kobiet, które potrafią uniknąć maczania własnych palców w mętnych przedsięwzięciach. To pozwala im zachować czyste sumienie.

Umilkł, a po chwili dodał:

- Sądzę, że prokurator uzna te listy za wystarczający dowód, by zacząć przygotowywanie procesu. Nie są jednak jednoznaczne. A jeśli jeszcze dziecko przeżyje, to już będzie wszystko, czego można sobie życzyć. Spojrzał na mnie spod oka.

- Jakie to uczucie być zaręczonym z milionem funtów szterlingów?

Drgnąłem. W gorączce ostatnich godzin kompletnie zapomniałem o testamencie.

- Sophia jeszcze nie wie - powiedziałem. - Czy mam ją poinformować?

- Sądzę, że Gaitskill ma zamiar przekazać te smutne (albo radosne) wieści jutro po rozprawie.

Taverner przerwał i spojrzał na mnie z namysłem.

- Ciekaw jestem, jakie będą reakcje rodziny.

## **Rozdział dwudziesty**

Rozprawa skończyła się mniej więcej tak, jak przepowiadałem: została odroczone na wniosek

policji.

Byliśmy w dobrym nastroju. Wczoraj wieczór dostaliśmy wiadomość ze szpitala, że rany Josephine są mniej poważne, niż się obawiano, i że szybko wróci do zdrowia. Doktor Gray powiedział, że na razie nie wolno jej odwiedzać nikomu, nawet matce.

- Szczególnie matce - mruknęła do mnie Sophia. - Wyraźnie to powiedziałam doktorowi. Choć on i tak zna mamę.

Musiałem mieć powątpiewającą minę, bo Sophia spytała ostro:

- Skąd ta dezaprobata w spojrzeniu?

- Ale... z pewnością matka...

- Miło, że masz jeszcze jakieś staromodne ideały, Charles. Ale nie wiesz, do czego zdolna jest matka. Nie potrafi się powstrzymać i na pewno urządziłaby wielką dramatyczną scenę. A dramatyczne sceny nie są najlepszym lekarstwem dla ciężko rannych w głowę.

- Ty o wszystkim pomyślałaś, kochanie.

- No cóż, ktoś musi myśleć za innych teraz, kiedy zabrakło dziadka.

Popatrzyłem na nią z namysłem. Starego Leonidesa nie zawiodła intuicja. Odpowiedzialność za rodzinę spoczęła na barkach Sophii.

Po rozprawie Gaitskill poszedł z nami do Trzech Szczytów. Odchrząknął i powiedział znacząco:

- Mam państwu coś do zakomunikowania.

Rodzina zebrała się w salonie Magdy. Siedząc z nimi, doświadczałem przyjemnego uczucia wtajemniczenia. Z góry wiedziałem, co prawnik im powie.

Przygotowałem się, by obserwować reakcje.

Gaitskill mówił sucho i lakonicznie. Nie zdradzał żadnych oznak osobistej urazy czy zdenerwowania. Najpierw odczytał list Leonidesa, a potem testament.

Spektakl był interesujący. Żałowałem tylko, że nie mam oczu dookoła głowy.

Nie zwróciłem większej uwagi na Brendę i Laurence'a. W wypadku Brendy nic się nie zmieniło. Głównie przyglądałem się Rogerowi i Philipowi, a potem Magdzie i Clemency.

Moje pierwsze wrażenie było takie, że bardzo dobrze znieśli szok.

Philip siedział z zaciśniętymi ustami, a swą piękną głowę oparł o zagłówek fotela. Nic nie

mówił.

Natomiast z Magdy wypłynął potok słów, gdy tylko Gaitskill skończył. Jego cichy głos tonął w głębokim głosie Magdy jak strumyczek zalewany wodami przyływu.

- Najdroższa Sophio, to niebywałe, takie romantyczne! Pomyślcie tylko, jaki staruszek był sprytny. Wszystkich nas wprowadził w błąd. Zachował się zupełnie jak małe dziecko. Czy nam nie ufał? Myślał, że będziemy się na niego gniewać? Nigdy nie wyróżniał jakoś specjalnie Sophii, traktował ją jak nas wszystkich. Co za dramatyczne wydarzenie!

Nagle Magda skoczyła na równe nogi, podbiegła tanecznym krokiem do Sophii i złożyła jej głęboki dworski ukłon.

- Madame Sophia, biedna i stara, złamana życiem matka prosi o jałmużnę - zaczęła zawodzić cockneyem. - Nie żałuj mamusce miedziaka na kino.

Dłonią, zagiętą jak szpony ptaka, szarpnęła córkę za rękaw.

Philip, nie ruszając się z miejsca, rzekł sztywno przez zęby:

- Magdo, proszę cię. Nie ma powodu do błazeństwa.

- Och, ale Roger! - zawołała Magda, odwracając się do szwagra. - Kochany, drogi Roger. Staruszek chciał ci pomóc, ale zmarł, zanim zdołał to zrobić. A teraz Roger nie ma ani grosza. Sophio - zwróciła się władczo do córki - musisz coś z tym zrobić.

- Nie! - zaprotestowała Clemency, robiąc krok do przodu. - Nic nie chcemy. Absolutnie nic.

Roger, potykając się o własne nogi, jak wielki przyjacielski niedźwiedź, zbliżył się do bratanicy. Ujął w dłonie jej rękę.

- Nie chcę ani grosza, kochana dziewczyno. Gdy tylko sprawa się wyjaśni - a teraz wygląda na to, że umrze śmiercią naturalną - Clemency i ja jedziemy do Indii Zachodnich. Jeśli będziemy w dużej potrzebie, to zwrócę się o pomoc do głowy rodziny - uśmiechnął się do niej szeroko - ale wcześniej nic nie chcę. Tak naprawdę nie mam dużych potrzeb, zapytaj Clemency, jeśli mi nie wierzysz.

Niespodziewanie włączyła się Edith de Haviland.

- Wszystko świetnie, Roger, ale musisz wziąć pod uwagę, jak to będzie wyglądać. Jeśli zbankrutujesz, a potem umkniesz na koniec świata, a Sophia ci nie pomoże, da to początek złośliwym plotkom na jej temat.

- Kogo obchodzi opinia publiczna? - rzuciła pogardliwie Clemency.

- Ciebie, Clemency, na pewno nie - odparła ostro Edith de Haviland. - Ale Sophia nie żyje na bezludnej wyspie. Jest inteligentną dziewczyną o dobrym sercu i nie mam wątpliwości, że Arystydes miał rację wybierając ją, by troszczyła się o dobro rodziny - choć nam, Anglikom, wydawać się

może dziwne, że pominął swych synów. Uważam, że byłoby niedobrze, gdyby mówiono o niej, że w tej sprawie okazała się chciwa i pozwoliła, by Roger zbankrutował.

Roger podszedł do ciotki, objął ją i przycisnął do serca.

- Ciociu Edith - rzekł - jesteś kochana... i bardzo uparta, ale wcale nie rozumiesz. Clemency i ja wiemy, czego chcemy, a czego nie chcemy!

Clemency zarumieniła się i wykrzyknęła:

- Nigdy nie rozumieliście Rogera! I nie sądzę, że go kiedykolwiek zrozumiecie. Chodźmy, Roger.

Wyszli z pokoju. Pan Gaitskill chrząknął i z miną pełną dezaprobaty zaczął zbierać swoje papiery. Było jasne, że bardzo mu się nie podobają sceny, których jest świadkiem.

Na samym końcu spojrzałem na Sophię. Stała przy kominku, prosta i elegancka, z dumnie uniesioną głową. Właśnie otrzymała ogromny majątek, ale pierwsza myśl, która mi przyszła do głowy, to to, że stała się nagle bardzo samotna. Pomiędzy nią a resztą rodziny wyrosła ściana. Została od nich oddzielona i podejrzewałem, że już sobie to uświadomiła. Stary Leonides obarczył ją ciężarem - on o tym wiedział i ona też. On wierzył, że jej ramiona są dość mocne, by udźwignąć ciężar odpowiedzialności. Zrobiło mi się jej bardzo żal.

Do tej pory nic nie powiedziała - co prawda, nie miała możliwości się odezwać, ale wkrótce zostanie zmuszona, by mówić. Już teraz pod płaszczykiem uczuć rodzinnych wyczułem czającą się wrogość. Wydawało mi się, że nawet w scenie Magdy kryła się lekka złośliwość. Niewątpliwie były jeszcze ciemniejsze uczucia, które nie zdążyły dać o sobie znać.

Gaitskill przestał chrząkać i odezwał się:

- Pani Sophio, proszę przyjąć moje gratulacje. Jest pani bardzo bogatą kobietą. Nie polecałbym podejmowania żadnych pochopnych działań. Na bieżące wydatki mogę zdobyć dla pani a conto spadku tyle, ile pani potrzebuje. Jeśli chce pani porozmawiać o przyszłości, chętnie będę służył pomocą. Jak pani wszystko przemyśli, może się pani umówić ze mną w Lincoln Inn.

- Roger... - zaczęła uparcie panna de Haviland.

- Roger - wtrącił szybko pan Gaitskill - jest dorosłym człowiekiem. Ma... chyba pięćdziesiąt cztery lata. Arystydes Leonides miał rację, Roger nie jest człowiekiem interesu. I nigdy nie będzie.

Spojrzał na Sophię.

- Jeśli zechce pani poratować Zjednoczenie Gastronomiczne, niech się pani nie łudzi, że Roger dobrze je poprowadzi.

- Do głowy by mi nie przyszło ratować Zjednoczenie - Sophia odezwała się po raz pierwszy. Mówiła krótko i z pewnością siebie. - Byłby to niemądry krok.

Gaitskill spojrział na nią spod oka i uśmiechnął się do siebie. Po chwili pożegnał się i wyszedł.

Przez moment panowała cisza - wszyscy uświadomili sobie, że zostali tylko w rodzinnym gronie.

Pierwszy ze swego miejsca sztywno podniósł się Philip.

- Muszę wracać do biblioteki - oświadczył. - Straciłem masę czasu.

- Tato - powiedziała niepewnie, niemal prosząco Sophia.

Poczułem, jak zadrżała pod wrogim spojrzeniem jego oczu.

- Wybacz, że ci nie gratuluję - rzekł - ale przeżyłem szok. Nie przyszłoby mi do głowy, że mój własny ojciec może mnie tak upokorzyć, zlekceważyć moje oddanie... dobrze mówię, oddanie.

Po raz pierwszy pękła skorupa jego lodowatej powściągliwości.

- Mój Boże! - zawołał. - Jak mógł mi to zrobić? Zawsze był wobec mnie niesprawiedliwy, zawsze!

- Ależ Philipie, nie możesz tak mówić - mitygowała go Edith de Haviland. - Nie uważaj tego za następny afront! Tak nie jest. Starsi ludzie czują naturalny pociąg do młodych.. Zapewniam cię, że tylko o to chodzi. A poza tym Arystydes miał doskonały zmysł interesu, często mówił, że dwukrotne płacenie podatku spadkowego...

- Nigdy o mnie nie dbał - poskarżył się cichym, ochrypłym głosem Philip. - Zawsze tylko Roger i Roger. Ale wreszcie ojciec zdał sobie sprawę - na jego pięknej twarzy odbił się wyraz pogardy - że Roger jest do niczego. Też go wydziedziczył.

- A co ze mną? - spytał Eustace.

Do tej pory ledwie zwracałem na niego uwagę, teraz zauważyłem, że drży z nerwowego podniecenia. Był purpurowy na twarzy, w oczach miał łzy.

- To skandal! - wykrzyknął trzęsącym się, podniesionym głosem. - Jak dziadek mógł mi to zrobić? Jak śmiał? Jestem jego jedynym wnukiem! Jak mógł pominąć mnie i przekazać majątek Sophii? To nie w porządku. Nienawidzę go. Nienawidzę. Nie zapomnę mu tego, jak długo będę żył. Obrzydliwy stary tyran. Chciałem, żeby umarł. Chciałem wyprowadzić się z tego domu, być samodzielny. A teraz Sophia będzie mną rządzić i poniewierać. Czuję się jak głupiec. Wolałbym nie żyć...

Głos mu się załamał i Eustace wybiegł z pokoju. Edith de Haviland cmoknęła głośno.

- Kompletny brak opanowania - mruknęła.

- Wiem, co czuje - zawołała Magda.

- Jestem o tym przekonana - powiedziała Edith de Haviland cierpkim tonem.

- Biedny chłopiec. Muszę iść do niego...

- Słuchaj, Magdo - zaczęła Edith, podążając za nią. Ich głosy zamarły. W pokoju została tylko Sophia i ojciec. Sophia stała patrząc na Philipa. Wydawało mi się, że w jej wzroku kryło się błaganie, na które on jednak nie reagował. Spoglądał na nią chłodno, znowu całkowicie opanowany.

- Bardzo dobrze rozegrałaś swoje karty, Sophio - rzekł i wyszedł z pokoju.

- To okrutne, co powiedział - zawołałem. - Sophio...

Sophia wyciągnęła do mnie ręce. Przytuliłem ją do siebie.

- To zbyt dużo jak na ciebie - szepnąłem.

- Wiem, jak się czują.

- Twój dziadek, ten stary diabeł, nie powinien cię na to narażać.

Wyprostowała się.

- Wierzył, że potrafię to unieść. I miał rację. Szkoda tylko, że Eustace tak bardzo to przeżywa.

- Przejdzie mu.

- Naprawdę? Nie jestem pewna. On ma tendencję do zamykania się w sobie. I jeszcze tak mi przykro, że ojciec czuje się zraniony.

- Za to matka się nie przejęła.

- Trochę się przejęła. To nienormalne prosić córkę o pieniądze na wystawienie sztuki. Zanim się zorientuję, będzie mnie namawiać na Edith Thompson.

- A co jej powiesz? Jeśli to ma ją uczynić szczęśliwą...

Sophia wywinęła się z moich ramion.

- Absolutnie nie! Ta sztuka jest do niczego, a matka nie nadaje się do tej roli. To byłyby pieniądze wyrzucone w błoto.

Zachichotałem. Nie mogłem się powstrzymać.

- O co chodzi? - spytała podejrzliwie Sophia.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego dziadek tobie zapisał pieniądze. Jesteście podobni jak dwie krople wody.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

W tym czasie żałowałem tylko, że Josephine nie może w tym uczestniczyć. Świetnie by się bawiła.

Szybko przychodziła do zdrowia i lada dzień miała wrócić do domu, ale uciekło jej jeszcze jedno ważne wydarzenie.

Pewnego dnia byłem w ogrodzie skalnym z Sophią i Brendą, kiedy usłyszeliśmy podjeżdżający samochód. Taverner i sierżant Lamb wysiedli z niego i skierowali się do domu.

Brendą znieruchomiła, wpatrując się w auto.

- To znowu oni - powiedziała. - Wrócili, a już myślałam, że zrezygnowali.

Zobaczyłem, że drży.

Przyłączyła się do nas dziesięć minut wcześniej. Przyszła otulona futrem z szynszyli i powiedziała: „Jeśli nie będę miała trochę ruchu i powietrza, to chyba zwariuję. Jak tylko wyjdę za bramę, zaraz natykam się na czatującego reportera. Żyjemy w oblężeniu. Czy tak zawsze będzie?”

Sophią powiedziała, że reporterzy prawdopodobnie wkrótce się znudzą.

- Możesz wyjechać autem - dodała.

- Powiedziałam, że chcę się poruszać. Nagle spytała, zmieniając temat:

- Dajesz wymówienie Laurence'owi, Sophio? Dlaczego?

- Co do Laurence'a mamy inne plany - odparła spokojnie Sophią. - A Josephine jedzie do Szwajcarii.

- Laurence bardzo się zmartwił. Wydaje mu się, że mu nie ufacie.

Sophia nie odpowiedziała. W tym właśnie momencie nadjechał samochód policyjny.

Trzęsąc się z zimna w chłodnym, wilgotnym jesiennym powietrzu, Brendą szeptała:

- Dlaczego przyjechali? Czego chcą? Wydawało mi się, że wiem, dlaczego przyjechali.

Nic nie powiedziałem Sophii o listach, które znalazłem za bojlerem. Wiem, że przedstawiono je prokuraturze.

Po chwili Taverner wyszedł z domu i zbliżał się do nas. Brenda zaczęła się trząść jeszcze

bardziej.

- Czego on chce? - powtarzała nerwowo. - Czego chce?

Taverner stanął przed nami i oficjalnym tonem powiedział:

- Mam nakaz aresztowania pani. Jest pani oskarżona o podanie ezeryny Arystydesowi Leonidesowi w dniu dziewiętnastym września tego roku. Muszę panią uprzedzić, że wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani.

Brenda załamała się. Zaczęła krzyczeć. Złapała mnie za poły płaszcza i wołała:

- Nie, nie, nie, to nieprawda! Nic o tym nie wiedziałam. To spisek przeciwko mnie! Nie pozwól, żeby mnie zabrali. To nieprawda, mówię ci, że nieprawda... nie zrobiłam niczego złego...

To było straszne, niewiarygodnie straszne. Próbowałem ją uspokoić, oderwać jej ręce od mojego paltka. Powiedziałem, że załatwię jej prawnika, że musi zachować spokój, że prawnik wszystkim się zajmie...

Taverner ujął ją delikatnie pod rękę.

- Proszę z nami, pani Leonides. Chce pani wziąć kapelusz? Nie? To od razu możemy pójść.

Cofnęła się o krok i zmierzyła go spojrzeniem ogromnych oczu.

- A co zrobiliście z Laurence'em?

- Pan Laurence Brown również został aresztowany.

Nagle opadła z sił. Jakby się skurczyła. Z oczu popłynęły jej łzy. Spokojnie poszła z Tavernerem przez trawnik do samochodu. Zauważyłem, że z domu wyszedł sierżant Lamb z Laurence'em. Wszyscy wsiedli do auta i odjechali.

Odetchnąłem głęboko i odwróciłem się ku Sophii. Była bardzo blada i zmartwiona.

- To straszne, Charles - powiedziała. - To straszne.

- Wiem.

- Musisz załatwić jej najlepszego prawnika, jaki jest. Musimy jej pomóc.

- Człowiek nie zdaje sobie sprawy - zauważyłem - jak to naprawdę wygląda. Nigdy przedtem nie widziałem aresztowania.

- Rozumiem cię. Nie ma się pojęcia. Zamilkliśmy. Myślałem o przerażeniu na twarzy Brendy. Wydawało mi się dobrze znane i nagle zdałem sobie sprawę, dlaczego. To było takie samo przerażenie, jakie widziałem na twarzy Magdy Leonides w czasie pierwszej wizyty w Krzywym

Dworku, kiedy opowiadała o sztuce na temat Edith Thompson. „A potem - mówiła - zostaje tylko przerażenie”.

Przerażenie - właśnie to widziałem na twarzy Brendy. Brenda nie była wojownicza. Zdziwiłem się, że była w stanie popełnić morderstwo. Ale może nie popełniła go. Może to Laurence Brown, z manią prześladowczą, chwiejną osobowością, zamienił zawartość buteleczek, by uwolnić kobietę, którą kochał.

- Zatem to koniec - powiedziała Sophia. Westchnęła głęboko, a potem spytała:

- Dlaczego aresztowali ich teraz? Myślałam, że nie mają wystarczających dowodów.

- Odkryto pewne dowody. Listy.

- Ich listy miłosne?

- Tak.

- Głupcy! Po co je trzymali!

- Masz rację, głupcy. Tacy, którzy nigdy nie uczą się na doświadczeniach innych. Ile razy otworzy się codzienną gazetę, zawsze napotyka się jakiś przykład tej głupoty - pragnienia, by zatrzymać słowo pisane, pisane zapewnienie miłości. To okropne, ale nie trzeba żałować tego, co się stało. W końcu mieliśmy nadzieję, że tak to się właśnie skończy. To powiedziałaś pierwszego dnia, u Maria. Powiedziałaś, że jeszcze wszystko może być w porządku, jeśli dziadka zabiła odpowiednia osoba. Chodziło o Brendę, prawda? O Brendę czy Laurence'a?

- Przestań, Charles, nie dobijaj mnie.

- Musimy zachować się rozsądnie. Teraz możemy się pobrać, Sophio. Nie możesz już dłużej odkładać. Zniknął problem z rodziną Leonidesów.

Sophia patrzyła na mnie nieruchomo. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jak bardzo błękitne są jej oczy.

- Tak - odparła. - Zniknął problem. Zniknął, prawda? Jesteś pewien?

- Moja droga, nikt z was nie miał naprawdę żadnego motywu.

Twarz Sophii nagle pobladła.

- Oprócz mnie, Charles. Ja miałam motyw.

- Tak, naturalnie... - byłem zaskoczony - chociaż nie, nie wiedziałaś o testamencie.

- Wiedziałam - szepnęła.

- Co? - spojrzałem na nią szeroko otwartymi oczami. Nagle zrobiło mi się zimno.

- Cały czas wiedziałam, że dziadek zostawił wszystko mnie.

- Skąd?

- Powiedział mi. Na jakiś tydzień przed śmiercią. Powiedział zniecka: „Zapisałem ci wszystkie moje pieniądze. Jak mnie zabraknie, musisz opiekować się rodziną”.

- Nie powiedziałaś mi o tym.

- Nie powiedziałam. Widzisz, kiedy wszyscy zaczęli wyjaśniać tak dokładnie odczytywanie i podpisywanie testamentu, pomyślałam, że może się pomylił... albo że tylko sobie wyobrażał, że zapisał mi swój majątek. Albo - jeśli naprawdę sporządził taki testament - to, że zaginał i nigdy się nie odnajdzie. Nie chciałam, żeby się znalazł. Bałam się.

- Bałaś się? Dlaczego?

- Chyba... z powodu morderstwa.

Przypomniałem sobie przerażenie Brendy, dziką, wymykającą się rozsądkowi panikę. Przypomniałem sobie przerażenie na twarzy Magdy, wywołane wcieleniem się w postać morderczyni. Sophia by nie panikowała, ale była realistką i zdawała sobie sprawę, że testament dziadka czyni z niej podejrzaną. Teraz lepiej rozumiałem (albo tak mi się przynajmniej wydawało) odmowę ogłoszenia zaręczyn i naleganie, bym poznał prawdę. Tylko prawda - mówiła - może jej pomóc. Przypomniałem sobie powagę i pasję, z jaką wypowiedziała te słowa.

Już wracaliśmy do domu, kiedy nagle przyszły mi do głowy inne słowa Sophii. Powiedziała, że mogłaby zabić człowieka, ale - dodała - gdyby przyczyna była tego warta.

## **Rozdział dwudziesty drugi**

Skrajem skalnego ogrodu szli w naszym kierunku Clemency i Roger. W luźnych tweedach Roger wyglądał lepiej niż w garniturze. Był ożywiony i podniecony. Clemency była zachmurzona.

- Cześć! - zawołał Roger. - Nareszcie! Myślałem, że nigdy nie aresztują tej paskudnej kobiety. Nie wiem, na co czekali. No, dobrze, że teraz zgarnęli ją i tego jej żalosego chłopaka. Mam nadzieję, że powieszą ich oboje.

Clemency jeszcze bardziej się nachmurzyła.

- Roger, nie bądź taki barbarzyński - powiedziała.

- Barbarzyński? Z premedytacją, z zimną krwią otruli bezradnego, ufnego staruszka, a kiedy cieszę się, że mordercy zostali schwytani i odpowiedzą za to, mówisz, że zachowuję się barbarzyńsko! Chętnie zadusiłbym tę kobietę własnymi rękami.

I dodał:

- Była z wami, kiedy policja przyszła po nią, prawda? Jak to przyjęła?

- To było straszne - szepnęła Sophia. - Była śmiertelnie przerażona.

- Dobrze jej tak.

- Nie bądź taki mściwy - upomniała męża Clemency. - Wiem, wiem, kochanie, ale ty tego nie zrozumiesz.

To nie był twój ojciec. Nie rozumiesz, że go kochałem?

- Do tej pory już chyba powinnam to zrozumieć.

- Brakuje ci wyobraźni, Clemency - na wpół żartował Roger. - Wyobraź sobie, że to ja zostałem otruty...

Zauważyłem, że szybko spuściła powieki i zacisnęła pięści.

- Nie mów tego nawet w żartach - powiedziała ostro.

- Nieważne, kochanie. Wkrótce będziemy z dala od tego wszystkiego.

Ruszyliśmy w kierunku domu. Na przedzie szła Sophia z Rogerem, a za nimi - ja z Clemency.

- Sądzę, że teraz nas puszczą - powiedziała Clemency.

- Tak bardzo chce pani wyjechać? - spytałem.

- To mnie wykańcza.'

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. Gdy spotkały się nasze spojrzenia, uśmiechnęła się dzielnie i kiwnęła głową.

- Nie widzisz, Charles, że cały czas walczę? Walczę o moje szczęście. I szczęście Rogera. Tak się bałam, że rodzina przekona go, żeby zostać w Anglii. Wtedy byśmy się już nie wyzwolili, udusilibyśmy się. Bałam się, że Sophia zaoferuje mu pensję i że on zgodzi się zostać w kraju, bo to oznaczałoby łatwiejsze życie i przyjemności dla mnie. Z Rogerem jest ten kłopot, że nie słucha, co się do niego mówi. Różne rzeczy przychodzą mu do głowy, ale zawsze nie to, co trzeba. A jest na tyle Leonidesem, by uważać, że dla kobiety szczęście to wygoda i pieniądze. Ale ja będę walczyć o szczęście. Zabiorę stąd Rogera tam, gdzie będzie wiódł życie bardziej dla siebie odpowiednie i gdzie nie będzie się czuł skazany na niepowodzenie. Chcę go mieć dla siebie... zabrać daleko od

nich... od razu.

Mówiła cicho i gwałtownie, z desperacją, która mnie zaskoczyła. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, w jak ogromnym napięciu żyje. Nie byłem również świadomy, jak bardzo jej miłość jest gwałtowna i zaborcza.

Przypomniały mi się znamienne słowa Edith de Haviland. Z bardzo dziwną intonacją wspomniała o uwielbieniu tylko dla jednej strony. Ciekaw byłem, czy myślała o Clemency.

Pomyślałem, że Roger kochał swojego ojca bardziej niż kogokolwiek innego, bardziej nawet niż żonę, do której był ogromnie przywiązany. Zdałem sobie teraz sprawę, jak gorąco pragnęła mieć go tylko dla siebie. Miłość do niego stanowiła całe jej życie. Był dla niej dzieckiem, mężem i kochankiem.

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód.

- Hej - zawołałem - przyjechała Josephine.

Z auta wysiadła Josephine z Magdą. Dziewczynka miała obandażowaną głowę, ale poza tym wyglądała wyjątkowo dobrze.

Od razu powiedziała:

- Chcę zobaczyć moje złote rybki - i ruszyła w kierunku stawu.

- Kochanie - zawołała za nią matka - lepiej najpierw na chwilę się połóż i może zjedz trochę pożywnej zupki.

- Nie nudź, mamó - powiedziała Josephine. - Czuję się całkiem dobrze i nie znoszę pożywnych zupek.

Magda stała niezdecydowanie. Dobrze wiedziałem, że Josephine już parę dni temu mogła wyjść ze szpitala, ale zatrzymali ją tam dłużej pod wpływem delikatnej sugestii Tavernera. Nie chciał ryzykować jej bezpieczeństwa, skoro podejrzani nadal byli na wolności.

- Świeże powietrze dobrze jej zrobi - pocieszyłem Magdę. - Będę miał ją na oku.

Dopadłem Josephine nad stawem..

- Jak cię nie było, działo się tu dużo rzeczy - zauważyłem.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Krótkowzrocznymi oczami wpatrywała się w staw.

- Nie widzę Ferdynanda - rzekła.

- Który to Ferdynand?

- Taki z czterema ogonami.
- Ta jest śmieszna. Podoba mi się ta jasnozłota.
- Jest całkiem zwyczajna.
- Ojej, nie podoba mi się ta biała, jakby wyjedzona przez mole.

Josephine rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

- To shebunkin. One są drogie, dużo droższe niż złote rybki.
- Nie chcesz posłuchać, co się działo?
- Chyba wiem.
- Wiesz, że znaleziono drugi testament i że dziadek zapisał wszystkie pieniądze Sophii?

Josephine ze znużeniem skinęła głową.

- Mama mi powiedziała. A poza tym i tak wiedziałam.
- Dowiedziałaś się w szpitalu?
- Nie. Wiedziałam, że dziadek zostawił majątek Sophii. Słyszałam, jak jej to mówił.
- Znowu podsłuchiwałaś?
- Tak. Lubię podsłuchiwać.
- To bardzo brzydko. Poza tym pamiętaj, że ci, co podsłuchują, nie słyszą pochwał na swój temat.

Josephine rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- Słyszałam, co jej o mnie mówił, jeśli to masz na myśli.

I dodała:

- Niania wścieka się, kiedy złapie mnie na podsłuchiwaniu. Mówi, że mała dama nie robi takich rzeczy.

- Ma rację.
- Phi! Teraz nie ma dam. Powiedzieli tak w radiu. Powiedzieli, że to przestarzałe.

Zmieniłem temat.

- Spóźniłaś się na wielkie wydarzenie. Nadinspektor Taverner aresztował Brendę i Laurence'a.

Wydawało mi się, że Josephine jako początkujący detektyw będzie przejęta, ale z irytującym znudzeniem powtórzyła:

- Wiem o tym.

- Nie możesz wiedzieć. To się dopiero co zdarzyło.

- Minęliśmy ich samochód. Obok nadinspektora Tavernera i detektywa w zamszowych butach siedzieli Brenda i Laurence, więc oczywiście zgadłam, że musieli zostać aresztowani. Mam nadzieję, że powiedzieli ostrzegającą formułkę???

- Uspokoilem ją, że Taverner postępował zgodnie z zawodową etykietą.

- Musiałem powiedzieć mu o listach - przyznałem się. - Znalazłem je za bojlerem. Wołałbym, żebyś sama to zrobiła, tylko byłaś nieprzytomna.

Josephine ostrożnie dotknęła bandaży.

- Powinni mnie zabić - powiedziała z zadowoleniem. - Powiedziałam ci, że czas na drugie morderstwo. Bojler to zupełnie nieodpowiednie miejsce na chowanie listów. Jak tylko zobaczyłam Laurence'a wychodzącego z tego pomieszczenia, od razu zgadłam, co tam robił. To znaczy: wiedziałam, że nie zna się zupełnie na rurach, kurkach ani paleniskach, więc wiedziałam, że musiał tam coś chować.

- Myślałem...

Przerwał mi rozkazujący głos Edith de Haviland:

- Josephine, Josephine, wracaj zaraz! Dziewczynka westchnęła.

- Co za zamieszanie. Lepiej już pójdę. Jak ciocia Edith coś każe, to trzeba to zrobić.

Pobiegła na ukos przez trawnik. Podążyłem za nią wolniejszym krokiem.

Po krótkiej wymianie zdań Josephine zniknęła w domu. Podeszedłem do Edith de Haviland stojącej na tarasie.

Tego ranka wyglądała na swoje lata. Zaskoczyły mnie linie zmęczenia i cierpienia na jej twarzy. Wyglądała na wyczerpaną i zwyciężoną. Zauważyła troskę na mojej twarzy i próbowała się uśmiechnąć.

- Nie wydaje się, żeby dziecko ucierpiało przez to doświadczenie - rzekła. - W przyszłości musimy bardziej na nią uważać. Choć teraz... sądzę, że to nie będzie konieczne?

Westchnęła i dorzuciła:

- Cieszę się, że już po wszystkim. Co to było za przedstawienie! Jeśli już aresztują cię pod zarzutem morderstwa, to przynajmniej należałoby zachować trochę godności. Nie mam cierpliwości do ludzi takich jak Brenda, którzy tracą panowanie nad sobą i biadolą.

Te słowa wzbudziły we mnie dziwne współczucie.

- Biedaczyska! - westchnąłem.

- Tak, biedaczyska. Chyba Brenda potrafi zadbać o siebie? Mam na myśli wybór dobrego prawnika i tym podobne.

To dziwne - pomyślałem - taka wielka troska o to, by Brenda miała zapewnioną dobrą obronę w sądzie, przy tak dużej niechęci do niej.

- Jak długo to potrwa? - spytała Edith de Haviland.

Powiedziałem, że dokładnie nie wiem. Na komisariacie przedstawią Brendzie i Laurence'owi zarzuty i będą czekali na proces. Oceniałem, że potrwa to trzy do czterech miesięcy, a jeśli zostaną uznani za winnych, odbędzie się jeszcze rozprawa w sądzie apelacyjnym.

- Myśli pan, że zostaną uznani za winnych?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, jakie policja ma dowody. Naturalnie, mają listy.

- Listy miłosne? To oni jednak byli kochankami?

- Kochali się.

Edith spochmurniała.

- Nie podoba mi się to, Charles. Nie lubię Brendy. Dawniej bardzo jej nie lubiłam. Mówiłam na jej temat różne złośliwości. Teraz jednak chcę, żeby dać jej jak najwięcej szans. Arystydes by sobie tego życzył. Czuję, że sama powinnam się tym zająć - dopilnować, żeby Brenda nie została pokrzywdzona.

- A Laurence?

- Och, Laurence - wzruszyła niecierpliwie ramionami. - Mężczyźni powinni sami się o siebie troszczyć. Ale Arystydes nigdy by nam nie przebaczył... - nie dokończyła zdania.

- Już pewnie pora obiadu - zauważyła po chwili. - Lepiej wracajmy do domu.

Wyjaśniłem, że jadę do Londynu.

- Swoim samochodem?

- Tak.

- Hm. Mógłby mnie pan wziąć ze sobą? Sądzę, że już możemy opuszczać posiadłość.

- Oczywiście, że panią wezmę, ale wydaje mi się, że Magda i Sophia również wybierają się do miasta po obiedzie. Z nimi byłoby pani wygodniej niż w moim dwuosobowym samochodzie.

- Nie chcę z nimi jechać. Proszę mnie zabrać i nie mówić o tym nikomu.

Zdziwiłem się, ale postąpiłem zgodnie z jej życzeniem. W drodze nie mówiliśmy wiele. Spytałem, gdzie mam ją wysadzić.

- Na Harley Street.

Lekko się zaniepokoiłem, ale nic nie powiedziałem.

- Choć nie, jeszcze za wcześnie - rzekła Edith de Haviland. - Proszę wysadzić mnie koło Debenharns. Tam zjem obiad, a potem udam się na Harley Street.

- Mam nadzieję... - zacząłem niepewnie.

- Właśnie dlatego nie chciałam jechać z Magdą. Ona lubi dramatyzować. I robić zamieszanie.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Miałam dobre życie. Nawet bardzo dobre - uśmiechnęła się. - I jeszcze się nie kończy.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Ojca nie widziałem przez kilka dni. Gdy go spotkałem, był bardzo zajęty sprawami nie związanymi z Leonidesem, więc poszedłem na poszukiwanie Tavernera.

Taverner miał wolne i chętnie przyjął zaproszenie na drinka. Pogratulowałem mu zakończenia sprawy. Przyjął moje gratulacje, ale nie promieniował radością.

- Tak, już koniec - przyznał. - Mamy dowody. Nikt nie może zaprzeczyć, że mamy dowody.

- Myślisz, że zostaną skazani?

- Trudno powiedzieć. Dowody są pośrednie - jak niemal zawsze w sprawach o morderstwo, zresztą trudno, żeby było inaczej. Wiele zależy od tego, jakie wrażenie zrobią na przysięgłych.

- Co jest w listach?

- Na pierwszy rzut oka są bardzo obciążające. Napomykają o wspólnym życiu po śmierci męża. Zwroty takie jak „to już nie potrwa długo”. Zwracam ci uwagę, że obrona odwróci kota ogonem, powie, że mąż był tak stary, że oczywiście należało spodziewać się, że umrze. Nie ma wzmianki o otruciu go, to znaczy nie czarno na białym, ale jest parę miejsc, które można tak rozumieć. Wszystko zależy od tego, kto będzie sędził. Jeśli stary Carberry, to się nie wymkną. On jest bardzo surowy wobec niedozwolonej miłości. Sądzę, że ich obrońcą będzie Eagles albo Humpnrey Kerr - Humphrey jest doskonały w takich sprawach, ale lubi, żeby oskarżony odznaczył się na wojnie albo coś podobnego, bo to pomaga mu wygrać. Zwolnienie z wojska ze względu na przekonania religijne nie pozwoli mu rozwinąć skrzydeł. Ważne, czy przysięgli poczują do nich sympatię.

Tego nigdy nie da się przewidzieć. Wiesz, Charles, ta dwójka nie jest zbyt sympatyczna. Ona to ładna kobieta, która dla pieniędzy wyszła za mąż za bardzo starego faceta, a Brown jest neurotyczny i jeszcze wymigiwał się od walki. Zbrodnia jest tak typowa, że aż się nie chce wierzyć, że naprawdę ją popełnili. Oczywiście, sędziowie mogą dojść do wniosku, że popełnił ją Laurence, a ona nic o tym nie wiedziała, albo odwrotnie, albo że popełnili ją wspólnie.

- A jakie jest pana zdanie? Spojrzał na mnie z kamienną miną.

- Nie mam żadnych teorii. Przekazałem dowody prokuraturze, a tam doszli do wniosku, że są wystarczające, by wszcząć proces. To wszystko. Wykonałem swój obowiązek i więcej się tym nie zajmuję. Teraz już wiesz.

Niestety, nie wiedziałem. Widziałem tylko, że z jakiegoś względu Taverner jest niezadowolony.

Dopiero trzy dni później zdradziłem ojcu swe wątpliwości. On sam nie wspominał o tej sprawie. W naszych stosunkach załęgło się skrupowanie - i wydawało mi się, że znam przyczynę: Postanowiłem zburzyć tę barierę.

- Musimy to sobie wyraźnie powiedzieć - rzekłem. - Taverner nie jest przekonany, że ci dwoje to zrobili, i ty też nie jesteś o tym przekonany.

Ojciec pokręcił głową. Powtórzył to samo, co Taverner:

- Zrobiliśmy, co się dało. Mamy wystarczające dowody, by wytoczyć proces. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Ale ty i Taverner nie uważacie, że są winni?

- O tym zadecyduje sąd.

- Na Boga! Nie zbywaj mnie w ten sposób! Chcę wiedzieć, co ty osobiście o tym sądzisz.

- Moje zdanie nie jest wcale lepsze niż twoje, Charles.

- Owszem, jest. Masz więcej doświadczenia.

- Będę z tobą szczerzy. Nie wiem.

- Mogą być winni?

- Oczywiście.

- Ale nie jesteś pewien, że są? Ojciec wzruszył ramionami.

- Czy tego można być pewnym?

- Nie rób uników, tato. W innych wypadkach bywałeś pewien, prawda? Całkowicie pewien? Nie miałeś najmniejszych wątpliwości?

- Czasami, ale nie zawsze.

- Szkoda, że tym razem nie masz pewności.

- Też tego żałuję.

Zapadła cisza. Rozmyślałem o dwóch postaciach, które wyłoniły się z ciemności. Samotne, prześladowane, wystraszone. Od samego początku się bali. Czy to był znak nieczystego sumienia? Niekoniecznie - odpowiedziałem sobie. Zarówno Brenda, jak i Laurence Brown bali się życia - brakowało im wiary w siebie, w umiejętność omijania niebezpieczeństwa i unikania klęski i bardzo dobrze wiedzieli, jak często niedozwolona miłość wiedzie do morderstwa - i że to przemawia na ich niekorzyść.

- No cóż, Charles - powiedział ojciec poważnie - spójrzmy prawdzie w oczy. Czasem nadal podejrzewasz, że prawdziwym winowajcą jest ktoś z krewnych Leonidesa, prawda?

- Naprawdę to w to nie wierzę. Tylko zastanawiałem się...

- Myślisz tak. Może się mylisz, ale uważasz, że raczej nie.

- Masz rację - przyznałem.

- Dlaczego?

- Ponieważ - zastanawiałem się przez chwilę - ponieważ... - właśnie o to chodziło! - oni sami tak myślą.

- Sami tak myślą? Ciekawe. Bardzo ciekawe. Chcesz powiedzieć, że wszyscy podejrzewają siebie nawzajem, czy że wiedzą, kto to zrobił?

- Nie jestem pewien. To wszystko jest bardzo niekonkretne i poplątane. Uważam, że... że sami próbują uciec od tego, co wiedzą.

Ojciec skinął głową.

- Roger nie - rzekłem. - On całym sercem wierzy, że to Brenda i całym sercem chce, żeby ją powiesili. To przyniosłoby mu ukojenie, ponieważ ma naturę prostą i praktyczną i nie ma żadnych wątpliwości co do jej winy. Inni natomiast są skrupowani, usprawiedliwiają się, chcą, bym pomógł im załatwić jak najlepszych prawników dla Brendy, żeby dostała wszelką możliwą pomoc... dlaczego?

- Ponieważ w głębi serca nie wierzą, że jest winna. Tak, to chyba to.

I spytał cicho:

- Kto to mógł zrobić? Rozmawiałaś ze wszystkimi? Kto najbardziej pasuje?

- Nie wiem. To mnie doprowadza do szaleństwa. Nikt z nich nie pasuje do twojego portretu mordercy, a jednak czuję, że jedno z nich jest mordercą.

- Sophia?

- Nie, na Boga, nie!

- A jednak rozważasz taką możliwość. Tak, nie zaprzeczaj. I jest to tym silniejsze podejrzenie, że nie chcesz dopuścić go do siebie. A inni? Philip?

- Chyba z jakiegoś nieprawdopodobnego powodu.

- Bywają nieprawdopodobne powody... albo absurdalnie niepoważne. Jaki byłby jego motyw?

- Całe swoje życie jest ogromnie zazdrosny o Rogera. To, że Roger był ulubieńcem ojca, sprawiło, że Philip zamknął się w sobie. Roger znalazł się na krawędzi bankructwa, a ojciec pospieszył mu na pomoc. Przypuśćmy, że Philip dowiedział się o tym. Gdyby starszerek umarł, brat nie wygrzebałby się z kłopotów. Och, wiem, że to niedorzeczne...

- Wcale nie, wcale nie. To nienormalne, ale ludzkie, zdarza się. A Magda?

- Jest dosyć dziecinna. Brakuje jej właściwej perspektywy. Nigdy bym jednak o nic jej nie podejrzewał, gdyby nie ta jej nagła chęć wysłania Josephine do Szwajcarii. Nie mogę się pozbyć uczucia, że bała się czegoś, co mała wie lub co powie.

- I dlatego Josephine dostała po głowie?

- To nie mogła być matka!

- Dlaczego?

- Ależ tato, matka by nie...

- Charles, Charles, nigdy nie czytasz kroniki policyjnej? Co rusz jakaś matka czuje nagłą niechęć do któregoś ze swoich dzieci. Tylko do jednego - resztę może bardzo kochać. W każdym

wypadku jest powód: jakieś skojarzenie, związek, ale trudno go wykryć. Kiedy jednak coś takiego istnieje, niechęć jest bardzo silna i nie podlega kontroli rozumu.

- Mówiła, że Josephine jest zamienionym dzieckiem - przyznałem niechętnie.
- Czy dziecku sprawiało to przykrość?
- Chyba nie.
- Kto nam został? Roger?
- Roger nie zabił ojca. Jestem tego pewien.
- Zatem nie on. A jego żona? Jak ona ma na imię? Clemency?
- Tak - Gdyby zabiła starego Leonidesa, to powód byłby bardzo dziwny.

Streściłem mu rozmowę z Clemency. Powiedziałem, że uważam za możliwe, iż pragnienie wyjazdu z Rogerem z Anglii było tak silne, że mogło doprowadzić ją do otrucia teścia.

- Przekonała Rogera, aby wyjechać, nic nie mówiąc ojcu. Tymczasem staruszek się dowiedział. Postanowił postawić Zjednoczenie Gastronomiczne na nogi. Wszystkie nadzieje i plany Clemency spaliły na panewce. A ona bardzo kocha Rogera. Jej uczucie dla męża to nawet coś więcej niż bałwochwalstwo.'

- Powtarzasz słowa Edith de Haviland!

- Tak. A Edith jest następna na liście podejrzanych. Nie wiem, dlaczego. Wierzę tylko, że z powodów, które uważała za słuszne, mogła wziąć prawo w swoje ręce. To do niej podobne.

- I jej też bardzo zależało na tym, by Brenda miała dobrych obrońców?

- Tak. To mogło być sumienie. Nawet przez chwilę nie przypuszczam, że jeśli to zrobiła, planowała na nich zwalić winę.

- Możliwe, że nie. A czy mogłaby zaplanować śmierć Josephine?

- Nie - odparłem powoli. - W to nie wierzę. Coś mi się przypomniało. Josephine powiedziała mi coś, co mnie dręczy, bo absolutnie nie mogę sobie tego przypomnieć. Cały czas mi umyka. Wiem tylko, że to jest coś, co nie pasuje do faktów. Gdybym tylko sobie przypomniiał...

- Nie martw się, przypomnisz sobie. Coś jeszcze?

- Tak. Co wiesz o paraliżu dziecięcym? Mam na myśli wpływ na charakter.

- Chodzi o Eustace'a?

- Tak. Im więcej o nim myślę, tym bardziej mi się wydaje, że Eustace by pasował. Nie lubił dziadka i gniewał się na niego. Dziwnie się zachowuje i ma zmienne usposobienie. Nie jest normalny. Jego jedyne mogą sobie wyobrazić, jak bez wyrzutów sumienia rozbija głowę Josephine, gdyby ta tylko coś o nim wiedziała. A to bardzo prawdopodobne. To dziecko wie o wszystkim. Zapisuje sobie w notesie... Przerwałem.

- Dobry Boże - zawołałem. - Jaki byłem głupi!

- O co chodzi?

- Wiem, gdzie się myliliśmy. Taverner i ja przyjęliśmy, że ktoś, kto zrujnował pokój Josephine, szukał listów. Myślałem, że ona je znalazła i ukryła między bojlerami. - Ale kiedy z nią rozmawiałem, wyraźnie dała mi do zrozumienia, że to Laurence je tam schował. Widziała, jak wychodził z tego pomieszczenia, więc przeszukała je i znalazła listy. Potem, oczywiście, je przeczytała. Jakżeby inaczej. Ale zostawiła je tam, gdzie były.

- No i?

- Nie rozumiesz? To nie listów szukano w jej pokoju. To musiało być coś innego.

- A to coś...

- To mały czarny notes, w którym zapisuje wyniki śledztwa. Właśnie tego ktoś szukał! Myślę, że go nie znalazł i Josephine nadal go ma. Ale jeśli tak...

Niemal zerwałem się z fotela.

- Jeśli tak - dokończył ojciec - nie jest bezpieczna. Czy to chciałeś powiedzieć?

- Tak. Nie będzie bezpieczna, dopóki nie wyjedzie do Szwajcarii. Chcą ją tam wysłać.

- A ona chce jechać? Zastanowiłem się.

- Chyba nie.

- To przypuszczalnie nie pojechała - podsumował sucho ojciec. - Ale masz rację, jeśli chodzi o niebezpieczeństwo. Lepiej tam jedź.

- Eustace? Clemency? - pytałem gorączkowo.

- W moim przekonaniu fakty wskazują na jedną osobę - odparł cicho ojciec. - Dziwię się, że sam tego nie widzisz.

W tej chwili Glover otworzył drzwi i oznajmił:

- Przepraszam. Telefon do pana Charlesa. Dzwoni panna Leonides ze Swinly Dean. Mówi, że to pilne.

Co za koszmarna powtórka podobnej sceny! Czy ofiarą padła Josephine? Czy tym razem morderca nie chybił?

Pospieszyłem do telefonu.

- Sophia? Tu Charles.

W głosie Sophii brzmiała rozpacz.

- Charles, to nie koniec. Morderca stale tu jest.

- O czym mówisz, na Boga? Co się stało? Czy to... Josephine?

- Nie, nie Josephine. Niania.

- Niania???

- Tak. Wypiła kakao... którego Josephine nie chciała. Zostawiła je na stole. Niania wypila je, żeby się nie zmarnowało.

- Biedna niania. Bardzo źle się czuje?

- Och Charles - głos Sophii załamał się. - Ona nie żyje.

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

Koszmar powrócił.

To właśnie powtarzałem sobie, gdy wyjeżdżaliśmy z Tavernerem z Londynu. Była to powtórka poprzedniej podróży.

Co jakiś czas Taverner rzucał przekleństwo.

Ja natomiast głupio, bezmyślnie powtarzałem: „Zatem to nie Brenda i Laurence. To nie Brenda i Laurence”.

Czy naprawdę kiedykolwiek myślałem, że to byli oni? Cieszyłem się z tego rozwiązania. Cieszyłem, gdyż pozwalało to uciec od innych, bardziej złowrogich możliwości...

Zakochali się w sobie. Pisali do siebie głupie, sentymentalne, romantyczne listy. Oddawali się marzeniom, że stary mąż Brendy wkrótce spokojnie umrze - ale zastanawiałem się, czy naprawdę bardzo pragnęli jego śmierci. Odnosiłem wrażenie, że pragnienia i rozpacz nieszczęśliwej miłości były dla nich równie dobre, jeśli nie lepsze niż zwyczajne małżeńskie życie we dwoje. Nie uważałem

Brendy za kobietę namiętną. Była zbyt anemiczna, zbyt apatyczna. Tęskniła za romanssem. Laurence - w moim odczuciu - też należał do osób, które bardziej cieszy niespełnienie i mgliste marzenia o szczęściu niż prawdziwa satysfakcja cielesna.

Wpadli w pułapkę i przerażeni nie potrafili się z niej wydobyć. Laurence, wykazując niewiarygodną głupotę, nawet nie zniszczył listów Brendy. Przypuszczalnie Brenda spaliła jego listy, skoro nie zostały znalezione. I to nie Laurence ustawił marmurowego lwa na krawędzi drzwi starej pralni. Zrobił to ktoś inny, którego twarz ciągle ukrywa się pod maską.

Podjechaliśmy do drzwi. Taverner wysiadł, ja za nim. W hallu spotkaliśmy policjanta w cywilnym ubraniu, którego, nie znalazłem. Pozdrowił nadinspektora, a ten odciągnął go na bok.

Moją uwagę zwrócił nagle stos bagaży w hallu. Były podpisane i gotowe do zabrania. Gdy się im przyglądałem, ze schodów zeszła Clemency. Ubrana była w czerwoną suknię, tweedowy płaszcz i czerwony filcowy kapelusz.

- Przybyłeś na czas, by się z nami pożegnać, Charles - powiedziała.

- Wyjeżdżacie?

- Dziś jedziemy do Londynu. Nasz samolot odlatuje jutro wczesnym rankiem.

Była spokojna i uśmiechnięta, ale wydawało mi się, że oczy miała czujne.

- Teraz chyba nie możecie wyjechać?

- Dlaczego? - spytała twardo.

- Nowa śmierć...

- Nie mamy nic wspólnego ze śmiercią niani.

- Być może nie. Jednak mimo wszystko...

- Dlaczego mówisz „być może”? Naprawdę nie mamy z tym nic wspólnego. Roger i ja byliśmy cały czas na górze, kończąc pakowanie. W czasie, kiedy kakao stało na stole, wcale nie schodziliśmy na dół.

- Możecie to udowodnić?

- Ja mogę zaświadczyć za Rogera. A on za mnie.

- To niewiele. Proszę pamiętać, że jesteście małżeństwem.

- Jesteś niemożliwy, Charles! - wybuchnęła złością.

- Roger i ja wyjeżdżamy zacząć nowe życie. Dlaczego mielibyśmy truć poczciwą starszą

kobietę, która nigdy nie zrobiła nam nic złego?

- Może nie ją chcieliście otruć.
- Tym bardziej nie chcielibyśmy otruć dziecka.
- To chyba zależy od dziecka, prawda?
- Co pan ma na myśli?
- Josephine nie jest zwyczajnym dzieckiem. O każdym coś wie. Wie...

Urwałem, gdyż z salonu wysunęła się Josephine. Jak zwykle jadła jabłko, a jej oczy spoglądały ponad nim z upiornym zadowoleniem.

- Niania została otruta - oświadczyła. - Zupełnie jak dziadek. Czyż to nie ekscytujące?
- Nie jest ci przykro? - spytałem surowo. - Nie lubiłaś jej, prawda?
- Niezbyt. Zawsze mnie za coś upominała. Czepiała się.
- Czy ty w ogóle kogoś lubisz, Josephine? - zapytała Clemency.

Josephine spojrzała na ciotkę.

- Kocham ciocię Edith. Bardzo ją kocham. I mogłabym kochać Eustace'a, tylko że on zawsze jest dla mnie okropny i nie interesuje się tym, kto to zrobił.
- Lepiej i ty przestań szukać śladów - poradziłem. - To niezbyt bezpieczne.
- Nie muszę już szukać śladów - odparła. - Już wiem.

Zapadła cisza. Josephine utkwiała w Clemency poważne spojrzenie. Do moich uszu dobiegł dźwięk przypominający przeciągłe westchnienie. Gwałtownie się odwróciłem. W połowie schodów stała Edith de Haviland - ale to nie ona westchnęła. Dźwięk doszedł zza drzwi, którymi weszła Josephine.

Energicznie je otworzyłem. Nikogo.

Niemniej poczułem się mocno zaniepokojony. Ktoś stał za nimi i słyszał, co mówiła Josephine. Zbliżyłem się do dziewczynki i wziąłem ją za rękę. Josephine, jedząc jabłko, wpatrywała się uparcie w Clemency. Podejrzywałem, że za jej powagą kryje się spora doza złośliwej satysfakcji.

- Chodź no, Josephine - powiedziałem. - Musimy porozmawiać.

Myślę, że chętnie by protestowała, ale byłem twardy. Pociągnąłem ją za sobą do mieszkania jej rodziców. Wiedziałem, że w małym, rzadko używanym pokoju porannym nikt nam nie będzie

przeszkadzał. Zamknąłem drzwi, usadziłem ją na krześle, a sam usiadłem naprzeciw.

- Teraz, Josephine, nadszedł czas na to, by wszystko sobie wyjaśnić. Co wiesz?

- Wiele rzeczy.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Ta twoja makówka jest prawdopodobnie szczelnie wypełniona ważnymi i mniej ważnymi szczegółami. Ale ty doskonale wiesz, o co mi chodzi. Prawda?

- Oczywiście. Nie jestem głupia.

Nie wiem, czy lekceważący ton odnosił się do mnie, czy do policji, ale nie zamierzałem dociekać.

- Wiesz, kto wsypał coś do twojego kakao? Josephine kiwnęła głową.

- Wiesz, kto otruł dziadka? Josephine znowu kiwnęła głową.

- I kto zastawił pułapkę na ciebie? Josephine kiwnęła jeszcze raz.

- To teraz powiesz mi wszystko, co wiesz.

- Nie powiem.

- Musisz. Policja powinna znać każdą najdrobniejszą nawet informację.

- Nic policji nie powiem. Oni są głupi. Myśleli, że zrobiła to Brenda albo Laurence. Ja nie byłam taka głupia. Dobrze wiedziałam, że to nie oni. Cały czas miałam podejrzenia, kto to był, więc przeprowadziłam mały sprawdzian... i teraz wiem, że mam rację.

I dodała z nutą triumfu:

- Modliłam się o cierpliwość i zaczęłam od nowa.

- Słuchaj, Josephine, przyznaję, że jesteś bardzo sprytna... - Josephine wydawała się zadowolona - ale nie na wiele przyda ci się spryt, jeśli stracisz życie. Nie widzisz, głuptasku, że jak długo trzymasz wszystko w tajemnicy, jesteś w stałym zagrożeniu?

Josephine kiwnęła głową.

- Oczywiście, że wiem.

- Już dwa razy cudem uniknęłaś śmierci. Jeden raz omal sama nie straciłaś życia. Drugi raz umarł ktoś inny. Nie rozumiesz, że jeśli będziesz chodzić po domu oznajmiając pełnym głosem, że wiesz, kto jest mordercą, to albo ty stracisz życie, albo znowu zginie ktoś inny?

- W niektórych książkach ginie jedna osoba po drugiej - poinformowała mnie z lubością

Josephine. - W końcu znajduje się mordercę, bo jest jedyną osobą, która zostaje przy życiu.

- Josephine, obudź się! To nie powieść kryminalna. Tu są Trzy Szczyty w Swinly Dean, a ty jesteś dziewczynką, która czytała za dużo kryminałów. Zaraz wyjawisz mi to, co wiesz, jeśli nie chcesz ode mnie dostać w skórę.

- Zawsze mogę powiedzieć coś, co nie jest prawdą.

- Możesz, ale tego nie zrobisz. Zresztą na co czekasz?

- Nic nie rozumiesz. Może nigdy nie powiem. Widzisz, całkiem możliwe, że... lubię tę osobę.

Przez chwilę nic nie mówiła, dając czas, by dotarło do mnie znaczenie jej słów.

- A jeśli powiem - ciągnęła - to zrobię to tak jak trzeba. Wszyscy usiądą wkoło, a wtedy ja zacznę od początku, szczególnie po szczególnie, aż nagle powiem: „To ty...”

Dramatycznym ruchem wyciągnęła przed siebie palec, właśnie w chwili, kiedy do pokoju wchodziła Edith de Haviland.

- Wrzuć ogryzek do kosza, Josephine - rzekła Edith. - Masz chusteczkę? Palce ci się lepiają. Zabieram cię na przejażdżkę - spojrzała na mnie porozumiewawczo. - Chociaż przez godzinę będziesz bezpieczniejsza niż tutaj.

Widząc buntowniczą minę dziewczynki, Edith dodała:

- Wstąpimy do Longbridge na lody. Oczy Josephine zaświeciły się.

- Dwa - zażyczyła sobie.

- Może. A teraz idź i włóż płaszcz i kapelusz. Nie zapomnij granatowego szalika. Jest zimno. Charles, lepiej popilnuj jej, jak będzie się ubierać. Nie opuszczaj jej ani na chwilę. Muszę jeszcze coś napisać.

Usiadła przy biurku, a ja wyprowadziłem Josephine z pokoju. Nawet bez polecenia Edith nie pozwoliłbym jej oddalić się ode mnie ani na krok.

Byłem przekonany, że w każdej chwili grozi jej niebezpieczeństwo.

Josephine kończyła się ubierać, gdy do pokoju weszła Sophia. Zdziwiła się na mój widok.

- Charles, czyżbyś został niańką? Nie wiedziałam, że jesteś tutaj.

- Jadę do Longbridge z ciocią Edith - pochwaliła się Josephine. - Na lody!

- Brr, lody w taki zimny dzień?

- Lody są dobre w każdą pogodę. Jak jest ci zimno w środku, to wydaje ci się, że na zewnątrz jest cieplej.

Sophia zmarszczyła brwi. Wyglądała na zmartwioną. Przeraziła mnie jej bladość i cienie pod oczami.

Wróciliśmy do pokoju porannego. Edith właśnie suszyła bibułę koperty. Na nasz widok energicznie wstała.

- Możemy już jechać - oświadczyła. - Powiedziałam Evansowi, żeby wyprowadził forda.

Walizki w hallu jeszcze raz przyciągnęły moją uwagę. Z jakiejś przyczyny poczułem się dziwnie zaniepokojony.

- Ładny dziś dzień - mówiła Edith de Haviland, naciągając rękawiczki i patrząc na niebo. Ford stał gotowy przed domem. - Zimny, ale rześki. Prawdziwa angielska jesień. Jak pięknie wyglądają nagie gałęzie drzew na tle nieba... i tylko tu i ówdzie złoty listek...

Przez chwilę milczała, po czym pocałowała Sophię.

- Do widzenia, kochanie. Nie martw się za bardzo. Są rzeczy, które trzeba wytrzymać. Chodźmy, Josephine.

Wsiadły do auta i pomachały nam na pożegnanie.

- Sądzę, Sophio, że ma rację i na razie lepiej trzymać Josephine z dala od tego. Ale i tak musimy zmusić małą, by powiedziała, co wie.

- Przypuszczalnie nic nie wie, tylko się popisuje. Widzisz, Josephine lubi wydawać się ważna.

- To coś więcej.. Wiesz, co było w kakao?

- Uważają, że dygitalina. Ciocia Edith bierze dygitalinę na serce. W pokoju miała całą buteleczkę małych tabletek. Teraz jest prawie pusta.

- Takie rzeczy powinno się trzymać w zamknięciu.

- Była zamknięta. Ale sądzą, że nietrudno byłoby wykryć, gdzie chowa klucz.

- Ale kto to zrobił? - znowu rzuciłem okiem na stertę bagażu. - Nie mogą wyjechać - powiedziałem niespodziewanie. - Nie wolno im na to pozwolić.

- Roger i Clemency? - zdziwiła się Sophia. - Charles, chyba nie myślisz...

- A co ty myślisz?

Sophia wyciągnęła przed siebie bezradnie ręce.

- Nie wiem - szepnęła. - Wiem tylko, że koszar wrócił...

- Wiem. To samo mówiłem sobie, kiedy jechaliśmy tu z Tavernerem.

- To jest właśnie koszmar. Przebywać wśród ludzi, których się zna, patrzeć im w twarze i nagle widzieć, że te twarze się zmieniają i to nie jest już ktoś, kogo znasz, tylko ktoś obcy... okrutny i obcy... Chodźmy, Charles, na zewnątrz - zawołała nagle. - Tam jest bezpieczniej... Boję się być w tym domu...

## Rozdział dwudziesty piąty

W ogrodzie spędziliśmy dużo czasu. Jakby za obopólnym milczącym porozumieniem nie rozmawialiśmy o makabrze, która nas gnębiła. Sophia ciepło wspominała zmarłą kobietę, mówiła, w co się niania bawiła z dziećmi, o historyjkach, które opowiadała im o Rogerze, ojcu i ich rodzeństwie.

- Byliśmy dla niej jak własne dzieci. Przyszła do nas w czasie wojny, kiedy Josephine była całkiem malutka, a Eustace ledwie odrósł od ziemi.

Wspomnienia spływały balsamem na duszę Sophii, więc zachęcałem ją, by mówiła dalej.

Ciekawiło mnie, co robi Taverner. Pewnie zbiera zeznania od członków rodziny i służby - pomyślałem. Odjechał samochód z fotografem i dwoma policjantami. Chwilę później przyjechała karetka policyjna.

Sophia wzdrygnęła się. Karetka odjechała - wiedzieliśmy, że zabrano do autopsji ciało niani.

Chodziliśmy po ogrodzie, siadaliśmy, znowu chodziliśmy i rozmawialiśmy, a z każdą chwilą nasze słowa coraz bardziej skrywały nasze prawdziwe myśli.

W końcu Sophia powiedziała:

- Musi być już bardzo późno, jest prawie ciemno. Chodźmy do domu. Dlaczego jeszcze nie wróciła ciocia Edith i Josephine? Chyba najwyższy czas?

Obudził się we mnie lekki niepokój. Co się stało? Czy Edith celowo trzymała dziewczynkę z dala od Krzywego Dworku?

W domu Sophia zaciągnęła zasłony. Na stołach stały duże wazy z brązowymi chryzantemami. W świetle płonącego na kominku ognia duży salon wprowadzał w atmosferę nierealnego minionego luksusu.

Sophia zadzwoniła i pokojówka - ta sama, którą widziałem na górze - przyniosła herbatę.

Miała zaczerwienione oczy i nieustannie pociągała nosem. Zauważyłem również, że rzuca przestraszone spojrzenia za siebie.

Magda przyłączyła się do nas, ale Philip wolał, by mu posłano herbatę do biblioteki. Magda grała rolę skamieniałej ze smutku. Prawie się nie odzywała. Tylko raz spytała roztargnionym tonem:

- Gdzie Edith i Josephine? Długo ich nie ma. Niepokoiłem się coraz bardziej. Spytałem Magdę, czy Taverner jeszcze jest w domu, a ona odparła, że chyba tak. Poszedłem więc go poszukać. Zwierzyłem się, że martwię się nieobecnością panny de Haviland i dziecka. Natychmiast poszedł do telefonu i wydał jakieś polecenia.

- Dam znać, jak się czegoś dowiem - przyrzekł. Podziękowałem mu i wróciłem do salonu. Magda już poszła. Zastałem Sophię z Eustace'em.

- Da znać, jak się czegoś dowie - poinformowałem Sophię.

- Coś musiało się zdarzyć, Charles - odparła cicho. - Czuję, że coś się zdarzyło.

- Moja droga, jeszcze nie jest późno.

- Czym się martwicie? - spytał Eustace. - Pewnie poszły do kina.

Wyszedł z pokoju.

- Może zabrała Josephine do hotelu albo do Londynu. Myślę, że zdawała sobie sprawę... może nawet lepiej niż my... że dziecko jest w niebezpieczeństwie.

- Pocałowała mnie na pożegnanie - odparła Sophia ze smutkiem, którego nie rozumiałem.

Nie wiedziałem, co ma znaczyć ta uwaga ani czego ma dowodzić. Spytałem, czy Magda się martwi.

- Matka? Nie, ona nie ma poczucia czasu. Czyta nową sztukę Vavasoura Jonesa. To śmieszna sztuka kryminalna. Morderstwa popełnia kobieta - drugi Sinobrody, tylko w damskiej postaci. Uważam, że pomysł ściągnięty z Arszeniku i starych koronek, ale jest dobra rola - kobiety, która uwielbia zostawać wdową.

Nie odezwałem się. Siedzieliśmy w ciszy, udając, że czytamy.

Było wpół do szóstej, kiedy Taverner otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Jego mina przygotowała nas na to, co miał rzec.

Sophia wstała.

- Słucham - powiedziała.

- Przykro mi, że muszę to zakomunikować. Mam złe wieści. Ogłosiłem w radiu alarm w

sprawie samochodu. Jakiś kierowca złożył doniesienie, że widział forda z numerem rejestracyjnym przypominającym numer poszukiwanego auta. Skręcał w bok, w las, z głównej drogi koło Flackspur Heath.

- To... to droga do kamieniołomów?

- Tak, proszę pani - umilkł na chwilę. - W kamieniołomach znaleziono samochód. Obydwie pasażerki nie żyją. Może to panią pocieszy, jeśli dodam, że zginęły na miejscu.

- Josephine! - zawołała Magda od drzwi. Jej głos przeszedł w zawodzenie. - Josephine... moje dziecko!

Sophia podeszła do matki i objęła ją ramionami.

- Chwileczkę - mruknąłem.

Przypomniałem sobie listy, które Edith de Haviland pisała przy biurku. Potem wyszła z pokoju, trzymając je w ręku. Ale nie miała ich, gdy wsiadała do samochodu.

Podbiegłem do długiej dębowej komody w hallu. Listy leżały schowane za mosiężny imbryk. Ten na samym wierzchu był zaadresowany do nadinspektora Tavernera.

Taverner wyszedł za mną. Wręczyłem mu list. Stojąc obok niego, czytałem przez ramię.

Spodziewam się, że ten list zostanie otwarty po mojej śmierci. Nie wchodząc w szczegóły, przyjmuję na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć mojego szwagra, Arystydesa Leonidesa, jak również Janet Rowe (niani). Niniejszym oświadczam, że Brenda Leonides i Laurence Brown nie są winni zamordowania Arystydesa Leonidesa. Doktor Michael Chavasse (783 Harley Street) poświadczy, iż nie żyłabym dłużej niż kilka miesięcy. Wolę jednak odejść w ten sposób i ocalić dwoje niewinnych ludzi przed tragedią odpowiadania za morderstwo, którego nie popełnili. Oświadczam, iż piszę ten list w pełni władz umysłowych.

Edith Elfrida de Haviland

Gdy skończyłem czytanie listu, zdałem sobie sprawę, że Sophia też go czytała - nie wiem, czy za zgodą Tavernera, czy bez.

- Ciocia Edith... - mruknęła.

Przypomniałem sobie okrucieństwo, z jakim Edith de Haviland rozdeptywała powój na ścieżce. Przypomniałem sobie wczesne, fantastyczne podejrzenia na jej temat. Ale dlaczego...?

- Dlaczego Josephine? - powiedziała Sophia, zanim zdołałem wyartykułować tę myśl. -

Dlaczego zabrała ją ze sobą?

- Dlaczego w ogóle to zrobiła? - dziwiłem się. - Jaki miała powód?

Mówiąc te słowa, znałem już prawdę. W ułamku sekundy zobaczyłem jasno całą sprawę. Dotarło do mnie, że w ręku trzymam jeszcze jedną kopertę. Spojrzałem na list i zobaczyłem swoje nazwisko.

List był grubszy niż poprzedni. Domyśliłem się, co zawiera, zanim jeszcze go otworzyłem. Zerwałem kopertę. Ze środka wypadł czarny notes Josephine. Podniosłem go z podłogi. Otworzył mi się w ręku i wzrok mój padł na pierwszą stronę...

Usłyszałem głos Sophii, jasny i opanowany, dobiegający mnie jakby gdzieś z daleka.

- Pomyliliśmy się - rzekła. - Edith tego nie zrobiła.

- Masz rację - przyznałem.

Sophia podeszła do mnie blisko i szepnęła:

- To Josephine, prawda? Właśnie, to Josephine. Razem spojrzeliśmy na pierwszy wpis w notesie, zrobiony niewprawną ręką dziecka: „Dziś zabiłam dziadka”.

## **Rozdział dwudziesty szósty**

Dziwiłem się później, że byłem tak ślepy. Cały czas prawda rzucała się w oczy. Tylko i wyłącznie Josephine miała odpowiednie cechy. Jej próżność, zarozumiałość, radość mówienia o morderstwie, podkreślanie własnej inteligencji i nieudolności policji.

Nigdy nie brałem jej pod uwagę, bo była jeszcze dzieckiem. Ale przecież dzieci też popełniają morderstwa, a to konkretne morderstwo nie przekraczało możliwości dziecka. Dziadek sam podał najlepszy sposób - praktycznie dostarczył jej scenariusz. Jedyne, o czym musiała pamiętać, to zetrzeć odciski palców, a o tym mogła dowiedzieć się z pierwszego lepszego kryminału. Reszta to dowolna mieszanka elementów z różnych powieści detektywistycznych. Notes, zabawa w detektywa, udawane podejrzenia, nacisk na to, że nie powie, dopóki nie zdobędzie pewności...

Wreszcie zamach na siebie. Niemal niemożliwy wyczyn, biorąc pod uwagę, jak łatwo mogłaby się zabić. Ale - jak to dziecko - nie brała tej możliwości pod uwagę. Była bohaterką powieści. Bohaterka nie ginie. Tu przegapiliśmy wskazówkę: ślady ziemi na siedzeniu krzesła w starej pralni. Tylko Josephine musiałaby się wspiąć na krzesło, żeby położyć kamień na drzwiach. Najwyraźniej marmurowa podpórka do drzwi uparcie omijała jej głowę (szczyrby na podłodze), więc Josephine musiała raz po raz stawać na krzesło i cierpliwie umieszczać kamień. Brała go przez szalik, żeby nie zostawiać śladów palców. Nareszcie kamień ją uderzył - i ledwie uszła z życiem.

Josephine doskonale pokierowała akcją i osiągnęła efekt, jakiego pragnęła. Oto jest w niebezpieczeństwie, „wie coś”, więc dokonano na nią zamachu.

Teraz zorientowałem się, że celowo przyciągnęła moją uwagę do swojej bytności w pomieszczeniu z bojlerami. A zanim poszła do starej pralni, starannie doprowadziła swój pokój do stanu artystycznego chaosu.

Kiedy wróciła ze szpitala i dowiedziała się, że aresztowano Brendę i Laurence’a, musiała poczuć się rozczarowana. Sprawa została zakończona i Josephine nie była już najważniejszą osobą.

Ukradła dygitalinę z pokoju Edith i wsypała do swego kakao, które zostawiła na stole w hallu.

Czy wiedziała, że wypije je niania? Możliwe. Z tego, co mówiła rano, wynikało, że ma za złe niani jej krytyczne słowa. Czy niania, na podstawie życiowego doświadczenia w wychowywaniu dzieci, podejrzewała Josephine? Dziewczynka, przedwcześnie dojrzała intelektualnie, była zapóźniona moralnie. Może doszły do głosu cechy dziedziczne, to, co Sophia nazwała rodzinną bezwzględnością?

Miała w sobie nie liczącą się z nikim bezwzględność rodziny babki, bezwzględny egoizm Magdy, która potrafiła uznać tylko własny punkt widzenia. Jeśli jeszcze była wrażliwa jak Philip, musiała cierpieć, czując piętno brzydoty, piętno odmienca. W końcu również musiała odziedziczyć po Leonidesie pociąg do nieuczciwości.” Była jego wnuczką, przypominała go inteligencją i sprytem, ale podczas gdy on ofiarował swą miłość rodzinie i przyjaciołom, ona kochała tylko siebie.

Pomyślałem, że stary Leonides zdawał sobie sprawę z tego, czego nikt inny sobie nie uświadamiał: że Josephine może być niebezpieczna dla innych i dla siebie. Nie puszczał jej do szkoły, gdyż bał się tego, co może zrobić. Chronił ją i pilnował we własnym domu. Zrozumiałem, dlaczego tak usilnie nalegał, by Sophia opiekowała się Josephine.

Czy nagła decyzja Magdy, by wysłać dziecko za granicę, też została podyktowana strachem o Josephine? Niekoniecznie uświadomionym strachem, może niejasną obawą podpowiadaną przez instynkt macierzyński.

Jak było z Edith de Haviland? Czy najpierw podejrzewała, potem obawiała się, a w końcu zyskała pewność?

Spojrzałem na list, który trzymałem w ręce.

Drogi Charlesie. Powierzam to w tajemnicy Tobie - i Sophii, jeśli zechcesz. Uważam, iż jest to absolutnie konieczne, żeby ktoś znał prawdę. Znalazłam to w starej psiej budzie za tylnymi drzwiami. Tam to trzymała. Treść potwierdza to, co podejrzewałam. Nie wiem, czy to, co zamierzam zrobić, jest słuszne, czy nie. W każdym razie moje życie i tak zbliża się ku końcowi, a nie chcę, żeby dziecko cierpiało tak, jak podejrzewam, że musiałoby cierpieć, gdyby miało wyrównywać swe ziemskie rachunki.

Często w miocie jest jedno gorsze szczenię.

Niech mi Bóg przebaczy, jeśli źle czynię - robię to z miłości. Niech was oboje Bóg pobłogosławi.

Edith de Haviland

Tylko przez moment wahałem się, czy wręczyć Sophii list. Wspólnie otworzyliśmy notes Josephine.

„Dziś zabiłam dziadka”.

Odwracaliśmy stronę po stronie. Co za zaskakujący utwór. Niewątpliwie ciekawy z punktu widzenia psychologa. Z ogromną wyrazistością pokazywał siłę zawiedzionego egoizmu. Wymieniony został powód zbrodni, żałośnie dziecinny i niedostateczny.

Dziadek nie chciał, żebym uczyła się tańca baletowego, więc postanowiłam go zabić. Jak umrze, pojedziemy do Londynu i tam będziemy mieszkać, i mama nie będzie mi zabraniała chodzenia na balet.

Cytuję tylko kilka najważniejszych wpisów.

Nie chcę jechać do Szwajcarii - i nie pojedę. Jak mama zechce mnie zmusić, to ją też zabiję, tylko nie mam żadnej trucizny. Może udałoby mi się otruć ją wilczymi jagodami. W książce piszą, że są trujące.

Dziś zdenerwował mnie Eustace. Mówi, że jestem tylko dziewczyną i że dziewczyny są do niczego i naśmiewa się z tego, że jestem detektywem. Nie uważałby mnie za głupią, gdyby wiedział, że to ja zabiłam.

Lubię Charlesa, chociaż jest dość głupi. Jeszcze nie zdecydowałam, na kogo mają paść podejrzenia o zbrodnię. Może na Brendę i Laurence'a? Brenda jest dla mnie paskudna, mówi, że mam niedobrze w głowie, ale Laurence'a lubię, opowiedział mi o Charlocie Korday, która zabiła kogoś w wannie. Ale zrobiła to mało inteligentnie.

Ostatni wpis był bardzo wymowny:

- Nienawidzę niani... nienawidzę jej... nienawidzę... mówi, że jestem tylko małą dziewczynką. - Mówi, że się popisuję. To ona namawia mamę, żeby wysłała mnie za granicę... Ją też zabiję. Myślę,

że lekarstwo cioci Edith wystarczy. Jeśli będzie drugie morderstwo, policja wróci i znowu będzie ciekawie.

Niania nie żyje. Cieszę się. Jeszcze nie wiem, gdzie ukryję buteleczkę z lekarstwem. Może w pokoju ciotki Clemency. Albo u Eustace'a. Kiedy będę starą kobietą i umrę, zostawię ten notes, zaadresowany do komendanta policji, i wtedy wszyscy się przekonają, jaką byłam wielką zbrodniarką.

Zamknąłem notes. Po twarzy Sophii płynęły ciurkiem łzy.

- Och, Charles, Charles, to takie okropne. Była potworem, a jednak to jest takie... takie żalosne.

Czułem podobnie.

Lubiłem Josephine... nadal ją lubiłem. Nie przestaje się kogoś lubić, gdy zachoruje on na gruźlicę albo inną śmiertelną chorobę. Josephine była - jak powiedziała Sophia - potworem, ale była żalonym potworem. Urodziła się z garbem moralnym... skrzywione moralnie dziecko z Krzywego Dworku.

- Co by było, gdyby... żyła? - spytała Sophia.

- Pewnie by ją wysłano do poprawczaka albo do szkoły specjalnej. Potem by ją wypuszczono... albo uznano za chorą psychicznie. Nie wiem.

Sophia wzdrygnęła się.

- Lepiej, że stało się tak, jak się stało. Ale nie chcę, żeby winą obarczać ciocię Edith.

- To był jej wybór. Nie sądzę, żeby to zostało ogłoszone publicznie. Wydaje mi się, że po prostu Brenda i Laurence zostaną zwolnieni z więzienia.

- A ty, Sophio - dodałem innym tonem, biorąc jej dłonie w swoje ręce - wyjdiesz za mnie za mąż. Razem stąd wyjedziemy i zapomnisz o Krzywym Dworku;

Twoja matka może dalej bawić się aktorstwem, tato kupować nowe książki, a Eustace wkrótce pójdzie na uniwersytet. Nie martw się więcej o nich. Pomyśl o mnie.

Sophia spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie boisz się ze mną ożenić?

- Dlaczego miałbym się bać? Biedna Josephine skupiła w sobie to, co najgorsze w całej rodzinie. Mocno wierzę, że ty masz w sobie to, co najlepsze w rodzinie Leonidesów. Twój dziadek miał o tobie jak najlepsze zdanie, a zdaje się, że przeważnie miał rację. Głowa do góry, kochanie. Przyszłość należy do nas.

- Spróbuję, Charles. Kocham cię i wyjdę za ciebie za męża, i będę się starała cię uszczęśliwić.

Rzuciła okiem na notes.

- Biedna Josephine.

- Biedne dziecko - przyznałem.

\* \* \*

- Jak się skończyła sprawa, Charles? - spytał ojciec. Nigdy Staruszka nie okłamuję.

- To nie Edith de Haviland - powiedziałem. - To była Josephine.

Ojciec powoli pokiwał głową.

- Tak - rzekł. - Od jakiegoś czasu tak myślałem. Biedne dziecko...